

**TOREY L. HAYDEN**

# **DZIECKO**

**SCAN-DAL**

*Dla Sheili R., oczywiście  
Często pytają mnie o wiersz,  
który wisi na ścianie w moim pokoju.  
A mnie zależy tylko na tym,  
aby ludzie poznali dziecko,  
które go napisało. Mam nadzieję,  
że mi się to udało.*

## Prolog

Przez znaczną część mojego dorosłego życia pracowałam z dziećmi, które cierpią na zaburzenia emocjonalne. Jesienią, na pierwszym roku college'u, zgłosiłam się na ochotnika do pracy z dziećmi w wieku przedszkolnym, które miały różne zaburzenia rozwojowe oraz sprawiały spore trudności wychowawcze. Od tamtego czasu interesują mnie złożone aspekty choroby psychicznej u dzieci. Zdobyłam trzy stopnie naukowe, przez kilkanaście lat pracowałam jako asystentka nauczyciela, potem jako nauczycielka, instruktorka na uniwersytecie oraz pracownik naukowy na wydziale psychiatrii; mieszkałam w pięciu stanach, pracowałam w prywatnych przedszkolach, szkołach publicznych, zamkniętych oddziałach psychiatrycznych i innych instytucjach państwowych, a przez cały czas usiłowałam znaleźć odpowiedzi na kluczowe pytania, dzięki którym potrafiłabym dotrzeć do tych dzieci, zrozumieć je. Gdzieś w głębi duszy dawno już, co prawda, wiedziałam, że takie odpowiedzi nie istnieją, a w przypadku niektórych dzieci nawet miłość nie wystarczy. Jednakże wiara w człowieka wykracza poza granice zdrowego rozsądku i wymyka się naszej kruchej wiedzy.

Ludzie często pytają mnie o moją pracę. Chyba najczęściej powtarzają: Czy to nie jest frustrujące? Czy to nie jest frustrujące, pyta studentka college'u, spotykać się dzień w dzień z przemocą, biedą, problemami alkoholizmu i narkomanii, seksualnej i fizycznej przemocy, opuszczenia i apatii? Czy nie jest frustrujące, pyta nauczyciel, pracować tak ciężko i tak mało otrzymywać w zamian? Czy nie jest frustrująca świadomość, pytają wszyscy, że twoim największym sukcesem może być co najwyżej zbliżenie się do normalności, świadomość, że te małe dzieci są skazane na życie, które według naszych standardów nie przynosi nikomu żadnych korzyści, nie jest normalne?

Nie. To nie jest frustrujące. To są po prostu dzieci, które, owszem, sprawiają czasem kłopoty, tak jak wszystkie inne, lecz jednocześnie potrafią być niezmiernie współczujące i wrażliwe. Czasami trzeba szaleństwa, żeby wypowiedzieć całą prawdę.

Ale te dzieci to coś więcej. Są odważne. Dowiadujemy się w wieczornych wiadomościach o nowych podbojach na odległych frontach i nie mamy pojęcia, że prawdziwe dramaty rozgrywają się obok nas. A szkoda, ponieważ tam właśnie można zobaczyć odwagę, jakiej nie ujrzymy nigdzie indziej. Niektóre spośród tych dzieci żyją trapiione nieustannie tak wielkimi koszmarami, że każdy ich ruch niesie ze sobą coś nieoczekiwanego, strasznego. Życie wielu z nich wypełnia przemoc i perwersja, jakich nie da się wyrazić słowami. Niektóre nie zaznały nawet szacunku, na jaki zasługują zwierzęta. Inne żyją pozbawione nadziei. A jednak przetrwały. I w większości wypadków zaakceptowały swoje życie, ponieważ był to jedyny

sposób na przetrwanie.

Książka ta opowiada tylko o jednym dziecku. Nie pisałam jej, aby wzbudzić czyjąś litość albo pochwalić jedną nauczycielkę. Nie miałam też zamiaru pogrążyć tych, którzy dotąd żyli spokojnie w niewiedzy. Książka miała być odpowiedzią na pytania dotyczące problemów pojawiających się podczas pracy z dziećmi chorymi umysłowo. Jest ona hymnem na cześć ludzkiej duszy, ponieważ ta mała dziewczynka jest uosobieniem wszystkich dzieci, z którymi pracowałam. Jest podobna do nas wszystkich. Przetrwała.

# 1

Powinłam była wiedzieć.

Artykuł był krótki, zaledwie kilka akapitów pod komiksami na stronie szóstej. Napisano w nim o sześciolatniej dziewczynce, która znęcała się nad dzieckiem z sąsiedztwa. W zimny listopadowy wieczór wyprowadziła ze sobą trzyletniego chłopca, następnie przywiązała go do drzewa w pobliskich zaroślach i podpaliła. Chłopiec przebywał teraz w miejscowym szpitalu, a jego stan był krytyczny. Dziewczynkę zatrzymano.

Artykuł przeczytałam pobieżnie, podobnie jak całą gazetę, kwitując go zdawkowym do-czego-to-dochodzi-na-tym-świecie. Później, jeszcze tego samego dnia, przypomniałam sobie o nim w czasie zmywania. Zastanawiałam się, co policja zrobiła z dziewczynką. Czy można było aresztować sześciolatka? Doznałam isticie kafkowskiej wizji, w której ujrzałam małe dziecko kołaczące się po naszym miejskim, starym i zimnym więzieniu. Rozwazałam ten problem ogólnie, bez związku z żadnym konkretnym przypadkiem, a przecież powinłam była wiedzieć.

Powinłam była się domyślić, że żaden nauczyciel nie zechce przyjąć dziecka z taką przeszłością. Żaden rodzic nie zgodzi się, aby ktoś taki chodził do klasy z jego pociechą. Nikt nie pozwoli, żeby zostawić takie dziecko samemu sobie. Powinłam była się domyślić, że ona wyląduje u mnie.

W naszej szkole klasę, którą prowadziłam, nazywano pieszczotliwie „śmietnikiem”. Był to ostatni rok, zanim podjęto wysiłki, by dzieci specjalnej troski zaczęły uczęszczać do normalnych klas, a także ostatni rok, w którym wszystkie odbiegające od normy dzieci pakowano do klas specjalnych. Tak więc mieliśmy klasy dla dzieci opóźnionych, klasy dla dzieci z zaburzeniami emocjonalnymi, klasy dla dzieci upośledzonych fizycznie, klasy dla dzieci z zaburzeniami zachowania, klasy dla dzieci z trudnościami w uczeniu się i wreszcie była moja klasa. Miałam w niej ośmioro dzieci, które nie mieściły się w żadnej kategorii. Stanowiłam dla nich ostatni przystanek przed jakąś instytucją. W mojej klasie zbierano ludzkie odpadki.

Rok wcześniej, wiosną, pracowałam jako pedagog szkolny i pomagałam dzieciom z zaburzeniami emocjonalnymi i kłopotami w uczeniu się, które uczęszczały do zwykłych klas. Wcześniej w tym samym miejscu pracowałam na różnych stanowiskach, dlatego nie zdziwiło mnie, kiedy Ed Somers, dyrektor Wydziału Szkolnictwa Specjalnego, zwrócił się do mnie w maju z pytaniem, czy nie chciałabym zająć się od jesieni „śmietnikiem”. Wiedział, że mam

doświadczenie w pracy z dziećmi z poważnymi zaburzeniami i że lubię maluchy. A także, że lubię wyzwania. Zachichotał nieśmiało, kiedy to powiedział, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jego pochlebstwa są dość wymuszone, lecz był wystarczająco zdesperowany, by się do nich uciec.

Zgodziłam się, choć nie bez wahania. W głębi serca bardzo pragnęłam mieć znowu własną klasę z własnymi dziećmi. Chciałam także uwolnić się od rygorystycznego - być może nieświadomie - dyrektora. Wprawdzie był poczciwym człowiekiem, lecz mieliśmy inny punkt widzenia na wiele spraw. Nie podobał mu się mój zbyt codzienny strój, moja nieokiełznana klasa, jak również to, że dzieci zwracały się do mnie po imieniu. Wszystkie te drobiazgi, jak to zwykle bywa, urastały do wielkich problemów. Wiedziałam, że jeśli wyświadczę Edowi przysługę, nikt nie będzie się czepiał moich dzinsów i mojej poufałości z dziećmi. Tak więc przyjął jego propozycję przeświadczona, że zdołam pokonać wszelkie trudności, jakie niesie ze sobą.

Moja wiara w siebie znacznie osłabła między chwilą podpisania umowy a końcem pierwszego dnia w szkole. Pierwszy cios otrzymałam w momencie, gdy dowiedziałam się, że będę pracowała w tej samej szkole, w której pracowałam poprzednio. Teraz jej dyrektor miał na głowie nie tylko mnie, lecz także ósemkę bardzo szczególnych dzieci. Natychmiast umieszczono nas w dobudowanym do budynku szkolnego pawilonie, w którym mieściła się jeszcze tylko sala gimnastyczna. Byliśmy całkowicie odizolowani od reszty. Moja sala lekcyjna wystarczyłaby, gdyby dzieci były starsze i bardziej samodzielne. Jednakże dla ośmiorga małych dzieci i dwojga dorosłych oraz dziesięciu ławek, trzech stołów, czterech biblioteczek i niezliczonej liczby krzeseł, które wydawały się rozmnażać w nocy, klasa okazała się beznadziejnie ciasna. Dlatego wyrzuciłam biurko nauczycielskie, dwie biblioteczki, szafkę, wszystkie krzesła oprócz dziewięciu małych i wreszcie wszystkie ławki. Co więcej, klasa była długa i wąska, z jednym oknem w końcu. Pierwotnie urządzone tam pokój konsultacyjny i salę testów, dlatego ściany obito boazerią, a podłogę wyłożono wykładziną. Gotowa byłam oddać cały ten przepych za klasę, w której nie trzeba by było palić światła przez cały dzień albo w której na podłodze leżałoby linoleum, o wiele bardziej odporne na plamy.

Przepisy mówiły, że w klasie z pełną liczbą uczniów z poważnymi zaburzeniami nauczyciel ma prawo do pomocy asystenta pracującego w pełnym wymiarze godzin. Miałam nadzieję, że przydzielą mi jedną z dwóch kompetentnych kobiet, z którymi współpracowałam w poprzednim roku, lecz tak się nie stało. Do pomocy otrzymałam nowo przyjętego asystenta. W naszej niewielkiej społeczności, w której mieliśmy szpital stanowy, więzienie stanowe oraz ogromny obóz dla emigrantów, lista opieki społecznej była imponująca. W związku z tym

zajęcia nie wymagające kwalifikacji pozostawały zwykle zarezerwowane dla bezrobotnych z listy usług społecznych. Osobiście uważałam, że stanowisko mojego asystenta wymaga kwalifikacji, lecz opieka społeczna była innego zdania. Tak więc już w pierwszym dniu mojej pracy stanął przede mną wysoki Amerykanin meksykańskiego pochodzenia, który mówił głównie po hiszpańsku. Anton miał dwadzieścia dziewięć lat i nigdy nie ukończył szkoły średniej. Nie, przyznał, nigdy wcześniej nie pracował z dziećmi. Nie, nigdy specjalnie tego nie pragnął. Bo, widzisz, wyjaśnił mi, trzeba brać taką pracę, jaką dają, żeby nie stracić zasiłków. Umieścił swoje długie ciało na przedszkolnym krzeselku i zauważył, że jeśli ta praca wypali, to po raz pierwszy zostanie na zimę na północy; dotąd zawsze wyjeżdżał do Kalifornii razem z innymi pracownikami sezonowymi. A zatem było nas już dwoje. Później, po rozpoczęciu roku szkolnego.

Otrzymałam do pomocy czternastoletnią uczennicę szkoły średniej, która poświęciła dwie ze swoich godzin pozalekcyjnych na pracę z moimi dziećmi. Mając takie wsparcie, wyruszyłam na spotkanie z nowymi uczniami.

Nie miałam jakichś niezwykłych oczekiwań wobec mojej ósemki. Pracowałam w zawodzie wystarczająco długo, aby pozbyć się naiwności. Ponadto doświadczenie nauczyło mnie, by nie okazywać zdziwienia lub zaskoczenia, nawet jeśli je odczuwałam. Tak było bezpiecznie.

Tamtego sierpniowego poranka pierwszy przyszedł Peter, krzepki czarnoskóry ośmiolatek z gęstą czupryną afro; jego silne ciało całkowicie przeczyło pogłębiającym się dolegliwościom neurologicznym, które stały się przyczyną poważnych ataków i agresywnego zachowania. Peter wpadł do klasy, krzycząc przeraźliwie i przeklinając. Zrozumiałam, że nienawidzi szkoły, nienawidzi tej klasy i mnie i nie ma zamiaru zostać w tym głównianym pomieszczeniu, a ja nie mogę go do tego zmusić.

Następnie zjawiała się Tyler, która zaskoczyła mnie tym, że okazała się dziewczynką. Weszła do klasy, kryjąc się za matką, ze spuszczoną głową i burzą ciemnych loków. Tyler także miała osiem lat i już dwukrotnie usiłowała się zabić. Za drugim razem płyn do czyszczenia zlewów, którego się napiła, zniszczył część jej przełyku. Teraz w gardle nosiła rurkę, a na szyi miała liczne blizny pooperacyjne, które wymownie świadczyły o jej możliwościach.

Max i Freddie przybyli poprzedzani wrzaskami. Max, silny, jasnowłosy sześciolatek, nosił znamię autyzmu. Płacząc i skrzecząc, miotał się po sali i wymachiwał rękoma. Jego matka tłumaczyła, że syn często zachowuje się w sposób trudny do przewidzenia. Popatrzyła na mnie zmęczonym wzrokiem i dostrzegłam w jej oczach ulgę, że może pozbyć się go chociaż na kilka godzin. Freddie miał siedem lat i ważył ponad czterdzieści kilogramów. Wałki tłuszczu

wypychały po bokach jego ubranie i wylewały się między guzikami koszuli. Gdy tylko pozwolono mu opaść na podłogę, natychmiast umilkł, a właściwie zamienił się w bezwładną kupkę. W jednym z jego dokumentów wpisano autyzm, w innym - znaczne opóźnienie, a w jeszcze innym brak było jakiegokolwiek rozpoznania.

Siedmioletnią Sarah znałam już od trzech lat. Pracowałam z nią, jeszcze kredy chodziła do przedszkola. Doświadczwszy wcześniej fizycznej przemocy i seksualnego napastowania, Sarah była dzieckiem gniewnym i zbuntowanym. Przez cały poprzedni rok uczęszczała do specjalnej klasy pierwszej w innej szkole, gdzie prawie się nie odzywała. Nie rozmawiała z nikim poza swoją matką i siostrą. Przywitałyśmy się uśmiechem, zadowolone z widoku znajomej twarzy.

Elegancka kobieta w średnim wieku wniosła do klasy piękną dziewczynkę podobną do lalki. Dziewczynka wydawała się żywcem wyjęta z magazynu mody dla dzieci: wykrochmalona sukienka i starannie uczesane blond włosy. Była to Susannah Joy, miała sześć lat i po raz pierwszy przyszła do szkoły. Lekarze powiedzieli jej rodzicom, że córka nigdy nie będzie normalna. Stwierdzono u niej dziecięcą schizofrenię. Cierpiała na słuchowe i wzrokowe halucynacje i przez większą część dnia siedziała zapłakana, kołyszając się w przód i w tył. Rzadko się odzywała, a jeszcze rzadziej z sensem. W spojrzeniu jej matki wyczytałam nieme błaganie, abym użyła mojej magii i zamieniła jej dziecko z bajki w zdrową dziewczynkę. Na widok tego spojrzenia poczułam ukłucie w sercu, ponieważ dostrzegłam w nim także odrzucenie. Dobrze znałam ból i cierpienie, jakie czekały tych, do których wreszcie dotarło, że nikt z nas nie posiada magicznej mocy, jakiej szukali rodzice Susannah Joy.

Ostatni przyszedli William i Guillermo. Obaj mieli po dziewięć lat. William był chudym i wysokim chłopcem o ziemistej cerze, który panicznie bał się wody, ciemności, samochodów, odkurzaczy i kurzu pod swoim łóżkiem. W obronie przed tym wszystkim uciekał się do skomplikowanego rytuału dotykania siebie samego albo mruczał pod nosem zaklęcia. Guillermo zaś był jednym spośród niezliczonej rzeszy meksykańskich emigrantów, którzy przybywali do Stanów każdego roku, by pracować w polu. Największym problemem Guillerma pozostawał nie jego gniew, nad którym można było zapanować, lecz fakt, że był niewidomy. Bardzo mnie to zaskoczyło, lecz wyjaśniono mi, że z powodu swojego agresywnego zachowania Guillermo nie nadaje się do klasy dla dzieci niewidomych czy niedowidzących. No cóż, pomyślałam, w takim razie jest remis, ponieważ ja nie czułam się kompetentna, by opiekować się niewidomym dzieckiem.

Tak więc zebraliśmy nas dziesięcioro, a właściwie jedenaścioro, razem z Whitney, uczennicą szkoły średniej. Kiedy po raz pierwszy przyjrzałam się tej zbieraninie



wychowanków i opiekunów, poczułam, że ogarnia mnie rozpacz. Czy kiedykolwiek uda nam się stworzyć klasę? Czy uda nam się opanować matematykę i wszystkie inne cuda, jakie powinniśmy poznać przez najbliższe dziewięć miesięcy? Troje dzieci nie umiało jeszcze korzystać samodzielnie z toalety, dwojgu innym wciąż zdarzały się wypadki. Troje nie potrafiło rozmawiać, jedno nie chciało. Dwoje nie przestawało mówić. Jedno było niewidome. Moja klasa stanowiła wyzwanie, jakiego się nie spodziewałam.

Ale poradziłam sobie. Anton nauczył się zmieniać pieluchy. Whitney nauczyła się sprzątać mocz z dywanu. Ja nauczyłam się brajla. Pan Collins nauczył się nie zaglądać do naszego pawilonu. Ed Somers nauczył się chować. I tak staliśmy się klasą.

Do Bożego Narodzenia stanowiliśmy już zżyłą grupę, a ja nie mogłam się doczekać każdego następnego dnia. Sarah znowu zaczęła odzywać się regularnie, Max uczył się liter, Tyler uśmiechała się od czasu do czasu, Peter coraz rzadziej wpadał w gwałtowną złość, William potrafił przejść obok wszystkich wyłączników światła w korytarzu, który prowadził do jadalni, nie wypowiadając ani jednego zaklęcia, Guillermo uczył się, choć niechętnie. A Susannah Joy i Freddie? No cóż, pracowaliśmy nad nimi.

Artykuł w gazecie przeczytałam w końcu listopada i zapomniałam o nim. A nie powinnam. Powinnam była wiedzieć, że prędzej czy później będzie nas jedenaścioro.

Ed Somers zjawił się w moim pokoju na drugi dzień po przerwie bożonarodzeniowej. Przyszedł wcześniej, a na jego obliczu czaił się ten skruszony wyraz twarzy, który -jak już zdążyłam się przekonać - oznaczał dla mnie kłopoty. Widziałam go już, kiedy mi oznajmił, że nie dostanę dodatkowej pomocy dla Guillerma, albo kiedy przyniósł mi kolejne beznadziejne orzeczenie lekarza, którego znaleźli rodzice Susannah. Ed chciał, żeby było inaczej, a ja wierzyłam, że ma dobre intencje, dlatego nie potrafiłam gniewać się na niego.

- Dostaniesz jeszcze jedno dziecko do klasy - oznajmił, a jego twarz odzwierciedlała wahanie, jak mi to powiedzieć.

Przez długą chwilę tylko na niego patrzyłam, ponieważ nie byłam pewna, czy dobrze go zrozumiałam. Zaskoczył mnie. Miałam już w klasie tylu podopiecznych, na ilu zezwalało prawo.

- Ed, ja już mam ośmioro dzieci.

- Wiem, Torey, ale to jest wyjątkowa sprawa. Nie mamy co z nią zrobić. Twoja klasa jest jej jedyną szansą.

- Ale ja już mam ośmioro dzieci - powtórzyłam z uporem. - Nie mogę mieć więcej.

Ed posłał mi bolesne spojrzenie. Był wysokim, potężnym mężczyzną, w typie sportowca, obdarzonym jednak lekką otyłością wieku średniego. Zdążył już stracić większość

włosów, a te, które mu zostały, zaczesywał starannie na lśniącej łysinie. Przede wszystkim jednak był bardzo łagodną osobą i zawsze dziwiłam się, jak to się stało, że zaszedł tak wysoko w szkolnictwie, gdzie nikomu nie ułatwiano żygia. Może właśnie na tym polegała jego tajemnica, ponieważ zawsze miękłam, widząc jego skruszoną minę, kiedy przekazywał mi złe wieści.

- Dlaczego to dziecko jest takie wyjątkowe? - spytałam z ciekawością.

- Chodzi o tę dziewczynkę, która w listopadzie podpaliła chłopca. Zabrali ją ze szkoły i mają umieścić w szpitalu stanowym, ale na razie nie ma wolnego miejsca na oddziale dziecięcym. Dziewczynka siedzi od miesiąca w domu i pakuje się w coraz większe kłopoty. Ci z opieki społecznej dopytują się, dlaczego nic z nią nie robimy.

- Nie mogą przyznać jej nauczania indywidualnego? - spytałam. Wcześniej kilkoro moich dzieci korzystało z tej formy pomocy; nauczyciel przychodził do nich do domu, jeśli z jakichś powodów nie mogły uczęszczać do szkoły. Uczono w ten sposób mocno upośledzone dzieci, dopóki nie znaleziono dla nich właściwego miejsca.

Ed zmarszczył czoło i wbił wzrok w podłogę.

- Nikt nie chce z nią pracować.

- Przecież ona ma sześć lat - odparłam. - Boją się sześciolatniego dziecka?

Wzruszył ramionami, a jego milczenie mówiło mi więcej niż jakiegokolwiek słowa wyjaśnienia.

- Ale ja już mam komplet.

- Możemy zabrać ci jedno dziecko, Torey. Musimy tutaj umieścić tamtą dziewczynkę. Tylko na jakiś czas, dopóki nie zwolni się miejsce w szpitalu. Musimy ją tutaj umieścić. Nigdzie indziej się nie nadaje. Można ją zostawić tylko u ciebie.

- Chcesz powiedzieć, że tylko ja jestem na tyle głupia, żeby ją przyjąć.

- Możesz wyznaczyć jedno dziecko do zabrania.

- Kiedy mogę się jej spodziewać?

- Ósmego.

W tym momencie przyszły dzieci i musiałam się przygotować do pierwszych zajęć po przerwie świątecznej. Ed wyczuł, że chcę już zabrać się do pracy, więc skinął tylko głową i wyszedł. Wiedział, że jeśli da mi trochę czasu, ulegnę. Wiedział też, że mimo całej mojej zuchwałości jestem typem popychadła.

Przekazałam Anionowi nowiny i popatrzyłam na dzieci. Przez cały dzień zadawałam sobie pytanie, które z nich powinno odejść. Guillermo wydawał się oczywistym kandydatem, głównie z tego powodu, że czułam się najmniej kompetentna, by go uczyć. A Freddie albo

Susannah Joy? Żadne z nich nie poczyniło widocznych postępów. Każdy mógł posadzić ich w kacie i zmienić im majtki. A może Tyler? W znacznym stopniu wyzbyła się swoich skłonności samobójczych, a jej rysunki nie były już tak ponure. Pedagog szkolny z pewnością by sobie z nią poradził. Przyglądałam się im kolejno i zastanawiałam, dokąd by poszli i jak by sobie radzili. Jaka byłaby bez nich nasza grupa. Wiedziałam, że żadne z tych dzieci nie przetrwałoby w bardziej rygorystycznej klasie. Żadne z nich nie było jeszcze gotowe. Ja także nie byłam gotowa, by zrezygnować z pracy z nimi, by je wypuścić dalej.

- Ed? - Ścisnęłam mocno słuchawkę, ponieważ wyslizgiwała mi się ze spoczonej dłoni. - Nie chcę oddawać żadnego z dzieci. Klasa zdążyła się już zżyć. Nie potrafię wybrać żadnego.

- Torey, mówiłem ci, że musisz ją przyjąć. Wierz mi, że robię to z niechęcią, ale twoja klasa jest jedynym miejscem, gdzie można ją umieścić.

Przez chwilę patrzyłam zamyślona na tablicę ogłoszeń nad telefonem, gdzie anonsowano wydarzenia, w których moje dzieci nigdy nie wezmą udziału. Czułam się wykorzystywana.

- Czy mogę mieć dziewięć dzieci w klasie?

- A przyjmiesz tyle?

- To wbrew przepisom. Dostanę pomoc?

- Zobaczymy.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz?

- Mam nadzieję, że tak - odparł Ed. - Zobaczymy. Czy będzie ci potrzebna jeszcze jedna ławka?

- Potrzebuję jeszcze jednego nauczyciela. Albo innej sali.

- A wystarczy ci dodatkowa ławka?

- Nie. Ja w ogóle nie mam ławek. Nie zmieściło się osiem, więc wyrzuciłam wszystkie. Siedzimy na podłodze albo na krzesłach. Nie, nie potrzebuję jeszcze jednej ławki. Po prostu przyślij mi to dziecko.

Zjawiała się ósmego stycznia. Od chwili, kiedy zgodziłam się ją przyjąć, do dnia, w którym przyszła do szkoły, nie otrzymałam żadnych wiadomości na jej temat, żadnej dokumentacji czy historii choroby. Wiedziałam o niej tylko tyle, ile przeczytałam w gazecie, w krótkim artykule pod komiksami na stronie szóstej, półtora miesiąca wcześniej. Ale nie miało to chyba większego znaczenia. Nic nie mogło mnie dostatecznie przygotować na to, co mnie czekało.

Przyprowadził ją Ed Somers, a właściwie przyciągnął za sobą, trzymając ją mocno w pasie. Towarzyszył mu pan Collins.

- To będzie twoja nowa nauczycielka - wyjaśnił Ed. - A tu będzie twoja nowa klasa.

Spojrzałyśmy na siebie. Sheila miała prawie sześć i pół roku, prawie... Była bardzo drobną dziewczynką, miała potargane włosy, złowrogie spojrzenie i bardzo brzydko pachniała. Zaskoczył mnie fakt, że jest taka mała. Spodziewałam się kogoś większego. Niejeden trzylatek dorównywał jej wzrostem. Ubrana w dżinsowe ogrodniczki i wypłowiały chłopięcy podkoszulek przypominała dziecko z reklamy „Ratujcie Dzieci”.

- Cześć, jestem Torey - odezwałam się najłagodniejszym tonem, na jaki może się zdobyć nauczyciel, i wyciągnęłam do niej rękę. Kiedy nic nie odpowiedziała, przejęłam od Eda jej mokry nadgarstek.

- To jest Sarah - powiedziałam. - Oprowadzi cię po klasie i pokaże wszystko.

Sarah wyciągnęła rękę, lecz Sheila nawet nie drgnęła, przesuwając szybko wzrokiem po twarzach innych.

- Chodź, dzieciaku - powiedziała Sarah i chwyciła ją za nadgarstek.

- To jest Sheila - wyjaśniłam. Sheili nie spodobały się nasze poufale gesty, ponieważ wyrwała rękę i zrobiła krok w tył. Odwróciła się, gotowa do ucieczki, lecz na szczęście w drzwiach stał jeszcze pan Collins i wpadła prosto na niego. Chwyciłam ją za ramię i wciągnęłam z powrotem do klasy.

- Pójdziemy już - powiedział Ed, a na jego obliczu pojawił się przepraszający wyraz twarzy. - W pokoju nauczycielskim zostawiłem dla ciebie jej dokumentację.

Po wyjściu Eda i pana Collinsa Anton zamknął drzwi na zasuwę. Pociągnęłam Sheilę przez klasę do mojego krzesła, gdzie zawsze odbywały się nasze poranne dyskusje, i posadziłam przed sobą na podłodze. Pozostałe dzieci podeszły do nas nieśmiało. Teraz było nas dwanaścioro.

Każdy ranek w naszej klasie rozpoczynał się „dyskusją”. Kiedy ja chodziłam do szkoły, przed rozpoczęciem lekcji składaliśmy przysięgę wierności narodowi i śpiewaliśmy patriotyczne piosenki. Uważałam, że patriotyzm nie jest najlepszym tematem do dyskusji dla dzieci, które często nie potrafią wyrazić swoich podstawowych potrzeb, lecz rada szkoły odnosiła się podejrzliwie do każdego, kto nie okazywał dostatecznie wyraźnie swojego patriotyzmu. Tak więc poszłam na kompromis i wprowadziłam dyskusję. Dzieci pochodziły z tak różnych domów, że uznałam, iż potrzebujemy czegoś, co by nas jednoczyło każdego ranka. Poza tym szukałam środka, który by ułatwił ich komunikację i zrozumienie mowy. Zaczynaliśmy więc od przysięgi. Prowadziło ją jedno z dzieci, co oznaczało, że musiało się jej nauczyć. Miało to swoją dobrą stronę, ponieważ tekst stanowił ciąg sensownie ułożonych słów. Następnym punktem była dyskusja „na temat”. Dotyczył on zwykle uczuć; dzieci opowiadały o tym, co pomaga im być szczęśliwymi. Kiedy indziej rozwiązywały jakiś problem, na przykład co by zrobiły, gdyby zobaczyły, że któreś się zraniło. Zawsze staraliśmy się, aby wszyscy mieli możliwość wypowiedzenia się. Początkowo to ja proponowałam tematy do dyskusji, lecz po miesiącu dzieci zaczęły wysuwać własne propozycje i tak już zostało.

Następnie każde z dzieci miało trochę czasu, aby opowiedzieć o tym, co robiło od chwili opuszczenia szkoły poprzedniego dnia. Te dwa aspekty naszej dyskusji znacznie ją ożywiały, tak że nawet Susannah czasem brała w niej udział w sposób zrozumiały dla innych. Dzieci miały zwykle wiele do powiedzenia i bywały dni, w których z trudnością kończyłam dyskusję. Później przedstawiałam plan naszych zajęć na dany dzień i kończyliśmy piosenką. Znałam wiele piosenek-pokazywanek; podczas ich śpiewania mój zapał przewyższał zwykle umiejętności. Często śpiewając którąś z nich, posługiwałam się jednym z uczniów jak marionetką. Dzieci uwielbiały to i zawsze kończyliśmy salwą śmiechu, nawet w dni, które nie rozpoczęły się zbyt pogodnie.

Tak więc i tamtego ranka zebrałam wszystkich wokół siebie.

- Dzieci, to jest Sheila. Dołączy do naszej klasy.

- Jak to? - spytał Peter z podejrzliwą miną. - Nie mówiłaś, że przyjdzie do nas nowa dziewczyna.

- Mówiłam, Peter. W piątek ćwiczyliśmy Jak pokażemy Sheili, że cieszymy się z jej przybycia. Pamiętasz, co robiliśmy?

- Ja się nie cieszę, że przyszła - odparł. - Mnie się podobało z nami, tak jak było. - Zakrył uszy dłońmi i zaczął się kołysać.

- Będziemy potrzebować trochę czasu, zanim się przyzwyczaimy. - Kiedy poklepałam Sheilę po ramieniu, odsunęła się. - Dobrze, kto ma temat?

Dzieci siedziały wokół mnie na podłodze, lecz żadne się nie odezwało.

- Nikt? W takim razie ja podpowiem. Jak myślicie, co czuje ktoś, kto jest nowy i nie zna nikogo albo kto chce należeć do grupy, a innym się to nie podoba? Jakie to może być uczucie?

- Złe - powiedział Guillermo. - Kiedyś mi się to zdarzyło i czułem się źle.

- Może nam o tym opowiesz? - zaproponowałam. Nieoczekiwanie Peter zerwał się na nogi.

- Ona śmierdzi - oznajmił i odsunął się od Sheili. - Strasznie śmierdzi i nie chcę, żeby z nami siedziała. Zaśmierdzi mnie.

Sheila obrzuciła go ponurym spojrzeniem, lecz nic nie powiedziała i nie poruszyła się. Siedziała skulona z rękoma splecionymi wokół kolan.

Sarah wstała i podeszła do Petera, który zdążył zmienić miejsce.

- Torey, ona naprawdę śmierdzi. Tak jak siki.

Dobre obyczaje z pewnością nie były naszą najmocniejszą stroną. Nie zdziwił mnie ich brak taktu, lecz jak zawsze byłam nieco zmieszana. Nie znalazłam sposobu, by powstrzymać dzieci przed tego typu bezpośrednimi uwagami. Jeśli chodzi o naukę dobrych manier, to żeby zrobić krok do przodu, szliśmy dwa do tyłu i sześć w bok.

- Peter, jak myślisz, jak to jest, kiedy ktoś mówi, że śmierdzisz?

- Ale ona strasznie śmierdzi - odparł Peter.

- Nie o to cię pytałam. Jak byś się czuł, gdyby ktoś powiedział ci coś takiego?

- Na pewno nie chciałbym zasmrodzić wszystkich.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- To by zraniło moje uczucia- wtrąciła Tyler, podrywając się na kolana. Wszelkie przejawy gniewu lub nieporozumienia napełniały ją strachem i powodowały, że stawała się bardzo opiekuńcza wobec zwaśnionych stron.

- A ty, Sarah? - spytałam. - Jak byś się czuła? Sarah wpatrywała się w swoje dłonie, unikając mojego spojrzenia.

- Za bardzo by mi się to nie podobało.

- Tak, nikomu by się to nie podobało. Jak można by lepiej rozwiązać ten problem?

- Można by jej powiedzieć to na osobności... że śmierdzi - wtrącił William. - Wtedy by się tak nie wstydziała.

- Można by ją nauczyć, żeby nie śmierdziała - dodał Guillermo.

- Moglibyśmy wszyscy zatkać nosy - powiedział Peter. Wciąż nie chciał przyznać, że jego uwagi były nie na miejscu.

- To by w niczym nie pomogło, Peter - oświadczył William. - Nie dałoby się oddychać.

Roześmiałam się.

- Niech wszyscy spróbują zastosować się do propozycji Petera. Ty też, Peter.

Wszystkie dzieci, poza Sheila, zatkały nosy i zaczęły oddychać ustami. Starłam się namówić Sheilę, żeby także spróbowała, lecz ona wciąż siedziała skulona i nieruchoma. Po kilku chwilach wszyscy, nawet Freddie i Max, wybuchnęli śmiechem na widok zabawnych min pozostałych. Wszyscy poza Sheila. W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że ona może pomyślała, iż żartuję sobie jej kosztem, więc szybko zapewniłam ją, że nie miałam takiego zamiaru. Wyjaśniłam, że w taki sposób rozwiązujemy nasze problemy.

- Jak się czujesz w podobnej sytuacji?- spytał ją. Nastąpiła długa chwila ciszy nabrzmiała naszym oczekiwaniem. Widziałam, że pozostałe dzieci zaczynają się niecierpliwić.

- Czy ona nie mówi? - spytał Guillermo.

- Ja kiedyś też nie mówiłam, pamiętacie? - odezwała się Sarah. - Kiedy byłam wściekła, nie odzywałam się do nikogo. - Spojrzała na Sheilę. - Sheilo, ja też nie mówiłam i wiem, jak to jest.

- No cóż, chyba dość naprzykrzaliśmy się Sheili. Dajmy jej trochę czasu, żeby się mogła przyzwyczaić do nas.

Naszą poranną dyskusję zakończyliśmy piosenką *Ty jesteś moim słońcem*, którą zaśpiewaliśmy wrzaskliwym chórem. Freddie klaskał radośnie, Guillermo dyrygował, Peter śpiewał z całych sił, a ja manipulowałam Tyler niczym szmacianą lalką. Przez cały czas Sheila pozostała niewzruszona i siedziała nieruchomo.

Po dyskusji zabraliśmy się do matematyki. Anton pokazywał innym, gdzie mają usiąść, a ja, oprowadziłam Sheilę po klasie. Chociaż trudno to nazwać oprowadzaniem. Musiałam brać ją na rękę i przenosić z jednego miejsca w drugie, ponieważ sama nie chciała zrobić ani kroku. Dziękowałam Bogu, że nie uczę dorosłych. Kiedy stawiałam ją na nogi, ona nie chciała na nic patrzeć i zakrywała twarz dłońmi. Mimo to ciągnęłam ją wszędzie, ponieważ bardzo mi zależało, żeby przyłączyła się do nas. Zaniósłam ją do jej wieszaka na ubrania i do szafki. Przedstawiłam ją Charlesowi, naszej iguanie, Benny'emu, wężowi, i Cebulce, królikowi, który potrafił ugryźć, jeśli ktoś zbyt go niepokoił. Pokazałam jej kwiaty, które zasadziliśmy jeszcze przed Bożym Narodzeniem, a które musiałam podlewać w czasie przerwy świątecznej. Pokazałam jej książeczki, które czytaliśmy codziennie przed lunchem, a także naczynia, w których gotowaliśmy w każde środowe popołudnie. Pokazałam jej nasze akwarium i zabawki. Wzięłam ją też na rękę, aby mogła popatrzeć przez nasze jedyne okno. Nosząc ją z miejsca na miejsce, przez cały czas mówiłam do niej, jakby zadawała mi pytania zainteresowana wszystkim, co jej pokazuję. Nawet jeśli coś ją zaciekawiło, nie dała tego poznać po sobie. Jej

drobne ciało w moich ramionach pozostało sztywne i napięte. Do tego cuchnęła jak ustęp w upalne popołudnie. Później posadziłam Sheilę na krześle przy stole i wyciągnęłam arkusz do matematyki. Wreszcie doczekałam się jej pierwszej reakcji. Chwyła papier, zmięła go i rzuciła nim we mnie. Wyjęłam drugi arkusz. Zrobiła to samo. Położyłam na stole kolejny papier. Ponownie cisnęła mi go w twarz. Wiedziałam, że ma więcej energii niż ja papieru. Tak więc posadziłam ją sobie na kolanach i objęłam ramieniem, blokując jej ręce. Wyciągnęłam następny arkusz. Zadania były proste: dwa plus jeden, jeden plus cztery, nic wielkiego. Wolnym ramieniem przyciągnęłam do siebie tacę z klockami i wysypałam je na stół.

- Dobrze, a teraz uczymy się matematyki - powiedziałam. - Pierwsze zadanie: dwa dodać jeden. - Pokazałam jej dwa klocki i dodałam trzeci. - Ile to jest? Policzmy. - Odwróciła głowę i jeszcze mocniej napięła ciało. - Potrafisz liczyć, Sheilo? - Żadnej odpowiedzi. - Śmiało, pomogę ci. Jeden, dwa, trzy. Dwa dodać jeden równa się trzy. - Wzięłam do ręki ołówek. - Proszę, napiszemy to.

Była to nie kończąca się walka. Musiałam oderwać jej rękę od ciała, rozchylić palce i wsunąć w nie ołówek. Wtedy ona rozluźniła palce, tak że ołówek wysunął się z jej dłoni i spadł na podłogę. Kiedy schyliłam się, żeby go podnieść, chwyciła wolną ręką dwa klocki i rzuciła je daleko od stołu. Złapałam ją za rękę, wsunęłam w nią ponownie ołówek i spróbowałam zacisnąć na nim jej palce, a na nich moją dłoń, zanim znowu upuści ołówek. Niestety, miała nade mną przewagę: będąc osobą leworęczną, musiałam użyć tego ramienia, aby unieruchomić ją na swoich kolanach, wszystkie zaś pozostałe czynności wykonywałam drugą ręką, dlatego nie byłam zbyt szybka. Pewnie i tak bym nic nie wskórała, nawet posługując się lewą ręką. Sheila rozgrywała swoją wojnę partyzancką z dużą wprawą i ołówek znowu spadł na podłogę. Po kolejnej próbie poddałam się.

- Zdaje się, że nie masz jeszcze ochoty na matematykę. Dobrze, możesz siedzieć. Powiem ci tylko, że tutaj wszyscy starają się jak najlepiej robić to, co do nich należy. Ale nie będziemy o to walczyć. Chcesz siedzieć, to siedź. - Zataszczyłam ją w kąt sali, gdzie sadzałam zwykle te dzieci, które były za bardzo pobudzone i potrzebowały wyciszenia albo zachowywały się niegrzecznie i próbowały wrócić na siebie uwagę innych. Posadziłam Sheilę na krześle i wróciłam do pozostałych.

Po dłuższej chwili spojrzałam w jej stronę.

- Sheilo, jeśli zdecydowałaś się już przyłączyć do nas, to możesz przyjść.

Siedziała nieruchomo z twarzą zwróconą do ściany. Po kilku minutach ponowiłam swoje zaproszenie, a potem spróbowałam jeszcze raz. Wyraźnie nie miała zamiaru robić nic, do czego ją zachęcałam. Podeszłam do jej krzesła i wysunęłam je z kąta, po czym wróciłam



do pozostałych dzieci. Nie miałam nic przeciwko temu, żeby pozostała na swoim miejscu, nie chciałam tylko, aby izolowała się od reszty klasy. Skoro miała siedzieć, niech siedzi na środku wśród nas.

Nasz poranek nie różnił się zupełnie od pozostałych, lecz Sheila w niczym nie brała udziału. Pozostała na małym drewnianym krzesełku, na którym ją posadziłam; siedziała z ramionami wokół kolan, które podkurczyła pod brodę. Raz tylko zeszła z niego, żeby pójść do toalety, lecz zaraz wróciła na swoje miejsce i przyjęła dokładnie taką samą pozycję. Siedziała także podczas przerwy, tyle tylko, że na zimnym betonie. Nigdy wcześniej nie spotkałam równie biernego dziecka. Jednakże jej spojrzenie podążało za mną nieustannie. Pełne złości, ponure oczy, które ani na chwilę nie odrywały się od mojej twarzy.

Kiedy nadeszła pora lunchu, Anton pomógł dzieciom przygotować się do przejścia z pawilonu do stołówki. Sheilę także przeniesiono do pozostałych dzieci, które ustawiły się już w szeregu. Podeszłam do niej i ujęłam jej szczupły nadgarstek. Po wyjściu dzieci spojrzaliśmy na siebie. Odniosłam wrażenie, że na moment dostrzegłam w jej oczach jakieś uczucie, coś, co nie było ani gniewem, ani nienawiścią. Strach?

- Chodź do mnie. - Poprowadziłam ją i posadziłam na krześle, naprzeciwko siebie. - Musimy sobie coś wyjaśnić.

Posłała mi ponure spojrzenie i wtuliła głowę między chude ramiona.

- W mojej klasie nie mamy zbyt wielu reguł. Tak naprawdę obowiązują tylko dwie, jeśli nie trzeba stworzyć jakichś specjalnych zasad na specjalne okazje. Pierwsza mówi, że nie wolno nikogo krzywdzić. Nikogo. Siebie też nie. Zgodnie z drugą zasadą staramy się robić wszystko najlepiej, jak potrafimy. Myślę, że tej reguły jeszcze w pełni nie pojęłaś.

Pochyliła nieco głowę, nie spuszczać ze mnie wzroku. Podkurczyła kolana i objęła je ramionami.

- Widzisz, jedną z rzeczy, jakich wymaga się tutaj od ciebie, jest rozmawianie z innymi. Wiem, że ciężko jest rozmawiać, jeśli ktoś nie przywykł do tego. Tutaj rozmawianie stanowi część starania się. Pierwszy raz jest najtrudniejszy i czasem chce się płakać. Tutaj nikogo to nie dziwi. Ale musisz rozmawiać z innymi. Prędzej czy później to nastąpi. Będzie lepiej, jeśli stanie się to prędzej niż później. - Patrzyłam na nią i starałam się, aby moje spojrzenie pozostało równie niewzruszone jak jej. Potrafiła dobrze czytać w ludzkich oczach.

Zawsze żywiłam pewne oczekiwania wobec swoich dzieci. Niektórym z moich kolegów nie podobało się to, że z taką bezpośredniością je traktowałam. Twierdzili, że ich ego jest zbyt wrażliwe. Nie zgadzałam się z nimi. Smutne, podeptane ego, owszem, ale nie kruche. Wręcz przeciwnie. O ich sile świadczył już choćby fakt, że przetrwały to wszystko, przez co

wcześniej przeszły. Jednakże ich życie było bardzo chaotyczne i wprowadzało chaos w życie innych. Nie chciałam zwiększać jeszcze tego zamętu, każąc im domyślać się moich oczekiwań wobec nich. Uznałam więc, że wyraźne ich określenie doda naszym wzajemnym relacjom jasności. Oczywiście wszystkie dzieci zdążyły już pokazać, że nie są w stanie wykorzystać swoich możliwości bez pomocy, inaczej nie znalazłyby się w mojej klasie. Ale gdy tylko nadchodził stosowny moment, zaczynałam przekazywać władzę w ich ręce. Na początku jednak zależało mi na tym, żeby miały świadomość tego, czego od nich oczekiwałam.

Tak więc siedziałyśmy z Sheilą naprzeciwko siebie w głębokim milczeniu, a ona trawiła moje słowa. Nie chciałam zmuszać jej, żeby spuściła wzrok, nie o to mi chodziło. Po kilku chwilach wstałam i podeszłam do kosza z arkuszami matematycznymi.

- Nie możesz zmusić mnie do mówienia - odezwała się.

Nie przestałam szukać wśród papierów pióra do poprawiania prac. O jakości nauczyciela w dużej mierze decyduje umiejętność odpowiedniego rozłożenia pracy w czasie.

- Powiedziałam, że nie zmusisz mnie do mówienia. Żadnym sposobem.

Spojrzałam na nią.

- Nie zmusisz mnie.

- Nie zmuszę. - Uśmiechnęłam się. - Ale zaczniesz mówić. To część tego, co masz tutaj robić.

- Nie lubię cię.

- Nie musisz.

- Nienawidzę cię.

Nic nie odpowiedziałam. Moim zdaniem wypowiedziała jedno z tych stwierdzeń, które powinny pozostać bez odpowiedzi. Tak więc dalej szukałam swojego pióra i zastanawiałam się, kto mi je zabrał tym razem.

- Nie możesz mnie tu zmusić do niczego. Nie możesz mnie zmusić do mówienia.

- Może nie. - Wsadziłam arkusze z powrotem do koszyka i wróciłam do niej. - Idziemy na lunch? - Wyciągnęłam rękę. Gniew widoczny w jej spojrzeniu ustąpił miejsca czemuś innemu, co było mniej czytelne. Wstała i poszła za mną, uważając, żeby mnie nie dotknąć.

### 3

Po odprowadzeniu Sheili do baru poszłam przejrzeć jej dokumentację. Chciałam się przekonać, czego inni dokonali z tym zdumiewającym dzieckiem. Już z samej obserwacji wynikało jasno, że Sheilą nie cierpi na nie wyjaśnione do końca zaburzenie, jak na przykład Max czy Susannah. Wręcz przeciwnie, potrafiła zdumiewająco dobrze kontrolować swoje zachowanie, o wiele lepiej niż większość dzieci z mojej klasy. Za jej pełnym nienawiści spojrzeniem dostrzegałam spozstrzegawczą i prawdopodobnie inteligentną dziewczynkę. Musiała być w dobrej kondycji, skoro tak świadomie potrafiła manipulować swoim światem. Jednak chciałam się dowiedzieć, czego inni z nią próbowali. Jak na kogoś, kto zaszedł aż do mnie, jej dokumentacja okazała się zdumiewająco skąpa. Większość moich dzieci posiadała teczki wypchane papierami, na których przedstawiali swoje rozwlekłe opinie kolejni lekarze, terapeuci, sędziowie i pracownicy socjalni. Zawsze, kiedy czytałam podobne opinie, nie miałam wątpliwości, że ludzie, którzy je wyrażają, nie pracowali na co dzień z badanym dzieckiem. Słowa na papierze przedstawiały uczone wywody, lecz nie mówiły zdesperowanym nauczycielom i przestraszonym rodzicom, jak pomóc ich dzieciom. Wątpię, czy ktokolwiek potrafiłby wyrazić to słowami. Dzieci te tak bardzo różniły się od siebie, dorastały w tak różny, trudny do przewidzenia sposób, że każdy następny dzień z nimi można było zaplanować jedynie na podstawie bieżących wydarzeń. Nie istniały podręczniki ani kursy, które by przedstawiały przypadki Maxa, Williama czy Petera.

Teczka Sheili zawierała zaledwie kilka dokumentów: wywiad rodzinny, wyniki testów i standardowy formularz Wydziału Usług Specjalnych. Przeczytałam wywiad rodzinny sporządzony przez opiekę społeczną. Podobnie jak w przypadku wielu innych, które do mnie trafiły, znalazłam w nim szokujące fakty, których umysł kobiety z klasy średniej nie był w stanie w pełni pojąć, chociaż nie brakowało mi doświadczenia. Sheila mieszkała z ojcem w jednoizbowej chacie w obozie dla emigrantów. W domu nie było ogrzewania, kanalizacji ani prądu. Matka Sheili porzuciła ją dwa lata wcześniej, ale zabrała ze sobą młodsze dziecko, syna. Obecnie mieszkała w Kalifornii, lecz nikt nie znał dokładnego miejsca jej pobytu. Urodziła Sheilę jako czternastolatka, dwa miesiące po przymusowym ślubie, a jej mąż miał wtedy trzydzieści lat. Czytałam wywiad z niedowierzaniem. Jej matka była teraz zaledwie dwudziestoletnią kobietą, niemal dzieckiem.

W ciągu pierwszych lat życia Sheili jej ojciec przebywał najczęściej w więzieniu, karany za kolejne pobicia. Ostatni raz wyszedł na wolność dwa i pół roku wcześniej, lecz od

tego czasu kilkakrotnie przebywał na leczeniu z powodu nadużywania alkoholu i narkotyków. Dziewczynkę podrzucano kolejnym krewnym i przyjaciółom rodziny, przeważnie ze strony matki, aż ostatecznie została porzucona na autostradzie. Znalaziono ją uczepioną łańcuchowej bariery, która oddzielała jezdnie. Czteroletnią Sheilę zabrano do ośrodka dla nieletnich, gdzie po dokładnym zbadaniu znaleziono na jej ciele liczne blizny i ślady po pobiciu. Potem dziewczynkę ponownie przekazano pod opiekę ojca i przydzielono jej kuratora.

Zdaniem sądu, jak przeczytałam w orzeczeniu, dziecko powinno pozostać w swoim rodzinnym domu. Wyznaczony z urzędu lekarz nabazgrał na dole dokumentu, że drobne rozmiary dziecka są prawdopodobnie wynikiem niedożywienia, lecz poza tym jest to zdrowy osobnik płci żeńskiej, rasy kaukaskiej, na którego ciele widnieją dobrze zagojone blizny i ślady po złamaniach. Na oddzielnym formularzu dołączono opinię głównego psychiatry okręgowego: Negatywizm. Tylko tyle, jedno słowo. Uśmiechnęłam się mimowolnie. Co za wnikliwy wniosek. I jakże pomocny dla nas. Nie wyobrażam sobie innej reakcji dziecka na doświadczenia, które stały się udziałem Sheili. Gdyby ktoś przystosował się do podobnej pornografii życia, mogłoby to tylko świadczyć o jego niepoczytalności.

Wyniki testów były jeszcze bardziej enigmatyczne. U góry na każdej stronie testu napisano ścieśnionym pismem, które świadczyło o frustracji piszącego: Odmowa. Na końcu dodano, że dziecko nie nadaje się do testowania, i podkreślono to dwukrotnie.

Kwestionariusz usług specjalnych zawierał jedynie dane osobowe. Wypełnił go ojciec, który przez wszystkie te, jakże ważne, lata przebywał głównie w więzieniu. Sheila urodziła się w miejscowym szpitalu, a poród przebiegał bez żadnych komplikacji. Nic nie było wiadomo o wczesnym okresie jej życia. W swojej krótkiej biografii zdążyła już trzykrotnie zmienić szkołę, nie licząc tej, w której przebywała obecnie. Był to rezultat jej nieposkromionego zachowania. W domu, stwierdzono w raporcie, Sheila jadła i spała zgodnie z normą. Jednak w nocy moczyła się i ssała kciuk. Nie miała żadnych przyjaciół wśród dzieci emigrantów z obozu i nie łączyły jej też trwałe więzy z dorosłymi. Ojciec napisał, że jest typem samotnika, jest wroga i nieprzyjazna nawet w stosunku do niego. W domu odzywała się sporadycznie, zwykle powodowana złością. Nigdy nie płakała. Przeczytałam to zdanie jeszcze raz. Nigdy nie płakała? Nie znałam sześciolatka, który by nie płakał. Ten, kto to napisał, chciał pewnie powiedzieć, że rzadko płakała. To pewnie miał na myśli.

Czytałam dalej. Ojciec uważał ją za krnąbrne dziecko i często bił albo odbierał jej przywileje. Zastanawiałam się, jakie to przywileje mógł jej odebrać. Oprócz wypadku poparzenia chłopca karano ją także za wzniesienie ognia na terenie obozu emigrantów oraz za wysmarowanie fekaliami ścian toalety na dworcu autobusowym. Mając sześć i pół roku, Sheila

zdażyła już trzykrotnie odwiedzić posterunek policji.

Wpatrywałam się w zlepki chaotycznych informacji. Nie mogła być uważana za kochane dziecko, ponieważ bardzo się starała, aby tak się nie stało. Z pewnością nie zanosilo się też, aby była uległą uczennicą. Ale na pewno istniał jakiś sposób, aby do niej dotrzeć. Podejrzewałam, że pomimo swojego zachowania Sheila jest bardziej otwartym dzieckiem niż Susannah Joy czy Freddie. Nie miałam podstaw, by sądzić, że jej reakcje wynikają z opóźnienia w rozwoju, uszkodzeń neurologicznych czy jakiejś innej tajemniczej choroby mózgu. Z moich wstępnych obserwacji wynikało, że w tym względzie jest ona normalnie funkcjonującym dzieckiem. Co w niczym nie upraszczało sprawy, ponieważ wiedziałam, że wszystko zależy od relacji między nami. A zatem żadnych wygodnych orzeczeń, żadnych zasłon jak autyzm czy zaburzenie mózgu, które zaciągano w przypadkach niepowodzeń z dziećmi podobnymi do Sheili. Miałyśmy tylko siebie. To wrogie spojrzenie skrywało małą dziewczynkę, która zdażyła się już nauczyć, że życie nie niesie nikomu zbyt wiele radości, a najlepszym sposobem na to, by uniknąć ponownego odtrącenia, jest jak najgorsze zachowanie wobec innych. Łatwiej uniknąć rozczarowania, nie okazując miłości. Prosty fakt.

Kiedy przeglądałam dokumenty Sheili, przyszedł Anton. Przysunął sobie krzesło i wziął do ręki papiery, które właśnie odłożyłam. Chociaż początkowo nie szło nam najlepiej, z czasem nauczyliśmy się współpracować. Doskonale radził sobie z dziećmi. Ponadto o wiele lepiej ode mnie znał świat, z którego pochodziły, ponieważ wcześniej większość swojego życia spędził na polach i wciąż mieszkał w obozie emigrantów, w małej chacie, z żoną i dwoma synami. Ja posiadałam wiedzę i doświadczenie, Anton zaś instynkt i mądrość. Nigdy nie byłabym w stanie zrozumieć pewnych aspektów ich życia, gdyż pochodziłam ze świata, w którym ludzie mieszkają w ciepłych domach, gdzie nie ma przemocy, głodu i karaluchów. Nigdy tego nie doświadczyłam i dopiero jako dorosła pojęłam, że inni wiodą odmienne życie i traktują to jak coś normalnego. Wątpię, by zrozumiał to ktoś, kto żyje inaczej; jeśli tak twierdzi, to albo oszukuje samego siebie, albo się przechwala. Anton uzupełniał moje niedostatki, dzięki czemu tworzyliśmy zgrany zespół. Chociaż nikt mu nie mówił, nauczył się, jak i komu pomagać w danym momencie. Jego dodatkowym atutem był fakt, że - w przeciwieństwie do mnie - mówił po hiszpańsku. Wielokrotnie ratował nas z oparów, kiedy Guillermo wykraczał poza zasób swojego angielskiego słownictwa. Teraz Anton siedział obok mnie zajęty czytaniem dokumentacji Sheili.

- Jak jej poszło w czasie lunchu?

Skinął głową w odpowiedzi, nie odrywając wzroku od papierów.

- W porządku. Je, jakby nigdy nie widziała jedzenia. I pewnie tak jest. No i te jej

manierę. Ale siedziała z innymi dziećmi i nie rozrabiała.

- Znasz jej ojca?

- Nie. On mieszka po drugiej stronie obozu, gdzie żyją biali. Jest tam pełno ćpunów. Nigdy tam nie chodzimy.

W tym momencie weszła Whitney i oparła się o stół. Była na swój sposób ładną dziewczyną: wysoka, szczupła, brązowe oczy i długie, proste, brudnoblond włosy. Whitney była wzorową uczennicą szkoły średniej i pochodziła z bardzo szacownej rodziny, a mimo to okazała się piekielnie wstydliva. Kiedy zaczęła nam pomagać jesienią, wszystkie swoje zadania wykonywała w absolutnym milczeniu, nigdy nie patrzyła mi w oczy i zawsze uśmiechała się nerwowo, nawet jeśli coś poszło nie tak. Jeśli już się odzywała, to po to tylko, żeby skrytykować samą siebie albo przeprosić za to, że zrobiła coś źle. Niestety, na początku zdarzało się to często. Popępiała wszelkie możliwe gafy. Upuściła na podłogę w sali gimnastycznej dwulitrową puszkę ze świeżo rozmieszaną farbą klejową. Zostawiła Freddiego w męskiej toalecie w wesołym miasteczku. Nie zamknęła drzwi naszej sali i Benny, nasz boa dusiciel, wybrał się z wizytą do pani Andersen, nauczycielki z pierwszej klasy. Dla mnie obecność Whitney oznaczała jeszcze jedno dziecko, którym się trzeba opiekować. Pewnie straciłabym do niej cierpliwość, gdyby nie zależało mi tak bardzo na dodatkowym pomocniku. Przez pierwsze tygodnie nieustannie coś jej wyjaśniałam albo sprzątałam, powtarzając: „Nie martw się”, chociaż wcale tak nie myślałam. A Whitney ciągle płakała.

Ale podobnie jak Anton, Whitney okazała się warta zachodu, ponieważ bardzo troszczyła się o dzieci. Oddała im się bez reszty. Wiedziałam, że czasem opuszcza lekcje, żeby zostać z nami dłużej; często przychodziła w porze lunchu albo po szkole. Z domu przynosiła dzieciom zabawki, z których już wyrosła. Podsuwała pomysły, o których w wolnym czasie przeczytała w czasopiśmie pedagogicznych. Nieustannie ściagało mnie jej błagalne spojrzenie domagające się aprobaty. Whitney rzadko mówiła o swoim życiu poza klasą. Domyślałam się, że pomimo znaczącego nazwiska i statusu w pewnym sensie przypominała dzieci z mojej klasy. Tak więc cierpliwie znosiłam jej niezdarność i czyniłam wysiłki, by poczuła się ważnym członkiem naszego zespołu.

- Przyszła już ta nowa dziewczynka? - spytała Whitney. Pochyliła się nad stołem, tak że jej włosy opadły na papiery, które przeglądałam.

- Tak - odparłam i opowiedziałam jej krótko o wszystkim, co wydarzyło się przed południem. I wtedy usłyszałam przeraźliwy krzyk.

Wiedziałam, że krzyczy jedno z moich dzieci. Żadne inne, z innej klasy, nie potrafiło wydobyć tak wysokiego tonu w chwili desperacji. Spojrzałam pytająco na Antona, a Whitney

podeszła do drzwi, by wyrzeć na korytarz.

Do pokoju wpadła, zawodząc i zataczając się, Tyler. Pokazała ręką na korytarz. Nie przestając szlochać, odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Wszyscy troje popędziliśmy za nią w kierunku drzwi, które prowadziły do pawilonu. Normalnie w czasie przerwy na lunch dziećmi zajmowały się wyznaczone dyżurne. Zimą uczniowie bawili się w swoich klasach, a dyżurne pilnowały porządku na korytarzu. Ciągłe im powtarzałam, że nie wolno zostawiać moich dzieci bez opieki, lecz one niechętnie chodziły do naszej klasy i zbierały się zwykle przy drzwiach wejściowych do pawilonu, skąd nasłuchiwały, czy nie dzieje się coś złego. Moje dzieci jadły lunch ostatnie, co oznaczało, że dyżurne musiały ich pilnować tylko przez dwadzieścia minut. Mimo to nie chciały zostawać z dziećmi w klasie. Zwykle nie przejmowałam się nimi, ponieważ uczyłam dzieci samodzielności, aby mogły funkcjonować bez mnie. Pora lunchu stanowiła właśnie codzienny sprawdzian tej umiejętności. Oboje z Anionem bardzo potrzebowaliśmy tej półgodzinnej przerwy. Czasem jednak sprawy wymykały się spod kontroli.

Kiedy biegliśmy, Tyler usiłowała coś nam powiedzieć przez łyżę; mówiła coś o nowej dziewczynce. Wbiegłam do klasy.

Sheila stała w pozie obronnej na krześle przy akwarium. Wyglądało na to, że wyłowiła złote rybki i wydłubała im oczy ołówkiem. Siedem czy osiem pozbawionych oczu rybek rzucało się na podłodze wokół krzesła. Jedną Sheila ścisnęła w prawej ręce, w lewej zaś trzymała ołówek. Nieopodal krzesła kręciła się nerwowo dyżurna, lecz była zbyt przestraszona, by spróbować rozbroić Sheilę. Sarah zawodziła głośno, a Max biegał po sali, wymachując rękoma i krzycząc.

- Rzuć to! - zawołałam najbardziej stanowczym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć. Sheila posłała mi groźne spojrzenie i potrząsnęła ołówkiem. Nie miałam wątpliwości, że zaatakuje, jeśli zostanie sprowokowana. W jej oczach czaiło się dzikie spojrzenie przestraszonego zwierzęcia. Ryby rzucały się bezradnie, pozostawiając krwawe plamki w miejscach, gdzie dotykały podłogi pustymi oczodołami. Usłyszałam chrzęst, kiedy Max nadepnął jedną z nich.

Nagle powietrze przecięł krzyk ostry jak nóż. Do klasy weszła Susannah. Cierpiała na psychotyczny strach przed krwią lub jakąkolwiek czerwoną cieczą i zawsze, kiedy widziała krew albo tylko ją sobie wyobrażała, wpadała w szal i biegała chaotycznie, krzycząc przeraźliwie. Teraz, ujrzawszy ryby, pobiegła na drugi koniec klasy. Anton poszedł za nią, a ja wykorzystałam moment zaskoczenia i spróbowałam rozbroić Sheilę. Okazała się jednak bardziej czujna, niż się spodziewałam. Uderzyła ołówkiem w moje ramię z taką siłą, że przez

chwile drgał pionowo, zanim spadł na podłogę. Totalny chaos w moim umyśle odwrócił uwagę od rzeczywistego bólu ręki. Freddie dołączył do Maxa i teraz obaj krążyli po klasie. Tyler zawodziła głośno, Guillermo schował się pod stołem, a William płakał w kącie. Whitney próbowała złapać wrzeszczącego Maxa i Freddiego. Hałas stawał się nie do wytrzymania.

- Torey! - usłyszałam wołanie Williama. - Peter ma atak! - Odwróciłam się i zobaczyłam, jak chłopiec pada na podłogę. Przekazałam Sheile Whitney i pobiegłam, by odsunąć krzesła, między którymi upadł Peter.

Sheila poczęstowała Whitney głośnym kopniakiem w goleń i wypadła za drzwi. Przyklękłam obok Petera, który wciąż drgał konwulsyjnie, i próbowałam wyczuć jego puls. Wszystko wydarzyło się w ciągu kilku minut. Straciliśmy kontrolę, nad utrzymaniem której tak ciężko pracowaliśmy. Wszystkie dzieci poza Peterem płakały. Sarah, Tyler i William chlipali pod ścianą przytuleni do siebie. Spod stołu dochodziło zawodzenie Guillerma. Siedział, okrywając głowę rękoma, i wołał matkę po hiszpańsku. Susannah rzucała się w ramionach Antona. Max i Freddie wciąż krążyli po klasie jak w amoku, zderzając się z meblami i pozostałymi dziećmi. Peter leżał nieprzytomny w moich ramionach. Rozejrzałam się. Whitney zniknęła w pogoni za Sheila. Dyżurna zniknęła już dawno temu. Kompletny chaos. Po miesiącach długotrwałych wysiłków wszystko się rozpadło.

W drzwiach pojawił się pan Collins w towarzystwie szkolnej sekretarki. Normalnie fakt, że patrzy na moją klasę pogrążoną w całkowitym chaosie, bardzo by mnie przeraził. Lecz sprawy zaszły za daleko i potrzebowałam pomocy. Musiałam to przyznać. Przez wszystkie lata naszej współpracy dawałam sobie radę z moimi zwariowanymi dziećmi i nigdy nie mieliśmy większej wpadki. Teraz jednak zmuszona byłam przyznać się do porażki. Zawsze mi powtarzał, że kiedyś to nastąpi. Wreszcie moi wariaci wymknęli mi się spod kontroli. Byłam przekonana, że dziękuje Bogu, iż umieścił nas w pawilonie, gdzie nikt niczego nie widział.

Sekretarka wzięła Petera do gabinetu pielęgniarki, skąd miał zostać zabrany do domu, ponieważ zawsze po ataku potrzebował snu. Pan Collins pomógł mi złapać Freddiego i Maxa i nakłonić ich, aby usiedli na krzesłach. Ja wyciągnęłam biednego Guillerma spod stołu i przytuliłam go. Wyobrażam sobie, jakim koszmarem musiało być podobne wydarzenie dla niewidzącego dziecka... Anton wciąż próbował uspokoić Susannah Joy. Kiedy wreszcie wydawało się, że sytuacja jest mniej więcej opanowana, Tyler i Sarah wyraziły chęć udania się do kącika dyskusyjnego, gdzie mogły się wzajemnie pocieszyć. William jednak pozostał na swoim miejscu, wciąż szlochał i trząsł się. Ran Collins próbował go uspokoić, lecz jakoś nie potrafił podejść na tyle blisko, żeby przytulić do siebie dziecko. Chodząc po klasie, rozgniataliśmy martwe ryby i ślizgaliśmy się na nich. Odgłos wgniatania butami łusek w dywan



przypominał stłumione piszczenie. Wreszcie udało mi się zebrać wszystkie dzieci i płacze ucichły. Whitney i Sheila nie wróciły, lecz w tym momencie nie myślałam o tym.

Pan Collins był na tyle uprzejmy, że nie spytał, co się stało. Z kamienną twarzą robił to, o co go prosiłam. Kiedy dzieci uspokoiły się, podziękowałam mu za pomoc i spytałam, czy mógłby przysłać Mary, jedną z asystentek szkolnych, która pomagała mi bardzo w poprzednim roku. Wyjaśniłam, że wciąż brakuje jednego dziecka i że będę miała dużo pracy tego popołudnia. Jeszcze jeden dorosły opiekun pozwoli mi lepiej zająć się dziećmi.

Gdy przyszła Mary, dzieci pomogły jej wybrać opowiadanie, którego chciały posłuchać, a ja udałam się na poszukiwanie Sheili. Uciekając, pogubiła się w labiryncie korytarzy i drzwi prowadzących do głównego budynku. Whitney zdążyła zamknąć drzwi wyjściowe, zanim znalazła je Sheila, która bardziej przez przypadek niż z wyboru zapędziła się do sali gimnastycznej, skąd już nie miała dalszej drogi ucieczki. Kiedy przyszłam, Whitney stała w drzwiach ogromnej sali, a Sheila pod przeciwległą ścianą.

Po twarzy Whitney płynęły łzy. Serce mi się ścisnęło, kiedy ją ujrzałam. Było to zbyt duże przeżycie dla czternastolatki. Nie powinnam była powierzać jej tego zadania. Jednakże cuda z mojego worka wyczerpały się. Dwoje dorosłych nie było w stanie zapanować nad tyloma przestraszonymi dziećmi. Przetrwałam tak długo tylko dzięki szczęściu, lecz ono w końcu się wyczerpało.

Weszłam do sali, poklepałam Whitney po ramieniu i poszłam w stronę Sheili. Najwyraźniej nie miała zamiaru dać się złapać. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Gdy tylko próbowałam się zbliżyć, uciekała w przeciwnym kierunku. Staralam się przemawiać do niej łagodnym głosem, chociaż nie do końca pozbyłam się gniewu. Podchodziłam powoli, ale to nie miało znaczenia, ponieważ w tak dużej sali mogła wymykać mi się w nieskończoność.

Wreszcie zatrzymałam się, szukając w myślach innego sposobu. Musiałam ją złapać. Widziałam w jej oczach przerażenie, nad którym nie potrafiła zapanować. Było jasne, że nie potrafi ocenić sytuacji i kieruje się już tylko zwierzęcym instynktem. Stanowiła teraz o wiele większe zagrożenie dla siebie samej i innych niż wcześniej w klasie.

Wciąż nie wiedziałam, co robić. Czułam pulsowanie w głowie. Czułam też pulsujący ból w miejscu, gdzie ołówek wbił mi się w ramię. Rękaw mojej koszuli nasiąkł krwią. Z pewnością przestraszyłaby się jeszcze bardziej, gdybyśmy spróbowali otoczyć ją większą grupą. Czułam, że nie powinnam też próbować zapędzić jej do narożnika. Musiała się uspokoić i odzyskać kontrolę nad sobą. Teraz była zbyt niebezpieczna. Z doświadczenia wiedziałam, że nawet takie małe dziecko może okazać się niebezpieczne, jeśli nie dla mnie, to dla siebie samej.

Wróciłam do Whitney i poprosiłam, aby poszła do klasy i powiedziała Anionowi, żeby

razem z Mary zajęli się dziećmi. Potem zamknęłam drzwi do sali gimnastycznej i zaciągnęłam ciężką przegrodę, która dzieliła pomieszczenie na dwie części. Pamiętałam, że są w niej drzwi, które można zamknąć na zamek. Nie mogłam pozwolić, aby Sheila ponownie uciekła. Podeszłam do niej na tyle blisko, aby jej nie wystraszyć, i usiadłam na podłodze.

Patrzyłyśmy na siebie. Dostrzegłam w jej oczach błyski przerażenia. Widziałam też, że drży.

- Sheilo, nie chcę cię skrzywdzić. Nie chcę tego zrobić. Poczekam tutaj, aż przestaniesz się bać, i razem wrócimy do klasy. Nie jestem na ciebie zła. Nie chcę cię skrzywdzić.

Wcześniej byłam na nią zła. Bóg jeden wie jak bardzo. Aż kipiałam z wściekłości, kiedy zobaczyłam na podłodze nasze ulubione rybki z wydłubanymi oczami. Nie znosiłam, kiedy ktoś okazywał okrucieństwo wobec zwierząt. Teraz jednak mój gniew osłabł i patrzyłam na nią ze współczuciem. Była taka dzielna. Pomimo strachu i zmęczenia nie chciała się poddać. Żyła w świecie, w którym nie znalazła zaufania i w którym radziła sobie tylko w jeden sposób. Nie znałyśmy się jeszcze, więc nie wiedziała, czy chcę ją skrzywdzić czy nie. Nie było powodu, dla którego miałyby mi zaufać. Dzielne maleństwo, które musiało stawić czoło nam wszystkim, a przecież byliśmy od niej więksi, silniejsi, posiadaliśmy władzę. Mimo to stanęła dzielnie naprzeciw nas, bez słowa, bez jednej łzy.

Przysunęłam się odrobinę bliżej. Siedziałyśmy tam przynajmniej pół godziny. Dzieliła nas już odległość jakichś dziesięciu stóp, dlatego przyglądała mi się z coraz większą podejrzliwością. Przestałam się przesuwac. Przez cały czas przemawiałam do niej łagodnie, zapewniając, że nie mam zamiaru jej skrzywdzić, że wrócimy do klasy, że nic złego się nie stanie. Mówiłam też o innych rzeczach: o tym, co dzieci lubią robić w klasie, o tym, co lubią robić wspólnie, o tym, co ona mogłaby robić razem z nami.

Mijały długie minuty. Czułam, że drętwieję od siedzenia w bezruchu, a jej nogi drżały od stania w jednej pozycji. Prawdziwy test na wytrzymałość. Wieczność rozciągnęła się nad dzielącą nas odległością.

Czekałyśmy. Jej spojrzenie stawało się coraz spokojniejsze. Zmęczenie brało górę. Zastanawiałam się, która może być godzina, lecz bałam się przekręcić ramię, by spojrzeć na zegarek. Wciąż czekałyśmy.

Z przodu jej spodni pojawiła się ciemna plama, a wokół jej stóp utworzyła się kałuża. Po raz pierwszy spuściła ze mnie wzrok i spojrzała na nią. Przygryzła zębami dolną wargę. Kiedy podniosła wzrok, znowu dostrzegłam na jej twarzy przerażenie.

- Takie wypadki się zdarzają. Nie mogłaś pójść do toalety. To nie twoja wina - powiedziałam. Zdumiał mnie fakt, że po burzy, jaką rozpętała w klasie, coś takiego wzbudziło

w niej poczucie winy.

- Wytrzymaj - mówiłam dalej. - Mam w klasie szmatę na takie okoliczności.

Spojrzała w dół, a potem znowu na mnie. Siedziałam w milczeniu. Cofnęła się ostrożnie krok w tył, by lepiej ocenić sytuację.

- Zlejesz mnie? - spytała zachrypniętym głosem.

- Nie. Ja nie biję dzieci. Zmarszczyła czoło.

- Pomogę ci posprzątać. Nie musimy nikomu mówić. Wiem, że to tylko wypadek, więc niech to zostanie naszą tajemnicą.

- Nie chciałam.

- Wiem.

- Zlejesz mnie?

Opuściłam ramiona zdesperowana.

- Nie, Sheilo, ja nie biję dzieci. Już ci to mówiłam. Spojrzała na swoje spodnie.

- Tata mnie zleje, kiedy to zobaczy.

Przez cały czas siedziałam nieruchomo, by nie zniszczyć naszego kruchej porozumienia.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Jeszcze nie idziesz do domu, spodnie wyschną.

Potarła nos, po czym spojrzała na kałużę i na mnie. Po raz pierwszy okazała niezdecydowanie. Wstałam powoli. Cofnęła się o krok. Wyciągnęłam do niej rękę.

- Chodź, pójdziemy po szmatę i wytrzymaj to. Nie martw się.

Patrzyła na mnie przez długą chwilę, zanim podeszła do mnie ostrożnie. Nie wzięła mnie za rękę, ale poszła ze mną do klasy.

W klasie panował spokój. Anton śpiewał z dziećmi. Whitney trzymała za rękę Susannah, a Mary kołysała Maxa. Zdechłe ryby zniknęły. Kiedy weszliśmy, pozostali odwrócili głowy w naszą stronę, lecz dałam znać Anionowi, aby nie przerywał śpiewania. Sheila wzięła ode mnie wiadro ze ścierką, po czym wróciliśmy do sali gimnastycznej i bez słowa wytarłymiśmy podłogę. Potem Sheila poszła za mną do klasy.

Ku mojemu zdziwieniu pozostała część popołudnia minęła w spokoju. Dzieci zachowywały się powściągliwie z obawy, by powtórnie nie zburzyć kruchej równowagi. Sheila powróciła na krzesło, na którym siedziała przez cały ranek, skuliła się na nim i ssała kciuk. Pozostała tam do końca lekcji, ale przez cały czas nas obserwowała. Jej spojrzenie pozbawione było jakiegokolwiek wyrazu. Podchodziłam kolejno do dzieci, tuliłam je do siebie i rozmawiałam z nimi, starając się ukoić ich niepokój. Wreszcie podeszłam do Sheili.

Usiadłam na podłodze obok jej krzesła i spojrzałam na nią. Z kciukiem w ustach patrzyła na mnie poważnym wzrokiem. Dostrzegłam na jej twarzy skutki tego, co się stało. Nie próbowałam jej dotykać. Anton prowadził końcowe ćwiczenia, dlatego nikt nie zwracał na nas uwagi. Nie chciałam jej wystraszyć zbytnią poufałością, lecz jednocześnie zależało mi, aby wiedziała, że troszczę się o nią.

- Mieliśmy ciężkie popołudnie, prawda? - zagadnęłam. Nie odpowiedziała, wpatrując się we mnie. Z miejsca, w którym siedziałam, miałam okazję przekonać się, jak mocno czuć od niej moczem. - Myślę, że jutro będzie lepiej. Pierwsze dni są zawsze trudne. - Próbowałam odczytać coś z jej oczu, odgadnąć, co dzieje się w jej głowie. Wrogość jej spojrzenia zniknęła, przynajmniej w tej chwili. Nic więcej nie potrafiłam zobaczyć. - Spodnie wyschły?

Wstała i pomacała ręką. Granica wilgoci prawie nie odznaczała się od brudu, który pokrywał tkaninę. Skinęła lekko głową.

- Wystarczy na tyle, żebyś nie miała kłopotów? Kolejne ledwo dostrzegalne skinienie głowy.

- Mam nadzieję, że tak. Każdemu może się to przydarzyć. To naprawdę nie była twoja wina. Nie miałaś sposobności do skorzystania z toalety. - Trzymałam trochę zapasowych ubrań, ponieważ tego rodzaju wypadki zdarzały się dość często w mojej klasie. Dotąd nie wspomniałam jej o tym, nie chcąc przestraszyć jej zbytnią poufałością. Chciałam jednak, aby wiedziała, że w tym miejscu podobne rzeczy są tolerowane.

Przekręciła kciuk w ustach i odwróciła się, żeby popatrzeć na Antona. Pozostałam przy niej aż do końca zajęć.

Po wyjściu dzieci razem z Anionem posprzątałyśmy klasę w milczeniu. Żadne z nas nie wspomniało o tym, co się wydarzyło. Prawie w ogóle się nie odzywaliśmy. Z pewnością nie był to nasz najlepszy dzień. Po powrocie do domu obmyłam sobie ranę po ołówku i założyłam opatrunek. Potem położyłam się na łóżku i rozpłakałam.

Życie w mojej klasie stanowiło ciągłą walkę i nic na to nie mogłam poradzić. Zmagalam się nie tylko z dziećmi, ale także z samą sobą. Aby podołać codziennej pracy z tymi malcami, trzymałam w karbach własne emocje, ponieważ doszłam do wniosku, że kiedy tego nie robię, poddaję się rozczarowaniu i zniechęceniu, które nie pozwalają mi pracować efektywnie. Tak więc każdego dnia wypędzałam w kąty moje własne obawy. Metoda ta pomagała, lecz od czasu do czasu pojawiała się dziecko, które potrafiło zburzyć moje barykady. Wtedy spadała na mnie lawina niepewności i obaw, które tak starannie wcześniej ignorowałam, wtedy też ogarniało mnie poczucie porażki.

Ogólnie rzecz biorąc, byłam marzycielką. Gdzieś za trudnymi do przewidzenia wybrykami dzieci i moją własną słabością, za zniechęceniem i wątpliwościami unosiło się marzenie, które, muszę przyznać, rzadko kiedy mogło się spełnić; marzyłam, że coś może się zmienić. Będąc marzycielką, nie poddawałam się łatwo.

Tak było i tym razem. Moje łzy szybko wyschły i niebawem zasnąłam. Później usadowiłam się wygodnie z kanapką z tuńczykiem, by obejrzeć *Star Trek*. Nigdy nie oglądałam dużo telewizji, dlatego nie widziałam tego serialu, kiedy prezentowano go po raz pierwszy. Teraz jednak, po latach, pojawił się ponownie w lokalnej stacji, codziennie o szóstej po południu. Na początku roku szkolnego, kiedy praca w klasie nie układała się zbyt dobrze, a poziom mojego rozczarowania był dość wysoki, zaczęłam oglądać kolejne odcinki w czasie kolacji i z czasem stało się to moim rytuałem. Film dzielił mój dzień na czas pracy i czas odpoczynku; oglądając go, zapominałam o wszystkich problemach i frustracjach, jakie towarzyszyły mi w szkole. Cudownie pozbawiony wszelkich emocji pan Spock spełniał rolę wieczornego martini.

Tak więc zdążyłam się już pozbierać, zanim Chad wrócił o siódmej. Spotykaliśmy się od osiemnastu miesięcy. Początkowo stanowiliśmy typową parę: częste wypadki do restauracji, do kina, na tańce, obojętne rozmowy. Jednak żadnemu z nas nie odpowiadał taki związek, dlatego zawarliśmy ciepłe, wygodne przymierze. Chad był młodszym partnerem w firmie prawniczej w centrum miasta i przeważnie pracował jako wyznaczony przez sąd adwokat włóczęgów i nieudaczników, którzy znaleźli się w więzieniu. Z tego powodu nie mógł się pochwalić imponującą liczbą wygranych spraw. Tak więc często wieczorami pograżaliśmy się w rozmowach pełnych współczucia dla moich dzieci i jego klientów. Raz czy dwa wspomnieliśmy o małżeństwie, ale na tym się skończyło. Oboje stanowiliśmy typ w miarę

towarzyskiego samotnika, dlatego nie szukaliśmy niczego więcej.

Kiedy przyszedł Chad z półkilogramową porcją karmelowo-czekoladowych lodów, opowiedziałam mu o Sheili. Stwierdziłam, że trafiła kosa na kamień. Wyjaśniłam, że dziecko jest bardzo dzikie i chyba nie uda mi się go ujarzmić. Przyznałam się, że lepiej będzie, jeśli szybko znajdą dla niej miejsce w szpitalu.

Chad roześmiał się tylko i zasugerował, żebym zadzwoniła do jej poprzedniej nauczycielki. Po lodowej orgii, z pełnym brzuchem i bardziej przyjaźnie nastawiona do świata, sięgnęłam po książkę telefoniczną i odszukałam panią Barthuly.

- O Boże - odezwała się pani Barthuly, kiedy przedstawiłam się i powiedziałam, po co dzwonię. - Myślałam, że zamknęli ją na dobre.

Wyjaśniłam, że w szpitalu nie mieli wolnego miejsca, i zapytałam, co robiła z Sheilą, kiedy miała ją w swojej klasie. Zanim cokolwiek odpowiedziała, usłyszałam cichuteńkie westchnienie, wyraźną oznakę porażki.

- Nigdy wcześniej nie spotkałam podobnego dziecka. Całkowicie destruktywne zachowanie. Niszczyła coś za każdym razem, gdy tylko spuściłam ją z oczu. Swoje prace, prace innych dzieci, gazetki ściennie, wystawy, wszystko. Kiedyś wzięła kurtki innych dzieci i wpakowała wszystkie do muszli klozetowych w dziewczęcej ubikacji. Zalała całą piwnicę. - Westchnęła. - Próbowałam wszystkiego, by ją powstrzymać. Zawsze niszczyła swoją pracę, zanim zdążyłam choćby na nią spojrzeć. Dawałam jej laminowane arkusze, żeby nie mogła ich podrzeć. I wie pani, co zrobiła? Wsadziła je do klimatyzacji i zablokowała całe urządzenie. Panował wtedy taki upał, a my przez trzy dni nie mieliśmy klimatyzacji.

Pani Barthuly opisywała kolejne wydarzenia. Początkowo mówiła bardzo szybko, jakby nigdy dotąd nie miała okazji opowiedzieć o katastrofie, jaka nawiedziła jej klasę w pierwszych trzech miesiącach roku szkolnego. Z czasem jednak jej głos stawał się coraz bardziej znużony. Mimo wszystko lubiła Sheilę, chociaż nie potrafiła powiedzieć, jaka to siła przyciągała ją do niej. Dziewczynka wydawała jej się bardzo podatna na zranienie, a jednocześnie taka dzielna. Bardzo chciała jej pomóc. Lecz wszystkie jej wysiłki spęły na niczym. Sheilą nie chciała z nią rozmawiać. Nie pozwalała się dotykać, nie chciała, żeby jej pomagano, żeby ktoś ją polubił. Początkowo pani Barthuly starała się być dla niej miła. Próbowała okazać uczucie dziecku, które nie pozwalało się pokochać, starała się poświęcić mu więcej czasu niż innym, otoczyć specjalną troską.

Szkolny psycholog opracował program dla Sheili z zastosowaniem nagród za dobre zachowanie, lecz zdawało się, że ona znajduje przyjemność w tym, by nie robić niczego, za co mogłaby zostać nagrodzona. Pani Barthuly była przekonana, że Sheila celowo torpedowała jej

wysiłki, celowo przestawała robić dobrze coś, co już potrafiła, kiedy znalazło się to w programie.

Potem pani Barthuly przyjęła inną taktykę, mniej pozytywną. Odbierała jej przywileje, wysyłała do kąta, aż wreszcie Sheila wylądowała u dyrektora, który wierzył w skuteczność kar cielesnych. Mimo to Sheila nie przestawała terroryzować klasy; atakowała inne dzieci, niszczyła przedmioty, nie chciała pracować. Ostatecznie pani Barthuly poddała się. Praca nad Sheila pochłaniała zbyt wiele czasu. Tak więc pozostawiła ją samą sobie i wtedy w klasie zapanował względny spokój. Nie niepokojona, Sheila przez większą część dnia chodziła po klasie albo przeglądała czasopisma. Jednak gdy tylko ktoś zaczynał czegoś od niej wymagać, krzyczała i rzucała się, niszcząc wszystko na swojej drodze. Jej zachowanie poprawiało się, kiedy nikt nie zwracał na nią uwagi. Nadal się nie odzywała, nic nie robiła i nie uczestniczyła w żadnych zajęciach. Potem wydarzył się listopadowy incydent, po którym natychmiast usunięto ją ze szkoły w odpowiedzi na obawy rodziców innych dzieci.

Głos w słuchawce był smutny i przepełniony zniechęceniem. Pani Barthuly żałowała, że tak niewiele zrobiono. Nie stwierdzono nawet, czy Sheila potrafi czytać i liczyć w podstawowym zakresie. Nic nie wiadano o jej uczuciach i wykształceniu. Pani Barthuly przyznała, że Sheila była najbardziej opornym dzieckiem, jakie spotkała. Jeśli istniało coś, co można było zrobić dla Sheili, przekraczało to granice jej cierpliwości, możliwości i czasu. Na koniec życzyła mi szczęścia i wyraziła nadzieję, że niebawem znajdzie się miejsce w szpitalu.

To, co usłyszałam, nappełniło mnie smutkiem, ponieważ nie wiedziałam, czy mogę zrobić coś, czego jeszcze nie próbowano. Wiedziałam tylko, że wydarzenie z poprzedniego dnia nie może się już powtórzyć. Nie mogłam pozwolić, aby pozostałe dzieci przeżyły coś takiego raz jeszcze. Do pewnego stopnia podobne zakłócenia były nawet wskazane, ponieważ dzieci uczyły się, jak reagować i pomagać innym w trudnych chwilach, nie mogłam jednak pozwolić, aby trwało to w nieskończoność.

Kwadrans przed rozpoczęciem lekcji pojawiła się pracownica opieki społecznej, ciągnąc za sobą Sheilę. Wyjaśniła, że jedyny autobus, jakim można było dowozić Sheilę z jej domu, przywoził uczniów szkoły średniej. Dlatego Sheila będzie przyjeżdżała pół godziny wcześniej, natomiast do domu będzie mogła wracać dopiero dwie godziny po skończonych lekcjach. Byłam przerażona. Przede wszystkim nie miałam pewności, czy Sheila powinna jeździć autobusem z o wiele starszymi od niej uczniami; w ogóle nie miałam pewności, czy ona nadaje się do jazdy jakimkolwiek autobusem. Na samą myśl o tym poczułam ucisk w żołądku.

Pani z opieki społecznej uśmiechnęła się niemrawo. Będziemy musieli to zaakceptować, gdyż władze oświatowe nie sfinansują dodatkowego transportu, jeśli można

wykorzystać istniejące połączenia. Dlatego trzeba jej zorganizować opiekę po lekcjach. Pozostałe autobusy odjeżdżają tak samo późno i inne dzieci też muszą siedzieć w szkole. Sheila może czekać razem z nimi. Potem podsunęła mi wilgotną dłoń Sheili, odwróciła się i wyszła.

Kiedy spjrzałam na Sheilę, poczułam, że powraca cały mój niepokój z poprzedniego dnia. Patrzyła na mnie uważnie, a jej okrągłe oczy jeszcze lepiej niż przedtem skrywały wrogość. Uśmiechnęłam się niepewnie.

- Dzień dobry, Sheilo. Cieszę się, że jesteś z nami dzisiaj.

Do przybycia innych dzieci pozostało kilka minut. Zaprowadziłam ją do jednego ze stołów i przy sunęłam jej krzesło. Poszła za mną bez słowa i usiadła posłusznie.

- Posłuchaj - powiedziałam, siadając obok niej - porozmawiajmy o tym, co dzisiaj będziemy robili, żeby nie powtórzyło się to, co wczoraj. Dla mnie nie było to wcale zabawne i dla ciebie, jak sądzę, pewnie też nie.

Zmarszczyła brwi pytająco, jakby nie rozumiała, o czym mówię.

- Nie wiem, co robiłaś w innej szkole, ale chcę, żebyś wiedziała, jak będzie tutaj. Być może wczoraj trochę cię przestraszyliśmy, nie znałaś nikogo z nas i mogłaś nie wiedzieć, czego od ciebie oczekujemy. Teraz ci to wyjaśnię.

Skuliła się na swoim miejscu, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękoma. Zauważyłam, że ma na sobie te same zniszczone spodnie i koszulkę. Ubranie nie było prane od poprzedniego dnia i wciąż od niej cuchnęło.

- Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Nikt tutaj nie krzywdzi dzieci. Ani ja, ani Anton, Whitney czy ktokolwiek inny. Nie musisz się nas bać.

Włożyła kciuk do ust. Wciąż wydawała się bardzo przestraszona, taka mała i krucha, co sprawiało, że prawie zapominałam o wydarzeniach z poprzedniego dnia. Ani śladu zuchwałości, przynajmniej w tej chwili. Lecz jej spojrzenie pozostało niewzruszone.

- Chcesz usiąść mi na kolanach, kiedy będziemy rozmawiać? Zaprzeczyła ledwo dostrzegalnym ruchem głowy.

- Dobrze, oto nasz plan. Chcę, żebyś przyłączyła się do nas, kiedy będziemy coś robili. Wystarczy, że będziesz z nami siedziała. Anton, Whitney albo ja pomożemy ci zorientować się w tym, co się tutaj dzieje, zanim się przyzwyczaisz. - Potem przedstawiłam jej plan zajęć na tamten dzień. Dodałam, że nie musi w niczym brać udziału, jeśli nie będzie chciała, ale musi być z nami. Przyjdzie sama albo ktoś ją przyprowadzi.

- I jeszcze jedno - dodałam na koniec. - Jeśli jeszcze kiedyś zdarzy się, że stracimy kontrolę nad dziećmi w klasie, będę chciała, żebyś poszła do cichego kąta. - Wskazałam na krzesło w kącie. - Pójdiesz tam i będziesz siedzieć, dopóki nie uznamy, że znowu wszystko



jest w porządku. Po prostu będziesz tam siedziała. Czy to jasne?

Nawet jeśli tak było, nie pokazała tego po sobie. Pojawiły się inne dzieci. Wstałam, poklepałam ją po plecach i poszłam przywitać się z nimi. Nie odsunęła się przed moją ręką, ale nie wykonała też żadnego przyjaznego gestu.

Nadszedł czas porannej dyskusji, lecz Sheila wciąż siedziała na krześle. Pokazałam na miejsce na podłodze obok mnie.

- Sheilo, chodź tutaj, żebyśmy mogli zacząć dyskusję.

Nie poruszyła się. Powtórzyłam prośbę. Wciąż siedziała skulona na krześle. Poczułam ucisk w żołądku. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami z kciukiem w ustach. Spojrzałam na Antona, który sadzał Freddiego.

- Anton, pomożesz Sheili przyłączyć się do nas?

Kiedy Anton odwrócił się w jej stronę, Sheila zerwała się z krzesła. Pomknęła do drzwi i zderzyła się z nimi, ponieważ nie otworzyły się pomimo naciśniętej klamki.

- Torey, każ jej przestać - odezwał się Peter zaniepokojony. Dzieci patrzyły, jak Anton zbliża się powoli do Sheili. Rzucała się to w jedną, to w drugą stronę, a w jej oczach znowu pojawiło się spojrzenie osaczonego zwierzęcia. Pokój był za mały, żeby mogła liczyć na powodzenie. Spróbowała opóźnić pościg, zrzucając książki *L* półek, lecz Anton szybko zapędził ją za jeden ze stołów. Przez chwilę tańczyli w przód i w tył, aż Anton niespodziewanie popchnął stół w jej stronę i przycisnął ją do ściany na tyle długo, by chwycić jej ramię.

Po raz pierwszy wydała z siebie jakiś odgłos. Krzyknęła tak przeraźliwie, że wszyscy drgnęliśmy. Susannah rozplakała się, lecz pozostali siedzieli przestraszeni i patrzyli bez słowa, jak Anton ciągnie do nich wrywającą się Sheilę. Po raz kolejny wskazałam na miejsce obok mnie. Potem wzięłam ją za ramię i pociągnęłam w dół, tak że zmuszona była usiąść. Nie przestawała krzyczeć; był to ochryply krzyk, któremu nie towarzyszyła ani jedna łza, ale pozwoliła się posadzić.

- W porządku - powiedziałam z udawaną swobodą. - Kto ma temat?

- Ja - odezwał się William głośno, by pozostali go usłyszeli. - Czy zawsze już tak będzie tutaj? - Jego ciemne oczy wyrażały strach. - Czy ona już zawsze będzie taka?

Pozostali spojrzeli na mnie z wyczekiwaniem, a ja nie po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, jak często muszę udawać, ponieważ w głębi serca byłam tak samo przestraszona jak oni. Znaliśmy się od czterech miesięcy i zdążyliśmy poznać wzajemne problemy i różnice. Spodziewałam się kłopotów z Sheila, nawet gdyby mnie słuchała, choćby z tego powodu, że była nowa i chciała się przekonać, jaką mamy nad nią władzę. Z pewnością nie była łatwa do zaakceptowania i wstrząsnęła nami wszystkimi do głębi.

Tak więc Sheila stała się tematem dnia. Najlepiej jak potrafiłam, starałam się wyjaśnić dzieciom, że Sheila potrzebuje czasu, żeby się przystosować, i nie jest jej łatwo, podobnie jak innym dzieciom. Potrzebowała naszego zrozumienia i tolerancji.

Nie mogę powiedzieć, żeby Sheila całkowicie nas ignorowała, kiedy rozmawialiśmy o niej. Jej przeraźliwy krzyk przeszedł z czasem w przerywane skrzeczenie, które wypełniało zbyt długie przerwy w naszej rozmowie albo pojawiało się, gdy ktoś z nas spojrzał na nią. Pozwoliłam, aby dzieci zadawały pytania i wyraziły swoje obawy. Starałam się odpowiadać na nie uczciwie. Wszyscy poza Peterem starali się nie okazywać zbyt wielkiej niechęci wobec Sheili w jej obecności. Peter zaś, podobnie jak poprzedniego dnia, kiedy narzekał na jej smród, oświadczył ze złością, że nie chce Sheili w naszej klasie. Jego zdaniem Sheila wszystko psuła. Nie starałam się go powstrzymywać, ponieważ wiedziałam, że później i tak by jej to powiedział. Wypowiedź Petera odzwierciedlała jego własne problemy, a ja wolałam, żeby wyrażał swoje zdanie w mojej obecności.

Tak więc zaczęliśmy dyskutować o tym, w jaki sposób moglibyśmy poradzić sobie z utrudnieniami, w czasie kiedy Sheila będzie się przystosowywać. Tyler zaproponowała, żeby wysłać Sheilę do cichego kąta, żebyśmy nie musieli wysłuchiwać jej wrzasków. Sarah podsunęła myśl, że za każdym razem, kiedy Sheila będzie niegrzeczna, pozostałe dzieci dostaną czas wolny. Natomiast Guillermo, najbardziej wspaniałomyślny, zaproponował, że dzieci mogłyby na zmianę dotrzymywać towarzystwa Sheili, żeby nie czuła się samotna, kiedy się wydziera. Podejrzewałam, że jego słowa miały więcej wspólnego z jego własnymi uczuciami niż z uczuciami Sheili.

Ostatecznie postanowiliśmy, że w chwilach, kiedy Sheila będzie krzyczała albo w inny sposób zakłócała porządek w klasie i będzie wymagała opieki mojej albo Antona, pozostałe dzieci zajmą się własną pracą, a te bardziej odpowiedzialne będą pilnowały Maxa, Freddiego i Susannah. Obiecałam im, że na koniec tygodnia wynagrodzimy to sobie w jakiś sposób, jeśli wszyscy okażą zrozumienie. Po krótkiej naradzie ustaliliśmy, że w piątek zrobimy lody. Dzieci prześcigały się w propozycjach.

- Jeśli będziesz zajęta przy Sheili, a Freddie zacznie płakać, mogę mu poczytać - zaproponowała Tyler.

- Możemy coś zaśpiewać - dodał Guillermo.

- A ja potrzymam Susannah za rękę, żeby nie uciekła i się nie zraniła.

Uśmiechnęłam się.

- Doskonałe pomysły. Widzę, że wszystko pójdzie dobrze. Zastanówcie się, jaką chcecie polewę do lodów. - Spojrzałam na Sheilę, która wciąż wydawała gniewne pomruki.

Przez cały czas trzymałam ją za szelkę od spodni, ale siedziała spokojnie. - Lubisz lody?

Zmrużyła oczy.

- Pewnie chętnie zjesz loda, prawda? Lubisz lody? Skinęła głową ostrożnie.

Sheila bez większych protestów zajęła miejsce na krześle podczas rozwiązywania zadań z matematyki. Skuliła się jak zawsze i czujnie obserwowała, jak chodzę od dziecka do dziecka. Dalsza część przedpołudnia przebiegła bez niespodziewanych wydarzeń.

Do lunchu musiałam wprowadzić pewne poprawki, nie tylko dlatego, że nie chciałam, aby powtórzyły się wydarzenia z dnia poprzedniego, lecz także dlatego, że szkolne asystentki, które dyżurowały w czasie lunchu, odmówiły opieki nad Sheila do czasu, aż jej zachowanie się poprawi. Tak więc lunch zjadłam w towarzystwie dzieci.

Usiadłam w jadalni obok Sheili, która natychmiast odsunęła się nieco na ławce. Kiedy Anton zajął miejsce z jej drugiej strony, odsunęła się z powrotem w moją stronę. Zjadła cały lunch w mgnieniu oka, napychając sobie usta najszybciej, jak mogła. Jej maniery były okropne, ale potrafiła posługiwać się widelcem, czego nie opanowały jeszcze niektóre spośród innych dzieci.

Po lunchu zaprowadziłam ją do klasy, usiadłam przy stole i zaczęłam poprawiać prace, podczas gdy dzieci zajęły się zabawą. Sheila zajęła swoje miejsce na krześle i z kciukiem w ustach wpatrywała się we mnie.

Przez całe popołudnie posłusznie przechodziła z miejsca na miejsce, chociaż jeśli miała wybór, zawsze wracała na swoje krzesło. Wydawała się bardziej przygaszona niż poprzedniego dnia, ale o nic jej nie wypytywałam. Miałam wrażenie, że wciąż bardzo się mnie boi, czego zupełnie nie rozumiałam, więc nie naciskałam. Pozostałe dzieci wydawały się rozczarowane faktem, że nic złego się nie wydarzyło, a po końcowych ćwiczeniach Peter przyszedł do mnie z pytaniem, czy dostaną lody, nawet jeśli Sheila będzie się już dobrze zachowywać. Zapewniłam go, że dostaną lody, jeśli nic się nie wydarzy do piątku.

Kiedy pozostałe dzieci poszły do domów, zostaliśmy tylko w trójkę: Sheila, Anton i ja. Normalnie te dwie godziny po zajęciach wykorzystywałam, by przygotować się na następny dzień, teraz jednak pomyślałam, że mogę wykorzystać ten czas na lepsze poznanie Sheili. Kiedy pozostałe dzieci szykowały się do wyjścia, ona wciąż siedziała na swoim krześle.

Usiadłam po drugiej stronie stołu, spojrzała na mnie czujnie.

- Dzielnie się dzisiaj spisałaś, harcerko. To lubię.

Odwróciła twarz.

Przyjrzałam się jej uważnie. Pomimo brudu i potarganych włosów dostrzegłam w niej ładne dziecko. Nogi miała zgrabne i proste. Bardzo chciałam posadzić ją sobie na kolanach i

utulić, żeby ból, tak widoczny w jej oczach, zniknął. Lecz pozostałyśmy na swoich miejscach, po obu stronach dzielącego nas stołu, który wydawał się całym wszechświatem. Kiedy siedziałam tak blisko niej, nie chciała nawet spojrzeć mi w oczy.

- Sheilo, czy ja cię przestraszyłam? - spytałam łagodnie. - Jeśli tak, to nie miałam takiego zamiaru. Domyślam się, jak musisz się bać, jesteś w nowej szkole, w nowej klasie, gdzie nie znasz nikogo. Wiem, że to okropne. Także i dla mnie.

Przysunęła dłoń do twarzy, żeby całkowicie zasłonić mój obraz.

- Chcesz, żebym ci coś poczytała, zanim przyjedzie autobus? Potrząsnęła głową.

- Dobrze. Pójdę teraz do drugiego stołu i zastanowię się, co będziemy robili jutro. Jeśli zmienisz zdanie, chętnie ci poczytam. Możesz pobawić się zabawkami albo robić, co tylko chcesz. - Wstałam.

Zaledwie zabrałam się do pracy, opuściła dłoń i odwróciła się w moją stronę, przyglądając się, jak piszę. Kilka razy podnosiłam wzrok, lecz jej spojrzenie pozostało niewzruszone.

Następnego dnia uznałam, że nadszedł czas, aby Sheila włączyła się do naszych zajęć. Autobus, którym przyjeżdżała, zatrzymywał się dwie przecznice dalej, dlatego Anton wyszedł po nią i przyprowadził do szkoły. Kiedy przyszli, Sheila zdjęła kurtkę i od razu poszła na swoje krzesło. Usiadłam przy niej i wyjaśniłam, że tego dnia będę chciała, aby wykonała pewne zadania. Pokazałam jej plan pracy na cały dzień i powiedziałam, że spodziewam się, iż będzie uczestniczyła we wszystkich zajęciach, tak jak poprzedniego dnia, a kiedy zajmiemy się matematyką, rozwiąże kilka zadań. Wyjaśniłam też, że w środowe popołudnia zawsze coś gotujemy, dlatego spodziewam się, że pomoże nam przygotować banany w czekoladzie. Miałam nadzieję, że weźmie udział w tych dwóch zadaniach.

Przez cały czas kiedy do niej mówiłam, patrzyła na mnie uważnie, a w jej spojrzeniu wciąż widziałam nieufność. Zapytałam ją, czy mnie zrozumiała. Nie odpowiedziała.

W czasie porannej dyskusji Sheila przyłączyła się do nas, ponaglona moim groźnym spojrzeniem. Usiadła u moich stóp i nic poza tym. Inaczej było w czasie matematyki. Zaplanowałam przećwiczenie prostego dodawania z użyciem przedmiotów. Wyjęłam więc klocki i poprosiłam, żeby przyszła do mnie. Nie ruszyła się z miejsca, w którym usiadła w czasie porannej dyskusji.

- Sheilo, proszę, przyjdź tutaj. - Pokazałam na jej ulubione krzesło. - Chodź.

Nawet nie drgnęła. Anton ruszył w jej stronę powoli, gotowy do pościgu, gdyby zaczęła uciekać. Natychmiast zorientowała się w naszych zamiarach. To dziecko najwyraźniej panicznie bało się, kiedy ktoś je gonił. Zerwała się, krzycząc przeraźliwie, i zaczęła uciekać, roztrącając dzieci i ich prace. Anton znalazł się na tyle blisko, że złapał ją niemal natychmiast. Podeszłam i wzięłam ją za ramię.

- Kochanie, kiedy podchodzimy do ciebie, nie mamy zamiaru cię skrzywdzić. Nie widzisz tego? - Usiadłam, przytrzymując ją mocno, podczas gdy ona wciąż się wrywała; słyszałam jej oddech ochryply od strachu. - Uspokój się, kotku.

- Hej, wszyscy - zawołał Peter wyraźnie uradowany - wszyscy mają być teraz grzeczni. - Małe głowy pochyliły się nad pracami, a Tyler wstała posłusznie i poszła sprawdzić, co dzieje się z Susannah i Maxem.

Sheila znowu zaczęła krzyczeć, a jej twarz poczerwieniała. Ale nie płakała. Nie pozwalając jej zejść z moich kolan, rozsypałam klocki na stole. Ułożyłam je w szeregu i czekałam, aż się uspokoi.

- Zobacz, chcę, żebyś policzyła dla mnie kilka klocków. Wrzasnęła jeszcze głośniej.

- No, odlicz dla mnie trzy klocki. - Szarpnęła się mocniej. - Pomogę ci. - Przysunęłam wijącą się rękę do klocków. - Jeden, dwa, trzy. A teraz ty spróbuj.

Nieoczekiwanie chwyciła jeden z klocków i cisnęła nim przed siebie. Potem w ułamku sekundy złapała drugi, który trafił Tyler w głowę. Tyler jęknęła głośno.

Przycisnęłam ramię Sheili do jej boku i wstałam, po czym zataszczyłam ją do cichego kąta.

- W tej klasie tak nie postępujemy. Nie krzywdzimy nikogo. Posiedź tutaj, dopóki się nie uspokoisz i będziesz mogła pracować. - Spojrzałam na Antoria. - Jeśli będzie trzeba, pomóż jej tu zostać.

Wróciłam do pozostałych dzieci. Roztarłam głowę Tyler i kazałam im zająć się swoimi pracami. Potem postawiłam na tablicy plus, który przybliżał nas do piątkowych lodów, i poszłam do Freddiego, żeby pomóc mu pozbierać klocki. W cichym kącie rozpętało się istne piekło. Sheila wciąż krzyczała przeraźliwie i potrzasała krzesłem, kopiąc w ścianę tenisówkami. Anton trzymał ją mocno z ponurą miną.

Sheila wściekała się przez całą matematykę. Zmęczyła się dopiero pół godziny później, gdy zaczął się czas wolny. Podeszłam do niej.

- Czy teraz możesz przyjść i wyliczyć zadania? - spytałam. Spojrzała na mnie i wydała z siebie gniewny wrzask. Anton trzymał już tylko jej krzesło. Dałam mu znak, żeby przypilnował pozostałych dzieci. - Przyjdź kiedy będziesz gotowa do matematyki. Do tego czasu zostań tutaj. - Odwróciłam się i odeszłam.

To, że została sama, zdziwiło ją i przestała zawodzić. Kiedy w pełni zdała sobie sprawę, że nikt nie trzyma jej krzesła, wstała.

- Jesteś gotowa do matematyki? - spytałam z drugiego końca klasy, gdzie pomagałam Peterowi zbudować autostradę z klocków. Jej twarz pociemniała.

- Nie! Nie! Nie! Nie!

- A zatem siadaj.

Zapiszczała z wściekłością, aż wszyscy zamarli w bezruchu zaskoczeni zmianą jej tonu. Ale została przy swoim krześle.

Przez chwilę, która wydała mi się wiecznością, wrzeszczała z taką siłą, że poczułam pulsowanie w głowie. Potem nieoczekiwanie zamilkła i spojrzała na mnie gniewnie. Jej nienawiść pozbawiła mnie resztek wiary w to, co robiłam.

- Usiądź na krzesło, Sheilo.

Usiadła i odwróciła krzesło tak, aby mogła mnie widzieć. Potem znowu zaczęła

krzyczeć. Westchnęłam z ulgą. Peter spojrział na mnie.

- Wiesz co, Torey, myślę, że za to powinniśmy dostać dwa plusy. Trudno ją zignorować. Uśmiechnęłam się.

- Chyba masz rację, Peter. To jest warte dwóch punktów.

Sheila krzyczała i zawodziła przez cały czas zabaw, a więc ponad półtorej godziny. Tupała nogami, potrząsała krzesłem i podskakiwała na nim. Szarpała swoje ubranie i wygrażała pięściami. Ale pozostała na swoim miejscu.

Do czasu drugiego śniadania ochrypła i z kąta dochodziło już tylko urywane skrzeczenie. Lecz jej wściekłość nie zmalała. Zostałam w klasie, natomiast Anton zabrał pozostałe dzieci na przerwę. To wzmoгло nieco aktywność Sheili, która wydała z siebie kilka głośniejszych wrzasków i zaszurała krzesłem. Widziałam, że ogarnia ją zmęczenie. Jeszcze przed końcem przerwy w kącie zapanowała cisza. Moją głowę wypełniał pulsujący ból.

Nie powtarzałam, co ma robić. Uznałam, że jest na tyle bystra, żeby wiedzieć, a poza tym nie chciałam poświęcać jej zbyt wiele uwagi. Wróciły pozostałe dzieci z policzkami czerwonymi od mrozu; jedno przez drugie opowiadały o tym, jak na śniegu bawiły się w berka z Anionem, którego wciąż łapały. Zaczęliśmy czytanie i wszyscy zabrali się do zadań, jakby nie było w kącie małej, skulonej postaci.

Pracowałam właśnie z Maxem, kiedy poczułam na ramieniu delikatne dotknięcie. Odwróciłam się i zobaczyłam za sobą Sheilę; skórę twarzy miała jeszcze czerwoną od krzyków i wciąż widziałam w jej oczach czujność, która nie opuszczała jej spojrzenia.

- Gotowa do matematyki?

Nadęła usta na krótką chwilę i skinęła głową powoli.

- Dobrze. Powiem tylko Sarah, żeby pomogła Maxowi. Ty pozbieraj klocki, które porzrzuciłaś, i wyjmij inne z szafki pod zlewem. - Mówiłam swobodnym tonem, jakbym przyjmowała za pewnik, że mnie posłucha, ale w środku byłam cała spięta. Popatrzyła na mnie uważnie, lecz wykonała moje polecenie.

Usiadłyśmy obok siebie na podłodze i rozsypałam klocki.

- Pokaż mi trzy klocki. Wybrała ostrożnie trzy kostki.

- Pokaż mi dziesięć. - Znowu ułożyła w szeregu przede mną dziesięć klocków. - Dobra dziewczynka. Znasz cyfry, prawda? Spojrzała na mnie uważnie.

- Teraz będzie trudniejsze zadanie. Odlicz mi dwadzieścia siedem klocków. -W mgnieniu oka miałam przed sobą dwadzieścia siedem klocków. - Potrafisz dodawać?

Nie odpowiedziała.

- Pokaż mi, ile to będzie klocków, jeśli dodasz dwa klocki do dwóch. - Bez wahania

wybrała cztery klocki. - A trzy dodać pięć? - Wyłożyła osiem.

Nie potrafiłam powiedzieć, czy znała odpowiedzi, czy rozwiązywała zadania na bieżąco. Nie wątpiłam jednak, że dobrze rozumie, na czym polega dodawanie. Nie chciałam wyjmować od razu ołówka i kartki, znając jej niechęć do papieru. Bałam się, że zburzę z takim trudem zdobytą kruchą równowagę, porozumienie. Ale zależało mi, aby dowiedzieć się, w jaki sposób rozwiązuje zadania. Postanowiłam więc spróbować odejmowania.

- A teraz trzy odjąć jeden.

Sheila wybrała dwa klocki. Bez wątpienia potrafiła rozwiązać takie zadanie bez układania sobie trzech klocków i odsuwania jednego.

- Sześć odjąć cztery. Znowu dwa klocki.

- Hej, jesteś całkiem bystra. Ale tym razem ci się nie uda. Dwanaście odjąć siedem.

Kiedy spojrzała na mnie, jej oczy zabarwił delikatny odcień uśmiechu, ale nie starczyło go już na usta. Zaczęła układać klocki jeden na drugim, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. Zrobiła to, nie patrząc nawet na klocki. A to mała diablina, pomyślałam. Gdziekolwiek była przez poprzednie lata i cokolwiek tam robiła, z pewnością też się uczyła. Posiadała większe możliwości niż przeciętne dziecko w jej wieku. Nie zauważyłam, żeby zawahała się choćby na chwilę, kiedy układała klocki. Serce zabiło mi namysł o tym, że pod warstwą brudu i protestów ukrywało się bardzo inteligentne dziecko.

Rozwiązała jeszcze kilka zadań, zanim poprosiłam ją, żeby odłożyła klocki. Nadszedł czas czytania, a ja powiedziałam jej jeszcze rano, że nie musi w nim uczestniczyć. Kiedy wstałam, żeby pójść do innych dzieci,- Sheila także się podniosła. Poszła za mną, ściskając w rękach klocki.

- Kochanie - powiedziałam - możesz odłożyć klocki. Nie musisz nosić ich ze sobą.

Jednak Sheila wymyśliła coś innego. Kiedy spojrzałam na nią po pewnym czasie, siedziała na swoim ulubionym krześle po drugiej stronie stołu, a klocki leżały przed nią na blacie. Manipulowała nimi pracowicie, lecz nie potrafiłam powiedzieć, co robiła.

W porze lunchu znowu zamknęła się w sobie i siedziała skulona na krześle. Dopiero kiedy nadszedł czas gotowania, zwabiłam ją bananem na patyku.

W każdą środę przygotowywaliśmy coś do jedzenia. Wprowadziłam to zajęcie z wielu powodów. Dla bardziej zaawansowanych dzieci było to doskonałe ćwiczenie w czytaniu i pisaniu. Poza tym dawało okazję do współpracy, rozmowy i większej integracji. Przede wszystkim jednak gotowanie stanowiło doskonałą zabawę. Raz w miesiącu powtarzaliśmy ulubiony przepis klasy i tamtego popołudnia był to czekoladowy banan, banan nadziany na patyk od lodów, zanurzony w czekoladowej polewie i zamrożony. Nie chciałam wprowadzać



niczego nowego w pierwszy dzień gotowania z Sheila, dlatego sięgnęłam po sprawdzony przepis. Większość dzieci potrafiła przejść samodzielnie przez wszystkie etapy.

Nawet Susannah nieźle sobie radziła. Trzeba było tylko pilnować Maxa i Freddiego. Oczywiście wszędzie pełno było czekolady, a znaczna część polewy zostawała zjedzona, zanim przyłgnęła do bananów, lecz najważniejsze, że doskonale się bawiliśmy.

Początkowo Sheila nie chciała przyłączyć się do innych. Z bananem w ręku stała z boku i przyglądała się pozostałym dzieciom. Lecz kiedy wszyscy skończyli oblewać swoje banany czekoladą, pozwoliła, aby Whitney zaprowadziła ją do naczynia. Szybko zaangażowała się w to, co robiła, próbując oblać swojego czekoladowego banana wszystkimi czterema polewami. Przyglądałam się jej zza stołu. Nie odezwała się ani słowem, ale widziałam, że dokładnie wszystko obmyśliła i po każdej polewie ponownie zanurzała banana w czekoladzie. Pozostałe dzieci podchodziły coraz bliżej, żeby przyjrzeć się jej eksperymentom. Zaciekawione patrzyły w milczeniu. Wreszcie zanurzyła grubą i lepłą pałkę w ostatniej polewie i powoli podniosła banana. Kiedy spojrzała na mnie, na jej ustach pojawił się uśmiech, najpierw nieśmiały, a potem szeroki, promienny, tak że zobaczyłam dziury po brakujących dolnych zębach.

Nasze zajęcia kończyły się ćwiczeniami, które, podobnie jak poranna dyskusja, miały na celu integrację dzieci i przygotowanie ich na pozostałą część dnia, którą spędzały w domach. Jedno z zajęć nosiło nazwę „Pudełko skrzata”. Uwielbiałam wymyślać historie, które potem opowiadałam dzieciom, i kiedyś, na początku roku, powiedziałam im, że skrzaty to takie stworzenia podobne do wróżek, tylko że mieszkają w ludzkich domach i pilnują ich, kiedy ludzie śpią. Peter zasugerował, że być może i w naszej klasie mieszka taki skrzat, który pilnuje wszystkiego i opiekuje się Bennym i Charlesem Cebulką, naszym niezbyt dobrze wychowanym królikiem. Dało to początek wielu opowieściom o naszym skrzacie. Dlatego któregoś dnia przyniosłam do klasy duże drewniane pudełko i powiedziałam dzieciom, że w nim skrzat będzie zostawiał wiadomości. Dodałam, że skrzat obserwuje nas w ciągu dnia i bardzo się cieszy, jeśli widzi, że dzieci są grzeczne. Dlatego postanowił, że za każdym razem, kiedy zobaczy, że ktoś robi coś dobrego, zostawi wiadomość. I właśnie na koniec zajęć czytałam karteczki z „Pudełka skrzata”. Po kilku dniach oznajmiłam dzieciom, że skrzata boli już ręka, ponieważ widział dużo grzecznych dzieci, dlatego potrzebuje pomocników. Poprosiłam dzieci, żeby obserwowały inne i zapisywały wszystkie dobre uczynki, a jeśli nie potrafią pisać, żeby przyszły do mnie. W ten sposób wypracowaliśmy jedno z naszych najbardziej popularnych i skutecznych ćwiczeń. Każdego popołudnia znajdowałam w pudełku około trzydziestu karteczek z wiadomościami o czymś miłym. Dzięki nim dzieci nie tylko uczyły się dostrzegać pozytywne zachowania innych, lecz także prześcigały się w uprzejmościach, w na-

dzieci, że ich imię znajdzie się w pudełku. Niektóre z liścików były tradycyjne, lecz inne ukazywały wnikliwość obserwacji drobnych, lecz ważnych elementów postępu, które mnie samej zdarzało się przeoczyć. Na przykład Sarah otrzymała pochwałę za to, że w czasie dyskusji nie używała swojego ulubionego przekleństwa, Freddie zaś skorzystał z chusteczki higienicznej, zamiast wycierać nos w rękaw, co miał w zwyczaju robić. Lubiłam otwierać pudełko, ponieważ rzadko kiedy sama coś do niego wkładałam; przeważnie sprawdzałam tylko, czy każdy włożył chociaż jedną karteczkę. Czytałam je z radością, widząc, jak wnikliwymi obserwatorami potrafiły być dzieci. Oczywiście cieszyłam się bardzo, gdy znajdowałam opinie także na mój temat.

Tamtego popołudnia „Pudełko skrzata” przysporzyło mi szczególnej radości, ponieważ po raz pierwszy ujrzałam imię Sheili nie napisane moją ręką. Kiedy rozległy się oklaski, którymi dzieci nagrodziły pochwały dla niej, Sheila siedziała z boku ze spuszczoną głową, lecz skwapliwie przyjęła karteczki, które jej wręczyłam.

Po skończonych lekcjach Anton odprowadził dzieci do autobusów. Ja zajęłam się ocenianiem prac i wypełnianiem arkuszy zachowań, które uaktualniałam dla kilkorga spośród dzieci. Sheila poszła do łazienki, żeby zmyć resztki banana z twarzy. Została tam przez jakiś czas, podczas gdy ja pracowałam. Usłyszałam syk spuszczonej wody, zanim wróciła. Nie patrzyłam na nią, ponieważ kreśliłam wykres i nie chciałam się pomylić. Zatrzymała się niedaleko stołu i przez chwilę mi się przyglądała. Potem podeszła jeszcze bliżej i oparła łokcie na blacie, tak że jej twarz znalazła się tuż przy mojej. Podniosłam wzrok i spojrzałam na nią. Patrzyła na mnie uważnie.

- Dlaczego inne dzieci nie idą do ubikacji?

- Słucham? - spytałam zaskoczona.

- Pytam, dlaczego te inne dzieciaki, te duże, robią w majtki, a nie do ubikacji?

- No cóż, jeszcze się tego nie nauczyły.

- Jak to? Przecież one duże dzieciaki. Większe ode mnie.

- Po prostu jeszcze się nie nauczyły. Ale pracujemy nad tym. Wszyscy się starają.

Popatrzyła na wykres, który rysowałam.

- Już to powinny wiedzieć. Gdybym tak robiła, tata dałby mi w skórę.

- Dzieci są różne, ale tutaj nikt nie dostaje lania. Milczała przez chwilę zamyślona.

Zatoczyła palcem kółko po stole.

- Ta twoja klasa zwariowana, nie?

- Wcale nie, Sheilo.

- Mój ojciec tak mówić. On mówić, że ja zwariowana i dlatego oni mnie dać do klasy

dla zwariowanych dzieciaków. Mówi, że tutaj zwariowana klasa.

- Wcale nie. Zmarszczyła czoło.

- Mnie to nie obchodzi. Tutaj tak samo dobre miejsce jak to, gdzie ja byłem przedtem. Tak samo dobre jak każde inne. Mnie nie obchodzi, że to klasa dla zwariowanych dzieciaków.

Przez moment nie wiedziałam, co jej powiedzieć, jak zaprzeczyć rzeczy tak oczywistej. Nie spodziewałam się podobnej wymiany zdań z jednym z moich dzieci. Większość z nich nie była na tyle spostrzegawcza, żeby to zauważyć, a jeśli nawet, nie miała śmiałości, żeby to powiedzieć.

Sheila patrzyła na mnie zamyślona, drapiąc się po głowie.

- Ty też zwariowana?

- Mam nadzieję, że nie - roześmiałam się.

- To dlaczego ty to robisz?

- Co? Że pracuję tutaj? Ponieważ lubię dzieci i uważam, że uczenie jest zabawne.

- Ale dlaczego ty być ze zwariowanymi dziećmi?

- Lubię to. To nic złego, że ktoś jest zwariowany. Po prostu ten ktoś jest inny.

Pokręciła głową i wyprostowała się.

- Myślę, że ty też zwariowana.

## 6

- Sheilo, podejdz do mnie, proszę. - Wskazałam najbliższe krzesło. - Chcę, żebyś coś zrobiła.

Sheila siedziała w drugim końcu sali, na swoim ulubionym krzeselku. Jak dotąd poranek przebiegał spokojnie. Podobnie jak w dwa poprzednie dni, przed zajęciami, wyjaśniłam jej, co będziemy dziś robić. Potem bez przynaglania przyłączyła się do naszej dyskusji i zajęła matematyką. Wprawdzie wciąż się nie odzywała, ale wydawała się o wiele bardziej rozluźniona. Teraz przyglądała mi się ze swojego miejsca.

- Podejdz tutaj, kochanie. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. - Skinęłam na nią. Wyprostowała się niechętnie. Wcześniej pożyczyłam od szkolnego psychologa test obrazkowy na słownictwo Peabody'ego, zwany powszechnie PPVT. Nigdy nie przywiązywałam większej wagi do podobnych badań, lecz wiedziałam, że taki test szybko pozwala określić poziom czynnego słownictwa dziecka bez konieczności mówienia. Po doświadczeniach z matematyką byłam bardzo ciekawa, na jakim poziomie funkcjonuje Sheila. Przy tak poważnych zaburzeniach, jakie wykazywała, nie dziwiły mnie jej braki w formalnym wykształceniu. Większości dzieci z poważnymi zaburzeniami po prostu nie starcza już energii na uczenie się. Moja ciekawość wzmożła się, kiedy zobaczyłam, jak dobrze Sheila radzi sobie z matematyką. Nie dawała mi też spokoju myśl, że może się ona okazać dzieckiem ponadprzeciętnym. Coraz częściej też zastanawiałam się, w jaki sposób uchronić ją od zamknięcia w szpitalu. Zdałam sobie sprawę, że wcale nie jest jej to potrzebne.

- Zrobimy coś razem. - Wstałam i przyprowadziłam ją do mojego stołu. - Usiądz tutaj. Pokażę ci różne obrazki i powiem słowo. Chcę, żebyś wskazała na obrazek, który najpełniej ilustruje znaczenie tego słowa, dobrze? Rozumiesz, o co mi chodzi?

Skinęła głową. Pokazałam jej pierwszy zestaw czterech obrazków i poprosiłam, żeby wskazała „bat”. Co za słowo na sam początek, pomyślałam. Przez chwilę przyglądała się obrazkom, po czym wskazała ostrożnie jeden z nich.

- Dobra dziewczynka. - Uśmiechnęłam się. - Bardzo dobrze. A teraz pokaż „sieć”.

Czytałam kolejne słowa, a Sheila pokazywała obrazki. Początkowo z wahaniem, po dokładnym przyjrzeniu się obrazkom, robiła to coraz swobodniej. Po sześciu czy siedmiu zestawach Sheila popatrzyła na mnie, a na jej ustach pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

- To łatwe - wyszeptała ochryplym głosem, tak żeby nie usłyszeli inni.

Pomyliła się tylko w przypadku jednego słowa, „termos”, którego pewnie nie spotkała

w swoim krótkim i ubogim życiu. Potem radziła sobie znakomicie. Test przerywano w momencie, kiedy dziecko myliło sześć z ośmiu słów, a nic nie wskazywało na to, aby Sheila miała się zbliżyć do tego poziomu. Pracowałyśmy dalej. Pojawiały się coraz trudniejsze słowa, więc potrzebowała więcej czasu na przyjrzenie się obrazkom. Czasem nie знаła jednego lub dwóch. Widziałam w jej oczach niepokój; wiedziała, że źle odgadła, nawet jeśli nic nie powiedziałam.

Przestałam komentować już jakiś czas temu. Podejrzewałam, że poziomem inteligencji wykraczała ponad przeciętność, lecz teraz przerosła wszelkie moje oczekiwania. Przeszliśmy do części testu, której nigdy wcześniej nie używałam, ponieważ żadne z moich dzieci nigdy nie zaszło tak daleko. Pojawiły się takie słowa, jak „iluminacja” czy „koncentryczny”. Sheila w każdym zestawie nie znała jakichś słów, ale nigdy sześciu spośród ośmiu. Wyczuwałam coraz większe napięcie. Widziałam, jak bardzo się stara, żeby nie popełnić błędu, co mnie bardzo poruszyło. Dotarliśmy do części końcowej testu obejmującej słownictwo na poziomie młodzieży; większość słów z tej części była nie znana przeciętnemu sześciolatkowi. Wciąż próbowała, przygryzając wargi i zaciskając dłonie na kolanach.

- Kochanie, radzisz sobie znakomicie - powiedziałam. Nie spodziewałam się, że podejdziesz do testu tak poważnie i że potrwa to tak długo. Nie mogłam uwierzyć, że zna wszystkie te słowa.

Spojrzała na mnie. Oczy miała szeroko otwarte i przełykała nerwowo.

- Nie robię dobrze.

- W porządku, kochanie. Nie musisz znać wszystkiego. To są słowa dla dużych dzieci. Chciałam się tylko przekonać, które z nich znasz. Nie ma znaczenia, jeśli się pomylisz. Jestem z ciebie dumna, że tak bardzo się starałaś.

Nadęła usta, jakby miała się za chwilę rozplakać.

- Te słowa piekielnie trudne. - Spojrzała na swoje ręce. - Najpierw łatwe, ale te bardzo trudne dla mnie. Nie znam wszystkich.

Myślałam, że mi pęknie serce, kiedy tak słuchałam jej cienkiego głosiku i patrzyłam, jak znowu kurczy ramiona pod wytartą koszulką. Co za niewinność, nawet u najgorszych spośród tych dzieci. Wszystkie były po prostu małymi dziećmi.

Wyciągnęłam rękę.

- Chodź do mnie, Sheilo. - Podniosła wzrok, a ja pochyliłam się, przyciągnęłam ją do siebie i posadziłam sobie na kolanach. Czułam pod dłońmi jej małe, napięte ciało; obie zanurzyłyśmy się w obłoczku wiecznie towarzyszącego jej zapachu moczu. - Kotku, wiem, że bardzo się starałaś. Tylko to się liczy i nieważne, które słowa znałaś, a które nie. To były bardzo

trudne słowa. Założę się, że nie ma tutaj drugiego dziecka, które by sobie poradziło tak dobrze.

Obejmując ją wciąż, odgarnęłam potargane włosy z jej twarzy. Czekałam, aż się rozluźni, i zerkałam na arkusze testu, żeby w myślach policzyć błędy, które popełniła. Podejrzywałam, że osiągnęła niemal szczyt swoich możliwości. Nie potrafiła wskazać trzech czy czterech słów po kolei, a mimo to okazała się lepsza od wszystkich dzieci, które wcześniej testowałam.

- Skąd znasz wszystkie te słowa? - spytałam, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

- Moja inna nauczycielka dawała mi czasopisma. Czasem czytałam słowa z nich.

Spojrzałam na nią. Jej drobne ciało wciąż pozostawało napięte.

- Sheilo, potrafisz czytać? Skinęła głową.

- Gdzie się nauczyłaś?

- Nie wiem. Ja zawsze czytać.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem. Co za odmieniec nam się trafił? Początkowo podniecała mnie już sama myśl o możliwości otrzymania inteligentnego dziecka, ponieważ pozostałe, choć ogromnie kochane, uczyły się bardzo powoli i trudno było powiedzieć, gdzie kończą się zaburzenia, a zaczyna opóźnienie. Niektóre spośród nich, jak Sarah i Peter, były przeciętnymi dziećmi, ale rzadko kiedy miałam dziecko ponadprzeciętne. Początkowo myśl ta podniecała mnie. Lecz Sheila bez wątplenia nie była tak po prostu więcej niż przeciętna. Jej poziom wykraczał daleko poza poziom dziecka, które łatwo się uczy. Nie miałam wątpliwości, że dryfowała w mało znanym świecie prawdziwego talentu. Obawiałam się, że fakt ten wcale nie ułatwi mi pracy.

Nie starczyło skali na teście PPVT, żeby zmierzyć wyniki Sheili. Dla jej grupy wiekowej skala kończyła się na dziewięćdziesięciu dziewięciu punktach, co równało się 170 IQ. Sheila otrzymała sto dwa punkty. Wpatrywałam się w arkusz testu z niedowierzaniem. Taki poziom inteligencji nie podlega żadnym klasyfikacjom. Statystyki mówią, że mniej niż jedno dziecko na dziesięć tysięcy dysponuje tak wysokim poziomem funkcjonalności. Ale co to oznacza? Tak różny od standardowych wynik jest czymś nienormalnym w społeczeństwie, które preferuje identyczność. Coś takiego z pewnością by ją wyizolowało, podobnie jak jej zaburzenia.

Spojrzałam na Sheilę, która powróciła na swoje miejsce. Był czas wolny, więc usiadła na swoim ulubionym krzeselku. Patrzyłam, jak siedzi z kciukiem w buzi, skulona w geście obronnym, z rękoma splecionymi wokół podkurczonych kolan. Przyglądała się Sarah i Tyler, które bawiły się lalkami w dom w kącie klasy. Zastanawiałam się, co skrywają te potargane włosy i czujne oczy? Czułam większy niepokój niż przedtem, ponieważ sytuacja jeszcze

bardziej się skomplikowała.

Po lunchu pokazałam test Anionowi. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- To nie może być prawda - mruknął. - Gdzie by się nauczyła tych wszystkich słów? Pewnie zgadywała i dopisała jej szczęście. Żaden dzieciak z obozu emigrantów nie zna takich słów.

Sama także nie mogłam uwierzyć. Dlatego połączyłam się z Allanem, szkolnym psychologiem. Nie było go w gabinecie, ale zostawiłam wiadomość u jego sekretarki, że mam dziecko, które chciałabym przetestować.

Zastanawiałam się nad jedną rzeczą. Kiedy Sheila zaczęła więcej mówić do mnie w czasie testu, utwierdziłam się w przekonaniu, że posługuje się wysoce idiosynkretycznym dialektem. Wcześniej nie odzywała się na tyle, żebym potrafiła dokładniej wylapać specyficzne cechy jej mowy, lecz bez wątpienia posługiwała się dość dziwną gramatyką. Większość dzieci z obozu emigrantów pochodziła z domów, w których mówiono przede wszystkim po hiszpańsku, dlatego ich zasób słownictwa angielskiego pozostawał poniżej ich grupy wiekowej, lecz gramatyka nie odbiegała od normy. Nie stwierdzono jakichś znacznych różnic językowych u miejscowej ludności. Sheila nie pochodziła z domu, gdzie posługiwano się hiszpańskim; jej test na inteligencję wykazał poprawność słownictwa. Nie miałam więc pojęcia, dlaczego mówi tak dziwnie. Jej dialekt przypominał mi język czarnoskórych mieszkańców śródmieścia Cleveland, gdzie pracowałam. Tylko że Sheila nie była czarna, a nasza niewielka farmerska społeczność w Iowa w niczym nie przypominała śródmieścia Cleveland. Być może tak mówiono w jej rodzinie. Postanowiłam zbadać tę sprawę, ponieważ nie dawała mi spokoju.

Dalsza część dnia przebiegła bez żadnych niespodzianek. Wciąż utrzymywałam swoje wymagania wobec Sheili na poziomie minimum. Chciałam dać jej dość czasu na przystosowanie się i żeby nie odbywało się to kosztem innych dzieci. Była to przyjemna odmiana po pierwszych burzliwych dniach. Chodziła z nami wszędzie bez oporów, ale wciąż musiałam ją namawiać, żeby brała udział w zajęciach. Nie chciała rozmawiać z pozostałymi dziećmi ani z Whitney. Przeważnie nie odzywała się też do mnie i do Antona, chyba że byliśmy same. Ale uspokoiła się; jeśli nawet nic nie robiła, siedziała na swoim krześle i obserwowała nas czujnie.

Higiena Sheili stanowiła kolejny poważny problem, jaki należało rozwiązać. Każdego dnia przychodziła w tych samych dzinsowych spodniach i chłopięcym podkoszulku. Nie miałam wątpiwości, że jej ubrania nie były prane od pierwszego dnia, kiedy przysłała do nas, i wciąż cuchnęła moczem. Podejrzywałam, że moczyła się w łóżku, a potem ubierała, nie myjąc

się. Dlatego przebywanie w jej obecności przez dłuższy czas nie należało do przyjemności. Oboje z Anionem przywykliśmy do zapachów nie zmienianych majtek, ponieważ Max, Freddie i Susanah jeszcze nie w pełni panowali nad swoimi ciałami. Jednak w tym względzie Sheila biła wszystkich na głowę. Ponadto na jej rękach i twarzy widniała warstwa brudu. Kiedy wysłałam ją do łazienki, żeby zmyła czekoladę, linie na jej przedramionach wyraźnie wskazywały, dokąd je umyła. Te same linie na jej rękach widziałam i dzisiaj. Sheila nosiła też długie włosy, których splecione pasemka sięgały do połowy pleców. Już pierwszego dnia sprawdziłam, czy nie ma wszy. Wcześniej dwukrotnie mieliśmy z nimi problem i nie chciałam, żeby to się powtórzyło. Za drugim razem musiałam łapać je własnoręcznie, co doprowadziło mnie do furii. Nie znalazłam żadnych u Sheili, chociaż miała liszajec wokół ust. Miałam nadzieję, że nikogo nim nie zarazi.

Szkolna pielęgniarka przyjmowała w jedno popołudnie w tygodniu. Próbowałam postać do niej moje dzieci. Większość z nich miała liszajec, pogryzienia przez szczury lub inne oznaki biedy. Skończyło się na tym, że dostałam od pielęgniarki maść oraz szampon i sama zajęłam się dziećmi, głównie dlatego, że jedno popołudnie w tygodniu nie wystarczało, żeby rozwiązać problem.

Zanim zajęłam się higieną Sheili, zaczekałam, aż wszystkie dzieci pójdą do domu. Kiedy przygotowywały się do wyjścia, siedziała przez cały czas na swoim krześle. Wciąż tam była, kiedy wyjęłam z szafki grzebień i szczotki, które tam trzymałam. Poprzedniego dnia wstąpiłam do drogerii i kupiłam zestaw spinek do włosów.

- Sheilo, chodź tutaj - powiedziałam. - Mam coś dla ciebie.

Wstała i podeszła do mnie. Jej twarz wyrażała czujność, ale i zainteresowanie. Przez moment trzymała torebkę i patrzyła na mnie pytającym wzrokiem. Zachęciłam, żeby ją otworzyła. Kiedy to zrobiła, popatrzyła na klamerki, a potem na mnie. Jej zmarszczone czoło wciąż wyrażało zdziwienie.

- To dla ciebie, kochanie. Pomyślałam, że uczeszymy ci ładnie włosy i zepniemy klamerką. Tak jak moje. - Pokazałam na swoje włosy.

Przesuwała palcami ostrożnie po klamerkach przez plastikowe opakowanie. Patrzyła na mnie pytającym wzrokiem.

- Dlaczego ty to robisz?

- Co?

- Być miłą dla mnie.

Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem.

- Ponieważ cię lubię.



- Dlaczego? Ja zwariowany dzieciak. Zabić twoje ryby. Dlaczego ty dobra dla mnie?

Uśmiechnęłam się, ukrywając zmieszanie.

- Po prostu chciałam być dobra, Sheilo. Myślałam, że spodoba ci się coś do włosów.

Wciąż wodziła palcami przez plastik po krawędziach klamerki.

- Przedtem nikt mi nic nie dać. Nikt nie być dla mnie dobry. Patrzyłam na nią zdumiona.

Po raz pierwszy przeżyłam podobną chwilę.

- Widzisz, kochanie, tutaj jest inaczej. - Tylko tyle potrafiłam jej odpowiedzieć.

Ostrożnie rozczesałam jej włosy. Zajęło mi to o wiele więcej czasu, niż się spodziewałam, ponieważ nie chciałam jej zranić. Nie chciałam zerwać delikatnej nici porozumienia, jakie udało nam się nawiązać, nie chciałam zniszczyć tego nieopatrznie, tylko dlatego że pochodziłyśmy z różnych światów. Siedziała cierpliwie, ściskając w dłoniach klamerki, ale nie wyjęła ich z opakowania. Wciąż wodziła po nich palcami, lecz nie otworzyła torebki. Na szczęście miała proste, miękkie włosy, które dawały się rozczesać. Spływały w dół jej pleców szeroką kaskadą. Z przodu zaczesalam jej grzywkę. Okazała się za długa i włosy wpadały jej do oczu. Sheila była ładną dziewczynką o wyraźnych rysach. Z pewnością woda i mydło dodałyby jej jeszcze urody.

- Dobrze, a teraz daj mi klamerki, to zepnę włosy. Przycisnęła torebkę do piersi.

- Daj, wepniemy je we włosy.

Potrząsnęła głową.

- Nie chcesz ich nosić?

- Tato zabrać mi je.

- Chyba tego nie zrobi, co? Powiedz mu, że dostałaś je ode mnie.

- On powiedziec, że ja je ukraść. Przedtem nikt mi nic nie dać. - Przyciskała klamerki mocno, wpatrując się przez opakowanie w plastikowe kaczki i niebieskie ptaszki.

- Może na razie zostawisz je w szkole, dopóki nie spotkam się z twoim tatą i powiem mu, że dostałaś je ode mnie. Co ty na to?

- Ty znowu mnie ładnie uczesać? Skinęłam głową.

- Uczeszę cię jutro rano, jak tylko przyjdiesz. Patrzyła długo na klamerki, aż wreszcie oddała mi je.

- Masz. Trzymać je dla mnie.

Serce zabiło mi mocniej, kiedy odebrałam od niej torebkę. Widziałam, jak trudno było jej rozstać się z podarunkiem. W tym momencie do sali wszedł Anton z plikiem kopii zadań, które nam się skończyły. Przypomniał mi, że musi już zaprowadzić Sheilę do autobusu. Ze zdziwieniem zorientowałam się, jak dużo czasu minęło. Nie doszliśmy nawet do mycia, a ona

tak cuchnęła.

- Sheilo - zapytałam ją. - Czy ty masz okazję umyć się w domu?

Potrząsnęła głową.

- Nie mamy wanny.

- Nie możesz umyć się przy zlewie?

- Nie mieć zlewu. Tato nosić wodę w wiadrze ze stacji benzynowej. - Zamilkła na moment i wbiła wzrok w podłogę. - Woda tylko do picia. On by wściec się na mnie, gdyby ja ją zabrudzić.

- Czy masz jakieś inne ubrania? Potrząsnęła głową.

- W takim razie coś ci powiem. Jutro zastanowimy się, jak temu zaradzić, dobrze?

Skinęła głową i poszła po swoją cienką kurtkę. Westchnęłam, patrząc na nią. Tyle do zrobienia, pomyślałam. Tyle pracy, żeby coś zmienić.

- Do widzenia, Sheilo. Miłego popołudnia. Do zobaczenia jutro.

Anton wziął ją za rękę i otworzył drzwi, za którymi rozciągała się wietrzna, styczniowa ciemność. Zanim zdążył je zamknąć, Sheila zatrzymała się na krótką chwilę i spojrzała na mnie spod jego ramienia. Na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

- Do widzenia, nauczycielko.

Następnego dnia przyszedłam do szkoły gotowa do działania, uzbrojona w trzy kąpielowe ręczniki, szampon i balsam dla dzieci. Najpierw poszłam na dół, żeby zajrzeć do pudełka z darami. Chociaż szkoła, w której pracowałam, znajdowała się w dość zamożnej dzielnicy, zawsze znalazły się dzieci, choćby takie jak moje, które znajdowały coś dla siebie w pudełku. Trzymałam też własne zapasy w klasie, lecz została mi głównie bielizna. Jednak wszystko, co tam zebrałam, było o wiele za duże na Sheilę. Wybrałam więc na dole parę sztruksowych spodni i podkoszulek, po czym wróciłam do klasy.

Kiedy przysza Sheila, łałam właśnie wodę do zlewu umieszczonego z tyłu klasy. Ponieważ nie mieliśmy prysznica, uznałam, że uda mi się częściowo wsadzić do niego Sheilę. Był to typowy, duży kuchenny zlew. Gdy tylko mnie zobaczyła, zdjęła kurtkę i podeszła do mnie szybko. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby szła do mnie równie szybko. Jej szeroko otwarte oczy wyrażały zainteresowanie. Pochyliła się, żeby lepiej widzieć, co robię.

- Zapniesz mi spinki we włosach?

- Pewnie. Ale najpierw zajmiemy się twoim ciałem, jak u prawdziwej kosmetyczki.

Umyję cię całą. Co ty na to?

- Będzie bolało? Roześmiałam się.

- Nie, głuptasie. Nie sędzę.

Wyjęła z wiadra butelkę z kremem i odkręciła zakrętkę.

- Po co to? Do jedzenia? Popatrzyłam na nią ze zdziwieniem.

- Nie, to jest balsam. Do smarowania ciała. Na jej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

- Ładnie pachnie, nauczycielko. Powąchaj. Dobrze pachnie. Smarujesz tym, żeby ładnie pachnieć. - Była wyraźnie ożywiona. - Teraz ten dzieciak już nie mówić, że ja cuchnę, tak?

Uśmiechnęłam się.

- Już tak nie powie. Spójrz, znalazłam dla ciebie ubrania. Kiedy Whitney przyjdzie po południu, będzie mogła zabrać twoje spodnie do prania.

Sheila wzięła do ręki spodnie.

- Tata nie pozwoli mi ich zatrzymać. My nie bierzemy żadnych darów.

- Rozumiem. Ale możesz nosić te, dopóki twoje nie wyschną. W porządku?

Posadziłam Sheilę na blacie szafki tuż przy zlewie, zdjęłam jej buty i skarpetki. Przyglądała się uważnie, jak ściągam z niej ubranie, ale nie próbowała mi pomagać. Miałam

niecałe pół godziny do: przyjscia pozostałych dzieci, które wprawdzie były przyzwyczajone do tego, że ktoś jest myty w zlewie, lecz nie byłam pewna reakcji Sheili. Kiedy ją o to spytałam, odpowiedziała mi, że nie ma nic; przeciwko temu, żeby ktoś patrzył, jak ona się myje. Mimo uznałam, że powinnam się pospieszyć.

Była bardzo drobną, chudą dziewczynką i widać jej było wyraźnie wszystkie żebra. Zauważyłam na jej ciele liczne blizny.

- Co ci się tu stało? - zapytałam, myjąc jej ramię. Na jego wewnętrznej stronie ciągnęła się blizna długa na dwa cale.

- Tu kiedyś złamałam rękę.

- Jak to się stało?

- Upaść przy zabawie. Lekarz dać tu gips.

- Upadłaś w czasie zabawy? Przytaknęła, oglądając uważnie bliznę.

- Upaść na chodnik. Tato mówi, że ja cholerna niezdara. Często się kaleczę.

Nie mogłam powstrzymać się przed zadaniem pytania, której zwykle pojawia się w rozmowie z moimi dziećmi.

- Czy twój tato robi coś, po czym zostają takie blizny? Bije mocno czy coś w tym rodzaju?

Kiedy znowu spojrzała na mnie, jej twarz spochmurniała. Patrzyła na mnie długo w milczeniu, aż zaczęłam żałować, że ją o to zapytałam. Być może nie nadszedł jeszcze czas na tak osobiste pytania.

- Mój tato, nie, on tak nie robić. Bardzo by mnie nie zranił. On mnie kocha. Zbije mnie czasem, ale to po to, żebym była dobra. Czasem trzeba bić dzieci. Ale mój tato mnie kocha. Po prostu jestem niezdara i dlatego tyle blizn - dodała nieco obronnym tonem.

Wyciągnęłam ją ze zlewu i zaczęłam wycierać. Nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Kiedy trzymałam ją u siebie na kolanach, żeby jej wytrzeć nogi, odwróciła się niespodziewanie i spojrzała mi w oczy.

- Wiesz, co zrobiła moja mama?

- Nie.

- Pokażę ci. - Podniosła jedną nogę i wskazała na bliznę. - Mama wziąć mnie na drogę i tam mnie zostawić. Ona wypchnąć mnie z samochodu, ja upaść na kamień i skaleczyć nogę. Zobacz. - Dotknęłam palcem białej linii. - Tata mnie kocha. On mnie nie zostawia na drodze. Tak się nie robi z dziećmi.

- Masz rację.

- Mama mnie tak nie kocha.

Nic nie odpowiedziałam i zaczęłam rozczesywać jej włosy. Nie chciałam przedłużyć naszej rozmowy, ponieważ jej słowa były dla mnie bardzo bolesne. Mówiła takim spokojnym i rzeczowym tonem; wydawało mi się wręcz, że nie powinnam słuchać tego, co mówi. Jakbym czytała czyjś pamiętnik, a spokój drukowanych liter dodawał znaczenia słowom.

- Moja mama zabrać Jimmiego i pojechać do Kalifornii. Oni teraz tam. Jimmie, mój brat, mieć cztery lata, ale mieć dwa, kiedy mama odjechać. Już nie widzieć Jimmiego przez dwa lata. - Umilkła na chwilę zamyślona. - Tęsknię za Jimmiem. Chciałabym go zobaczyć. Milutki z niego chłopiec. - Znowu odwróciła się do mnie twarzą. - Byś polubiła Jimmiego. Miły chłopiec, nie wrzeszczy i dobry. Byłby dobry chłopiec w tej klasie tutaj ze zwariowanymi dziećmi. Ale on by nie był zwariowany tak jak ja. Ty polubić Jimmiego. Tak jak moja mama. Ona go lubić bardziej niż mnie, dlatego jego wziąć, a mnie zostawić. Mogłabyś mieć Jimmiego tutaj. On nie robi takich rzeczy jak ja. Przytuliłam ją do siebie.

- Kotku, ja chce ciebie, a nie Jimmiego. On będzie miał kiedyś swoją nauczycielkę. Nie obchodzi mnie, co robią dzieci. Lubię je, to wszystko.

Wyprostowała się, a jej twarz pojaśniała.

- Ty być śmieszna pani nauczycielka. Ty tak samo zwariowana jak dzieciaki.

Piątego dnia, w piątek, Sheila wciąż nie rozmawiała z innymi dziećmi, lecz odpowiadała na pytania dorosłych. Pod koniec dnia, po tym jak wszyscy zjedli lody i zakończyliśmy zajęcia, staliśmy w szeregu, czekając na autobusy, które miały zabrać dzieci do domu. Skończyliśmy trochę wcześniej i wszystkim zaczynało się robić ciepło, ponieważ włożyli już kombinezony, więc zaproponowałam zaśpiewanie piosenki. Max krzyknął, że chce zaśpiewać *Jeśli jesteś szczęśliwy i wiesz o tym, zaklaszcz*. Była to prosta piosenka, przy śpiewaniu której dzieci klaskały, tupały i kiwały głowami. Spojrzałam na Sheilę, która stała na końcu grupy; nie śpiewała, ale dokładnie wszystkich obserwowała. Zaśpiewaliśmy i pokazaliśmy całą piosenkę, lecz autobusy wciąż nie przyjeżdżały, więc poprosiłam o propozycje kolejnych słów do naszej piosenki, które by można pokazać. Tyler zaproponowała: - *Jeśli jesteś szczęśliwy i wiesz o tym, podskocz*. - Zaśpiewaliśmy więc, podskakując. Zauważyłam, że Sheila uniosła nieśmiało rękę. Przy tak małej liczbie dzieci i tylu problemach z nimi związanych zwykle czekałam cierpliwie, aż coś podobnego się wydarzy, dlatego teraz zaparło mi dech, kiedy ujrzałam tę małą dziewczynkę, która nigdy wcześniej nie odezwała się do pozostałych dzieci i odmawiała współpracy.

- Sheilo, masz jakiś pomysł?

- Obróć się? - odezwała się nieśmiało. Zaśpiewaliśmy piosenkę z obrotem. Tak więc pierwszy tydzień zakończył się sukcesem.

W ciągu kolejnych tygodni Sheila bardzo się ożywiła. Zaczęła mówić, najpierw z rezerwą, potem już swobodnie. Miała mnóstwo pomysłów, o których dużo opowiadała. Bardzo cieszył mnie fakt, że mam w klasie dziecko, które tak swobodnie mówi. Inne dzieci lubiły jej towarzystwo.

Sheila nigdy nie wspomniała o incydencie z podpaleniem dziecka, nigdy. Te bardziej logicznie myślące spośród moich dzieci świadome były powodów, dla których znalazły się w mojej klasie. Rozmawialiśmy o tym regularnie, podczas porannych dyskusji lub mniej formalnie w ciągu dnia na placu zabaw, kiedy inne dzieci chowały się zmarznięte pod ścianą, niekiedy podczas lunchu, w czasie gotowania lub zajęć plastycznych albo wyciągnięci wygodnie na poduszkach w zacisznym kącie ze zwierzętami. Większość dzieci odczuwała nieodpartą potrzebę rozmawiania o tych sprawach.

Nasze rozmowy były zawsze bardzo swobodne, jakby od niechcienia. Dzięki doświadczeniu potrafiłam rozmawiać o próbie samobójstwa czy podpaleniu kota z równą swobodą, z jaką sprawdzałam listę z pralni albo pytałam o wyniki meczu. Nie musiałam im mówić, że ich zachowania były złe, że przestraszyły lub zniechęciły do siebie innych - one już to wiedziały. Inaczej nie trafiłyby do mojej klasy. Natomiast konieczne było, aby zgłębiły ten fakt na wszelkie możliwe sposoby, żeby wypowiedziały się, co czuły, kiedy to robiły, co spodziewały się poczuć później, żeby opisały pozornie nieistotne szczegóły dotyczące tamtego wydarzenia. Przeważnie słuchałam uważnie, z rzadka tylko zadając pytania, przytakiwałam głową i chrząkałam. Rozmawialiśmy zajęcia mnóstwem nie absorbujących uwagi czynności, jak kolorowanie czy wykonywanie projektów z papier mache, dzięki czemu nie musieliśmy patrzeć na siebie i zapominaliśmy, że w ogóle rozmawiamy.

Sheila wiedziała, dlaczego jest z nami. Od drugiego dnia nieustannie nazywała nas „zwariowaną klasą”. Ona zaś była zwariowanym dzieciakiem, który jest bardzo niegrzeczny. Chociaż często przyłączała się do rozmów, nigdy nie wspomniała o incydencie z podpaleniem. Ani w obecności dzieci, ani przy mnie czy innych dorosłych. Nigdy. A ja nie naciskałam. Przeważnie starałam się nie unikać pewnych tematów, lecz tym razem czułam po prostu, że nie wolno mi nalegać. Tak więc nigdy o tym nie mówiłyśmy i nigdy nie dowiedziałam się, co działo się w jej umyśle w tamten zimny listopadowy wieczór.

Wciąż intrygowało mnie to, w jaki sposób mówiła Sheila. Im więcej się odzywała, tym mocniej ujawniała się różnica w sposobie mówienia między nią a resztą klasy. O ile mi było wiadomo, jej ojciec nie posługiwał się żadnym dialektem. Urodził się i wychował w tej okolicy i powinien mówić tak jak wszyscy. Najbardziej istotną cechą mowy Sheili był brak czasu przeszłego i używanie bezokolicznika w większości przypadków. Poza kilkoma wyjątkami

czas przeszły po prostu nie istniał dla niej. Wszystko, o czym mówiła, działo się jakby w teraźniejszości lub przyszłości. Bardzo mnie to dziwiło, ponieważ z drugiej strony posługiwała się trudnymi konstrukcjami językowymi, jak zdania warunkowe czy zdania złożone, których nie używała jeszcze większość sześciolatków. Nagrywałam regularnie fragmenty jej rozmów i wysyłałam różnym ekspertom do analizy, ale nie poprawiałam jej.

Allan, szkolny psycholog, poddał Sheilę testowi czytania oraz testowi na inteligencję. W teście na inteligencję zdobyła maksymalną liczbę punktów. Pamiętam, jak Allan wychodził z pokoju, potrząsając głową z niedowierzaniem. Nigdy wcześniej żadne dziecko nie poradziło sobie z jego testem tak dobrze, a już na pewno nie spodziewał się tego po kimś z mojej klasy. Zdolności Sheili w zakresie czytania i rozumienia odpowiadały poziomowi piątej klasy, chociaż nikt nigdy nie uczył jej czytać. Wychodząc ze szkoły tamtego dnia, Allan obiecał, że znajdzie test, który by odpowiadał poziomowi inteligencji dziewczynki.

Każdego ranka, przed lekcjami, obie z Sheila pracowałyśmy nad jej higieną. Kupiłam wiaderko, w którym trzymałyśmy szczotkę, grzebień, ręcznik, mydło, balsam i szczoteczkę do zębów. Najczęściej Sheila zgadzała się umyć zęby, pod warunkiem, że uczeszę jej włosy. Uwielbiała swoje spinki. Kupiłam inne, podobne do moich, których Sheila strzegła jak największego skarbu. Rano przeglądała je i liczyła, zanim któreś wybrała. Po południu wyjmowała je z włosów, układała ostrożnie na ręczniku i ponownie liczyła, by się upewnić, że nikt jej żadnej nie zabrał. Trochę więcej problemów przysparzały nam jej ubrania. Miałam w szkole czystą bieliznę, i nalegałam, żeby Sheila zmieniała ją codziennie. Nigdy nie rozmawiałyśmy na ten temat, gdyż uznałam po pierwszym dniu, że jest to bardzo delikatna sprawa. Jednak bez względu na to, o czym rozmawiałyśmy, sprawdzałam zawsze, czy się przebrała. W każdy poniedziałek Whitney zanosila spodnie i podkoszulek Sheili do samoobsługowej pralni na rogu ulicy. Oczywiście był to tylko półśrodek, ale przynajmniej Sheila nie cuchnęła już tak jak dawniej. Teraz była to ładna i czysta dziewczynka. Miała gęste, długie blond włosy i roziskrzone oczy, a kiedy się uśmiechała, ku zadowoleniu nas wszystkich, widać było na dole trzy dziury, tam gdzie nie wyrosły jej jeszcze zęby.

Z ulgą przyjąłam fakt, że nie pojawił się jeden z problemów, którego się spodziewałam, a mianowicie problem dowozu Sheili autobusem do szkoły. Znając jej nieobliczalne zachowanie, nie wyobrażałam sobie jej samej, pozbawionej opieki, w autobusie. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się martwiłam. Może obecność czterdziestu uczniów szkoły średniej temperowała nawet Sheilę.

Zawsze ja albo Anton odprowadzaliśmy ją do autobusu i przyprowadzaliśmy, lecz kiedy już się w nim znalazła, siadała zawsze spokojnie gdzieś z tyłu. Jedyne wydarzył

się pod koniec stycznia. Jak zwykle odprowadziliśmy ją na przystanek i wsadziliśmy do autobusu. Ale kiedy autobus dotarł do obozu emigrantów i wszyscy uczniowie wysiedli, okazało się, że Sheila zniknęła. Kierowca wstał z miejsca i popatrzył uważnie do tyłu, lecz nie dostrzegł nikogo. Zaniepokoił się, ponieważ wcześniej autobus zatrzymywał się tylko na dwóch przystankach i na żadnym z nich nie widział wysiadającej Sheili, więc natychmiast zatelefonował do mnie do domu, by się upewnić, że wsiadła do autobusu. Potwierdziłam. Przeżyłam kilka chwil paniki, zanim kierowca zadzwonił do mnie powtórnie. Okazało się, że Sheila znalazła sobie ciepłe miejsce na podłodze, przy tylnym kole, gdzie zasnęła. Potem zawsze już układała się w tym przytulnym, wypełnionym ciepłem i kołysaniem, miejscu i przesypiała godzinną podróż do szkoły i z powrotem. Kierowca zaś zawsze sprawdzał, czy się obudziła i wysiadła. Uczniowie, początkowo obojętni wobec Sheili, z czasem zaczęli pilnować, żeby nikt nie zajął jej miejsca przy grzejniku i przynosili jej torby lub swetry pod głowę, a nawet odprowadzali do domu w dni, kiedy wydawała się szczególnie zasnana.

Problemem, który pozostawał nie rozwiązany, był ojciec Sheili. Bezskutecznie próbowałam się z nim spotkać. Nie miał telefonu, więc wysłałam mu przez Sheilę zawiadomienie, aby się zgłosił do szkoły. Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Wysłałam kolejną wiadomość. Nic. W trzeciej poinformowałam go, że wybieram się do niego z wizytą. Kiedy przybyliśmy z Antonem, nie zastaliśmy nikogo. Nabierałam przekonania, że nie chce się ze mną spotkać. Wreszcie skontaktowałam się z pracownicą opieki społecznej, która zajmowała się Sheilą. Wybrałyśmy się wspólnie, lecz przywitała nas tylko Sheila. Ojca nie było.

Bardzo chciałam się z nim spotkać. Przede wszystkim miałam zamiar porozmawiać z nim na temat właściwego ubrania Sheili. Wspomniałam o tym opiece społecznej. Wprawdzie w klasie Sheila nosiła wciąż to samo ubranie, lecz mnie bardziej interesował jej strój, który nosiła na dworze. Miała tylko cienką, bawełnianą kurtkę chłopięcą, typową baseballową wiatrówkę. Nie nosiła rękawiczek, czapki ani ciepłych butów, a był już styczeń i temperatura spadała czasem poniżej zera. Bywało, że rano Sheila przychodziła do szkoły sina z zimna po spacerze z przystanku oddalonego o dwie przecznice. W szczególnie zimne dni podwoziłam ją samochodem. Kiedy wychodziliśmy ze szkoły w czasie przerw, dawałam jej coś cieplejszego do ubrania. Raz kazałam jej pójść w tym do domu, lecz już następnego dnia otrzymałam ubranie z powrotem w papierowej torbie. Sheila wyznała zawstydzona, że dostała lanie za to, że przyjęła „dary”. W opiece społecznej wyjaśniono mi, iż wielokrotnie już kontaktowano się z jej ojcem w tej sprawie, a raz nawet wezwano go, żeby kupił córce ubrania za pieniądze z opieki. Niedługo potem zwrócił ubrania. Pracownica z opieki społecznej stwierdziła, wzruszając ramionami, że nie potrafią go zmusić. Nie chcieli zbyt mocno naciskać, ponieważ wiedzieli, że



ojciec wyładowuje swoją złość na Sheili. Spytałam więc, czy w takim razie nie popełniał przestępstwa znęcania się nad dzieckiem. Usłyszałam w odpowiedzi, że formalnie nie, ponieważ nie znaleziono żadnych śladów na ciele dziewczynki. Trzasnęłam drzwiami po wyjściu mojej rozmówczyni. Żadnych śladów na ciele, co? W takim razie co ona robiła w mojej klasie? Czy mógł istnieć bardziej wyraźny ślad?

Podczas jej obecności w szkole starałam się dostarczyć jej jak najwięcej doświadczeń, których pozbawiały ją okoliczności. Sheila ożywiła się coraz bardziej. Wiele rzeczy ją interesowało, badała wszystko, nie przestając mówić. Przez pierwsze tygodnie nie odstępowała mnie ani na chwilę. Gdziekolwiek bym poszła, kiedy się odwróciłam, stała za mną z książką przyściśniętą do piersi albo z pudełkiem klocków do matematyki. Uśmiechnięta, łapała moje spojrzenie i podchodziła bliżej, gotowa do działania. Naturalnie musiałam dzielić mój czas równo pomiędzy wszystkie dzieci, ale ona się nie zrażała. Po prostu stała za mną cierpliwie i czekała, aż skończę. Czasem, kiedy już nabrała śmiałości, zaczęła szukać więcej fizycznego kontaktu i wtedy często czułam jej dłoń uczipioną mojego paska. Anton śmiał się ze mnie i twierdził, że wyglądam jak wagon metra, kiedy chodzę od dziecka do dziecka z pasażerem uczipionym z tyłu.

W czasie tamtych pierwszych, jakże intensywnych tygodni, z wdzięcznością, ale i przerażeniem myślałam o dwóch godzinach, które spędzałyśmy razem po zajęciach. Przed wszystkim mój czas na przygotowanie zajęć skurczył się bardzo. Ku niezadowoleniu Chada przynosiłam pracę wieczorem do domu. Anton narzekał, że nie ma możliwości porozmawiania ze mną, jeśli nie przyjdziemy do pracy o wpół do ósmej. Zadowolona była tylko Sheila, która nie mogła się nasycić i wciąż zabiegała, abym poświęcała jej więcej uwagi.

Przez sześć lat pozostawała dzieckiem niechcianym, ignorowanym i odrzucanym. Wypychano ją z samochodów, z ludzkiego życia. Teraz znalazła kogoś, kto zechciał wziąć ją za rękę, wysłuchać, przytulić. Dlatego cieszyła się każdą chwilą naszej intymności. Nie przejmowałam się zbytnio tym, że muszę ją ignorować, kiedy chodzi za mną uczipiona mojego paska, ponieważ wiedziałam, że po lekcjach będzie mnie miała tylko dla siebie.

Pozostałe dzieci cieszyły się tak samo jak ja i Anton, widząc, jak Sheila kwitnie. W „Pudełku skrzata” pojawiało się coraz więcej karteczek zapisanych dziecięcą ręką. Większość dzieci wyraziła swoją radość z faktu, że Sheila nie cuchnęła już tak brzydko. Doceniły też jej starania, aby okazać im więcej uprzejmości.

Sheila z pewnością, nie miała zbyt wielu okazji, by nauczyć się uprzejmości wobec innych i zwracać na nich uwagę. W jej życiu nie było miejsca na altruizm, ponieważ cały swój wysiłek musiała skupić na przetrwaniu. Była przyzwyczajona do tego, że musi walczyć o

wszystko. Tak więc, jeśli ktoś zajął miejsce, które wcześniej sobie upatrzyła, odzyskiwała je solidnym kuksańcem. Jeśli inne dziecko wzięło zabawkę, którą ona chciała, wrywała mu ją z ręki i wycofywała się na bezpieczną pozycję, posykując groźnie. W pewnym sensie w swojej bezpośredniości była bardziej brutalna i niebezpieczna nawet od Petera, tyle tylko, że jej agresja przypominała agresję zwierzęcia pozbawioną złośliwości.

Wiedziałam, że po sześciu latach takiego życia nie wystarczy przekonać ją, że można postępować inaczej. Moje upomnienia, ostrzeżenia czy karne wizyty w cichym kącie wcale jej nie zmiękczyły. Ale uczyniło to „Pudełko skrzata”.

Każdego popołudnia Sheila słuchała uważnie, jak czytam karteczki i chwałę dzieci, które otrzymały pochwały. Za każdym razem liczyła skwapliwie swoje, a jeśli miała możliwość, także i innych, by porównać, kto otrzymał najwięcej pochwał. Próbowałam ją od tego odwieść, lecz nie udało mi się. Jej zapas wiary w siebie był zbyt mały, dlatego nieustannie chciała pokazać, że jest najlepszym dzieckiem w klasie, najbystrzejszym, najpilniejszym - moją ulubienicą. Kiedy z uporem nie chciałam potwierdzić, postanowiła dowieść tego za pomocą „Pudełka skrzata”. Lecz w tym względzie pomyliła się. Mogła mi pokazać, jak dobrze czyta, jeśli tylko namówiła mnie do wyjęcia książki, to było proste. Mogła pokazać, jak dobrze liczy. Nie wiedziała jednak, w jaki sposób okazać innym więcej uprzejmości, by zdobyć więcej karteczek z pochwałami.

Któregoś popołudnia stanęła przy stole, na którym składałam przyrządy potrzebne do eksperymentu.

- Dlaczego Tyler dostaje tyle karteczek? - zapytała. - Dostaje więcej od innych. Ty je im dajesz?

- Nie, wiesz przecież, że nie. Każdy pisze swoją kartkę.

- To dlaczego ona dostaje więcej? - Przechyliła głowę na bok. - Co ona robi? Dlaczego wszyscy lubią ją tak mocno?

- No cóż - zastanawiałam się przez chwilę. - Przede wszystkim jest uprzejma. Kiedy chce czegoś, pyta najpierw i prawie zawsze mówi „proszę”. Mówi też „dziękuję”. Wtedy inni czują się, jakby jej pomagali, i jest im z nią milej. Czują się z nią dobrze.

Sheila zmarszczyła brwi i spojrzała na swoje dłonie. Po długiej chwili milczenia posłała mi oskarżycielskie spojrzenie.

- Dlaczego ty nigdy mi nie mówisz, że chcesz, żebym ja mówiła „proszę” i „dziękuję”? Ja nie wiem, że ty chcesz. Dlaczego ty mówisz Tyler, a mnie nie?

Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem.

- Nie mówiłam tego Tyler. Ludzie po prostu tak postępują. Wszyscy lubią, kiedy inni są

wobec nich uprzejmi.

- Ja tego nie wiem. Nikt mi nigdy nie mówi - powtórzyła z wyrzutem. - Nie wiem, że ty chcesz, żebym ja mówiła.

Wiedziałam, że ma rację. Pewnie nigdy jej tego nie powiedziałam. Była to jedna z rzeczy, które przyjął za pewnik. Sądziłam, że ktoś tak bystry jak ona będzie wiedział. Teraz dopiero zrozumiałam swój błąd. Całkiem możliwe, że Sheila nigdy nie słyszała podobnych słów w swoim świecie. A jeśli nawet, to może pozostawały dla niej bez znaczenia.

- Przepraszam cię, Sheilo. Sądziłam, że wiesz o tym.

- Nie. Mogę je mówić, jeśli wiem, że ty chcesz, żebym mówiła.

Skinęłam głową. - Chcę. To dobre słowa, ponieważ dzięki nim ludzie czują się dobrze. A to jest bardzo ważne. Ludzie polubią cię wtedy jeszcze bardziej.

- I będą mówić, że jestem miłą dziewczynką?

- W każdym razie te słowa pomogą im to zauważyć.

I tak pomału Sheila upodabiała się do pozostałych dzieci w swoich wysiłkach, by być miłą i uprzejmą wobec innych. Kiedy czegoś nie rozumiała, pytała. A gdy widziałam, że nie wie, jak postąpić, wyjaśniałam jej, kiedy byłyśmy same.

Niestety, podobnie jak w innych ogrodach, tak i w naszym Raju znalazło się kilka węży. W ciągu tamtego pierwszego miesiąca pojawiły się dwa problemy, których nie potrafiliśmy rozwiązać.

Pierwszy z nich nie był może tak istotny, jak się na pozór wydawało. Pomimo postępów Sheila z uporem odmawiała wykonania jakiejkolwiek pracy na papierze. Gdy tylko dostawała do ręki kartkę, natychmiast ją niszczyła. Czasem kiedy ja lub Anton poważnie jej zagroziliśmy, zabierała się do pracy, jednak jej zadanie nigdy nie docierało do koszyka korekcyjnego. Działo się tak dlatego, że darła kartkę, zanim skończyła, albo zamazywała wszystko lub zgniatała w kulkę i wciskała ją między żeberka kaloryfera. Zdarzało się nawet, że chowała papier do klatki któregoś ze zwierząt.

Próbowałam różnych sposobów, żeby ją powstrzymać. Przyklejałam kartkę taśmą do stołu, żeby nie mogła jej podnieść. Wtedy mazała po niej tak długo, aż ją podarła. Potem wkładałam kartki w plastikowe oprawki. Siedziała wtedy przed papierem i nie chciała wziąć do ręki kredki. Raz nawet zjadła kredkę. Spróbowałam więc wykorzystać zeszyty ćwiczeń. Były droższe, a ja bardziej się wściekałam, kiedy niszczyła cały za jednym razem. Wypróbowałam technikę laminowania pani Barthuly. Był to kosztowny i pracochłonny sposób, tylko że Sheila nie chciała dotknąć laminowanej kartki. Kiedy rysowałam zadanie na tablicy, zmazywała wszystko, gdy nie patrzyłam. Sheila była niezmordowana i niweczyła wszystkie moje wysiłki.

Co więcej, jej niechęć do pisemnej odpowiedzi odnosiła się do wszystkich możliwych przedmiotów i zadań. Dotyczyło to podstawowych zajęć, a także kolorowania oraz innych prac plastycznych. Za to chętnie udzielała ustnych odpowiedzi i pozwalała, aby któreś z nas, Anton, ja lub Whitney, wypełniało za nią odpowiedzi na kartkach. Sama nie chciała tego robić.

Oczywiście z tego powodu dochodziło do poważnych tarć między nami. Próbowałam wszystkiego. Wysyłałam ją do cichego kąta, gdzie siedziała milcząca i nieruchoma tak długo, aż wreszcie uznałam, iż nie jest to żadne rozwiązanie. Nie chciałam, żeby opuszczała zbyt wiele z tego, co robiliśmy. Cichy kąt nie miał być traktowany jako kara, może poza pierwszym tygodniem, kiedy użyłam go jako środka kontroli jej zachowania. Zwykle nie przejmowałam się, jeśli siedzące w nim dziecko płakało albo rzucało się. Było tam wysłane po to właśnie, żeby odzyskać kontrolę nad swoim zachowaniem. Karą byłoby posłać tam dziecko po to tylko, żeby tam siedziało. Uciekałam się czasem do takiego sposobu, lecz nigdy na długo.

Dlatego poddawałam się, kiedy po dwudziestu minutach spędzonych w kącie wciąż

odmawiała współpracy. Bardziej niż na okazaniu władzy zależało mi na tym, aby aktywnie uczestniczyła w zajęciach całej klasy. Poza tym podejrzewałam, że istnieją powody, dla których nie chce pracować na papierze. Jeśli nie była rozgniewana, istniało niewiele rzeczy, których odmawiałaby tak otwarcie. Już dawno wyjaśniłyśmy sobie, kto jest szefem w klasie, więc nie sądziłam, żeby mnie chciała wypróbować. W wielu innych sprawach uciekała się do śmiesznych zabiegów, żeby tylko mnie zadowolić, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że chodzi o coś więcej niż tylko droczenie się ze mną w tej jednej sprawie.

Lecz muszę przyznać, że jej zachowanie w tym względzie złościło mnie, i to bardzo. Kiedy minął trzeci tydzień, stało się to moją obsesją. Wracałam po lekcjach do pokoju nauczycielskiego i wyzywałam się na innych nauczycielach. Resztę złości wyładowywałam wieczorem na Chadzie. Wreszcie któregoś dnia, gdy moja desperacja sięgnęła zenitu, wykonałam kilkaset kopii jednej kartki ćwiczeń. Sprowokowałam ją, żeby przyszła do stołu, i wtedy dopiero podsunęłam jej zadanie. Postanowiłam, że jeśli będzie trzeba, poświęcę wszystkie pięćset kopii.

- Sheilo, dzisiaj spróbujemy to rozwiązać. Tylko ta jedna strona, same łatwe zadania.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Nie chcę.

- Nie masz wyboru - odpowiedziałam i postukałam palcem po papierze. - Chodź, zaczynamy.

Siedziała nieruchomo i nie spuszczała ze mnie wzroku. Nigdy nie zmuszałam jej w tak bezpośredni sposób, więc teraz nie wiedziała, czego może się spodziewać. A mnie zżerała irytacja. Serce waliło mi mocno, a w żołądku czułam coraz większy ucisk. Przez ułamek sekundy chciałam się już wycofać, lecz górę wziął gniew, który zbierał się we mnie od trzech tygodni.

- Zrób to. - Usłyszałam swój własny głos, zbyt ostry i donośny. Wyciągnęłam rękę, chwyciłam ołówek i wcisnęłam go jej do ręki. - Mówiłam, żebyś się brała do roboty, Sheilo.

Zmięła pierwszą kartkę. Rozwinęłam ją ostrożnie i przykleiłam taśmą do stołu. Sheila podała ją ołówkiem. Walczyłyśmy w ponurym milczeniu: ja wykładałam kolejne kartki, ona je darła. Kiedy lekcja matematyki dobiegła końca, otaczał nas dywan zniszczonych kopii. Pozostałe dzieci wstały, gotowe do wyjścia na przerwę. Sheila rozejrzała się zaniepokojona. Bardzo lubiła bawić się na przerwach, zauważyła też, że Tyler sięga po jej ulubione ludziki.

- Skończ zadanie i będziesz mogła odejść - oznajmiłam, przyklejając kolejną kartkę. Pohamowałam złość, lecz czułam, jak szybko bije mi serce.

Sheila traciła cierpliwość. Oddychała ciężko i wydawała z siebie gniewne pomruki.

Zmarnowałam kolejne pół tuzina kopii. Przysunęłam się z krzesłem bliżej niej, tak że jej krzesło znalazło się między mną a stołem. Przykleiłam taśmą kolejną kartkę. Potem przytrzymałam swoją ręką jej wolną dłoń.

- Pomogę ci, Sheilo, jeśli sama nie potrafisz - powiedziałam. Czułam, że moja koszula jest już mokra od potu.

Sheila spróbowała wyswobodzić rękę, jednocześnie wydając z siebie przeraźliwy krzyk. Na szczęście była leworęczna, podobnie jak ja, dlatego mogłam poruszyć jej dłoń. Poprosiłam, żeby podała odpowiedź na pierwsze zadanie. Najpierw odmówiła, a potem wy-wrzeszczała odpowiedź. Siłą poprowadziłam jej rękę i napisałam trójkę. Sheila broniła się ze wszystkich sił; próbowała odsunąć mnie od swojego krzesła albo mnie ugryźć. Drugie zadanie. Znowu wyciągnęłam z niej odpowiedź i zmusiłam do napisania.

Zmagałyśmy się przez całą przerwę i wreszcie wypełniłyśmy całą kartkę; przez cały czas trzymałam rękę Sheili, ona zaś nie ustawała w głośnych protestach. Gdy tylko uwolniłam jej rękę, natychmiast zerwała papier i podarła go, zanim zdążyłam jej przeszkodzić. Rozzłoszczona cisnęła mi kartką w twarz i wyrwała się, przewracając swoje krzesło. Potem pobiegła na drugi koniec klasy i dopiero tam odwróciła się i spojrzała na mnie.

- NIENAWIDZĘ CIĘ! - krzyknęła najgłośniej, jak potrafiła. Pozostałe dzieci kończyły jeść i przygotowywały się do wyjścia na przerwę, lecz ociągały się zaciekawione. - Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! - Potem złość opanowała ją całkowicie, stała w kącie za klatkami ze zwierzętami i wydawała z siebie niezrozumiałe okrzyki.

Anton wyprowadził dzieci na przerwę, lecz ja pozostałam na swoim miejscu, przy stole. W oczekiwaniu na jeden z jej niszczycielskich ataków, gotowa byłam natychmiast ją złapać. Jednakże po dłuższej chwili Sheila opanowała się i przestała krzyczeć. Pozostała na swoim miejscu w kącie, skąd patrzyła na mnie z wyrzutem. Sądziłam, że się rozpłacze, kąciki ust miała opuszczone, a jej broda drżała. Poczułam się jak skończona łajdaczka. Wyraźnie dostrzegłam w jej spojrzeniu rozczarowanie moim zachowaniem. Patrząc na nią, zrozumiałam swój błąd. Poddałam się desperacji, instynkt nauczycielki, która chce odpowiedzi na papierze, wziął górę nad zdrowym rozsądkiem. Nie powinnam była do tego dopuścić. Źle postąpiłam. Nienawidziłam siebie w tamtym momencie za to, że zwyciężyło coś tak błahego.

Patrzyłam na nią i czułam narastające we mnie złe uczucia, poczucie winy, wątpliwości. Czy zniszczyłam więź, która nas łączyła? Tak.dobrze sobie radziłyśmy przez pierwsze trzy tygodnie. Czy zniszczyłam wszystko w jeden ranek? Sheila obserwowała mnie. Mijały chwile, które wydawały się wiecznością, a my patrzyłyśmy na siebie w milczeniu.

Wreszcie Sheila podeszła do mnie wolno. Nie spuszczała ze mnie wzroku; jej duże,

czujne oczy wyrażały oskarżenie. Stała po drugiej stronie stołu. Przesunęła wzrokiem po blacie, jakby szukała na nim czegoś, i znowu spojrzała na mnie.

- Ty nie być dla mnie miła. - Jej głos drżał.

- Nie. Chyba nie, prawda? - Przez moment poczułam ciężar ciszy. - Przepraszam cię, Sheilo. Nie powinnam była tego robić.

- Nie powinnaś być zła dla mnie. Ja jedno z twoich dzieci.

- Przepraszam. Po prostu zdenerwowałam się, ponieważ nigdy nie chcesz robić niczego na papierze. Chciałam, żebyś pracowała tak jak wszyscy. Wściekłam się dlatego, że nie chcesz rozwiązywać zadań na papierze. To dla mnie ważne i chciałam, żebyś to robiła. Zezłościłam się.

Przyglądała mi się uważnie. Wyduła dolną wargę, a jej oczy wyrażały cierpienie, mimo to przysunęła się bliżej.

- Jeszcze mnie lubisz?

- Oczywiście.

- Ale ty wściekać się na mnie i wrzeszczeć.

- Czasem ludzie się złością nawet na tych, których bardzo lubią. Nie znaczy to, że przestają ich lubić. Po prostu są wściekli. Potem gniew mija i znowu się lubią. Lubię cię tak samo jak przedtem. Sheila zacisnęła usta.

- Tak naprawdę cię nie nienawidzę.

- Wiem. Zezłościłaś się tak jak ja.

- Ty krzyczeć na mnie. Nie lubię, jak ty tak krzyczeć. Aż bolą uszy.

- Posłuchaj, kotku. Źle postąpiłam. Przepraszam, ale nic nie mogę poradzić, ponieważ to już się stało. Przykro mi. Odtąd nie będziemy się przejmować papierami. Wrócimy do nich, kiedy sama zechcesz.

- Nigdy nie zechcę.

Opuściłam ramiona zrezygnowana.

- W takim razie może nigdy do nich nie wrócimy. Popatrzyła na mnie zaskoczona.

- Trzeba robić zadania na papierze.

- Chyba niekoniecznie - westchnęłam ciężko. - Są ważniejsze rzeczy. A może kiedyś polubisz papiery. Wtedy się nimi zajmiemy.

Tak więc zakończyłam papierową wojnę. A przynajmniej tamtą bitwę.

Nigdy do końca nie zrozumiałam, co takiego tkwi w człowieku i sprawia, że z takim uporem przejmuje się drobiazgami, sądząc, że świat się zawali, jeśli coś nie pójdzie po jego myśli. Potem, kiedy już uporałam się z tym problemem, nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego

było to dla mnie tak ważne, przynajmniej przez kilka pierwszych tygodni.

Drugi problem związany z Sheila okazał się o wiele ważniejszy i o wiele trudniejszy do rozwiązania. Miała ona bardzo rozwinięte poczucie zemsty, które nie miało granic. Kiedy ktoś ją wykorzystał albo rozgniewał, potrafiła odpłacić bardzo boleśnie. Będąc inteligentnym dzieckiem, wiedziała, co inni posiadają cennego, i tam właśnie atakowała. Kiedy w czasie przerwy Sarah posypała ją śniegiem, Sheila systematycznie zniszczyła wszystkie jej prace wystawione w klasie. Dla Sarah, która uwielbiała plastykę, była to druzgocąca porażka. Któregoś dnia Anton zbeształ Sheilę za to, że biegła po korytarzu w drodze na lunch. Kiedy wróciła do klasy, zadusiła wszystkie młode myszoscoczki, które Anton pożyczył rano od syna. Drżałam, widząc, z jaką wprawą potrafi ocenić czułe miejsca innych. Zemsta Sheili sięgała dalej niż niszczenie papierów czy duszenie małych myszoscoczków. Dobrze zaplanowana, precyzyjna, często dotyczyła przypadkowych wydarzeń. Nie można było spuszczać jej z oka ani na chwilę. A i tak, kiedy wydawało nam się, że jej pilnujemy, potrafiła się nas pozbyć.

Pora lunchu była najniebezpieczniejszym okresem w ciągu dnia. Oboje z Antonem chcieliśmy zachować jedyną naszą przerwę. Dyżurne wciąż bały się Sheili, chociaż znowu jej pilnowały.

Któregoś dnia, kiedy oboje z Antonem kończyliśmy jeść kanapki w pokoju nauczycielskim, przybiegła z krzykiem jedna z dyżurnych, powtarzając wciąż imię Sheili. Mając w pamięci koszmar z pierwszego dnia, popędziliśmy za nią.

Sheila dostała się do klasy jednej z nauczycielek. W bardzo krótkim czasie, w ciągu zaledwie dziesięciu, może piętnastu minut, zdewastowała całe pomieszczenie. Większość ławek była poprzewracana, a przedmioty leżące na nich pospadały na ziemię. Zastony okienne leżały na ziemi zerwane, książki z biblioteczki porzucane, ekran jednej z maszyn uczących zniszczony. Nie wyobrażałam sobie, że w tak krótkim czasie można tyle zniszczyć. Otworzyłam drzwi.

- Sheilo! - Odwróciła się na pięcie i spojrzała na mnie groźnie. W dłoni trzymała wskaźnik do map. - Rzuć to!

Patrzyła na mnie przez długią chwilę, ale posłuchała. Była u nas przez trzy tygodnie i wiedziała już, kiedy nie żartuję. Czułam, że jeśli uda mi się nakłonić ją do posłuszeństwa, będę mogła także wyprowadzić ją stamtąd spokojnie. Nie chciałam jej przestraszyć i sprowokować do ucieczki. Czyniąc tak, wyrządziłaby dalsze szkody, a poza tym przestraszyłaby się jeszcze bardziej i przestała myśleć racjonalnie. I tak dostrzegłam już w jej oczach przerażone spojrzenie dzikiego zwierzęcia. Zrozumiałam, jak trudno przychodziło jej zapanować nad swoim zachowaniem.



Teraz jednak, rozejrzawszy się po zdewastowanej klasie, nie wiedziałam, co zrobić. Poczułam ogromną falę zniechęcenia. Odesłanie do cichego kąta nie było chyba adekwatną karą za zniszczenia sięgające kilkuset dolarów. Poza tym to nie była moja klasa, a więc rozwiązanie problemu nie leżało w mojej gestii.

Kiedy udało mi się namówić Sheilę, aby przysłała do drzwi, zjawił się pan Collins w towarzystwie pani Holmes, nauczycielki, w której klasie się znajdowaliśmy. Gdy wreszcie wzięłam Sheilę za rękę, pan Collins ryczał już rozwścieczony.

Niewątpliwie miał ku temu powody. Domyślałam się, jaką zaproponuje karę. Pan Collins należał do tych, którzy wierzyli w dawne metody wychowawcze, takie jak kara cielesna. Teraz złapał Sheilę za ramię. Ja trzymałam ją za szelkę od spodni i nie puszczałam.

Mierzyliśmy się wzrokiem w milczeniu, a Sheila stała w napięciu między nami.

Nie mogłam pozwolić, żeby ją zabrał. Tyle razy ją zapewniałam, że nikt jej tu nie skrzywdzi. Dość już była bita w przeszłości. Zbyt wielu ludzi nie dotrzymało swoich obietnic wobec niej. Nie mogłam na to pozwolić.

Oboje z dyrektorem milczeliśmy. Czułam wzrastające napięcie. Czułam też pod palcami coraz bardziej napięte mięśnie Sheili.

Wreszcie pan Collins odezwał się; mówił ochryłym szeptem przez zaciśnięte zęby. Wyraził się bardzo jasno: miałam udać się z Sheila do jego gabinetu, żeby być świadkiem wymierzonej kary.

O Jezusie, pomyślałam. Niczego bardziej nie pragnęłam, jak handryczyć się z nim nad głową Sheili, niczym dwa psy, które walczą o kość. Ale nie miałam wyboru. Nie mogłam się z nim zgodzić. Nie chciałam też, żeby Sheila pomyślała, że tak jest.

Warczeliliśmy, wyrzucając z siebie strzępy zdań. Dyrektor tracił cierpliwość.

- Panno Hayden, nie żartuję, pójdzie pani ze mną albo jeszcze dzisiaj straci pani pracę. Nie obchodzi mnie, co będzie dalej. Czy to jasne?

Patrzyłam na niego w milczeniu, a w mojej głowie kotłowały się najróżniejsze myśli. Miałam umowę na czas nieokreślony. Należałam do związków zawodowych. Nie mógł mnie wyrzucić. To były te bardziej rozsądne myśli, gdzieś głębiej zaś czułam strach. Co zrobię, jeśli mnie wywalą? Czy znajdę inną posadę nauczycielki w tym samym mieście? Kto zajmie się moją klasą? Już wcześniej zdarzyły mi się równie porywcze występy. Czy ten będzie następny? I po co? Dla dzieciaka, który i tak ma zostać odesłany do szpitala? Miałam stracić pracę dla dziecka, które znałam zaledwie od trzech tygodni, które prędzej czy później i tak pójdzie gdzieś dalej, które nikogo nie obchodziło? Co pomyślą inni, jeśli stracę pracę? Czy Chad będzie mnie jeszcze chciał? Jak to wyjaśnię mamie? Co pomyślą ludzie? Pod ciężarem najgorszej z

możliwych wymówek wypuściłam szelkę.

Pan Collins odwrócił się i poprowadził Sheilę korytarzem. Poszłam za nimi, ale czułam się jak skończony zdrajca. Może oni mieli rację. Dwukrotnie w ciągu ostatnich trzech tygodni straciłam kontrolę nad Sheila. Może rzeczywiście jej miejsce było w stanowym szpitalu. Nie wiedziałam, co myśleć.

Opadłam na krzesło w gabinecie pana Collinsa. Sheila zachowała spokój. Wydawała się o wiele spokojniejsza niż ja. Weszła do pokoju razem z panem Collinsem i stanęła potulnie. Milczała i nie patrzyła na mnie. Pan Collins zamknął drzwi. Z szuflady swojego biurka wyjął coś, co przypominało długą linijkę. Sheila nawet nie drgnęła, kiedy przesunął po niej dłoń tuż przed jej nosem.

Byłam rozgoryczona. Dlaczego musiał stosować tak przestarzałe metody edukacji? Co z niego za człowiek? Czułam, jak rozpiera mnie nienawiść. Jak mógł mi zrobić coś takiego? Jak mogłam mu na to pozwolić? Po wszystkich zapewnieniach, że nie biję dzieci, co ona teraz o mnie pomyśli? Jak spojrzę w oczy samej sobie, skoro postanowiłam ratować własną skórę, gdy tylko zrobiło się gorąco?

Pomimo ogromnego chaosu, który wypełniał moją głowę, wzruszyła mnie głęboko pełna niewinności odwaga Sheili. Zerknęła tylko na mnie i znowu skierowała wzrok na pana Collinsa. W tej chwili wyglądała jak każdy inny sześciolatek. Jej rozchylone usta pokazywały dziury po utraconych zębach. Jej szerokie, okrągłe oczy dobrze kryły uczucia, tak że ktoś, kto jej nie znał, z pewnością by nie odgadł, co wyrażały. Zauważyłam w jej włosach biało-pomarańczowe spinki w kształcie kaczuszek i pomyślałam o tym, jak bardzo je lubiła. Któregoś dnia wyznała mi, że lubi je najbardziej, że przynoszą jej szczęście. No cóż, dziecinko, dzisiaj zabrakło ci szczęścia, pomyślałam. Podobnie jak wiele razy wcześniej. Plastikowe kacuszki wydawały mi się w tamtej chwili nie na miejscu.

Stała tak spokojnie. Żaden inny sześciolatek nie potrafiłby się zachować w ten sposób. Zastanawiałam się, jak często wystawiano ją na podobne próby. Mimo wszystko biła od niej niewinność małego dziecka; spinki, długie, proste włosy nie do końca upięte w warkocze, zniszczone spodnie. Miałam ochotę się rozpłakać. Lecz byłyby to łzy przeznaczone dla mnie samej za to, że nie znalazłam tyle siły co ona.

Czułam coraz większy ucisk w żołądku. To nie powinno się zdarzyć.

Ale się zdarzyło. Pan Collins oświadczył, że ma dość. Czy ona wie, co zrobiła? Cisza. Może nawet zostać zawieszona w prawach ucznia, dodał. Wiedziałam, że cały ten wykład skierowany był także do mnie. Obie znalazłyśmy się we właściwym miejscu. Potem o-znajmił, że Sheila otrzyma trzy uderzenia. Przygryzła wargi, ale nie spuściła wzroku.

- Pochyl się i złap za kostki. Patrzyła na niego nieruchoma.
- Sheilo, pochyl się i złap za kostki. Nawet nie drgnęła.
- Jeśli będę musiał powtórzyć to jeszcze raz, dodam jedno uderzenie. Schyl się.
- Sheilo, proszę. Zrób, co ci każe.

Żadnej odpowiedzi. Zerknęła tylko na mnie.

Pan Collins chwycił ją gwałtownie i pociągnął w dół. Świsnęła linijka. Po pierwszym uderzeniu upadła na kolana, lecz wyraz jej twarzy nie zmienił się. Pan Collins podniósł ją na nogi. Po kolejnym uderzeniu ponownie upadła na kolana. Przy dwóch ostatnich utrzymała się na nogach. Nie wydała z siebie ani jednego dźwięku, ani jedna łza nie popłynęła z jej oczu. Widziałam, że fakt ten jeszcze bardziej rozwścieczył pana Collinsa.

Siedziałam odrętwiała. Po wszystkich moich zapewnieniach stało się coś takiego. Tak ciężko, tak cholernie ciężko pracowałam nad tym dzieckiem. Zwykle nie chciałam myśleć za dużo o tym, ile inwestuję w moje dzieci. Każdego dnia wyrzucałam ze świadomości drobne niepokoje czy porażki i starałam się nie zastanawiać, ile tak naprawdę znaczą dla mnie te dzieci. Robiłam tak dlatego, że gdybym w pełni była wszystkiego świadoma, czułabym jeszcze większy żal w chwilach ich porażek. Albo moich. Z tego powodu tak wielu wypalało się w tym zawodzie, mając świadomość, ile dla nich znaczą praca i dzieci. Próbowałam więc tego nie widzieć. Byłam marzycielką. Tyle tylko, że mój sen wiele mnie kosztował. Wiele kosztował nas wszystkich.

Pan Collins dał mi do podpisania formularz, na którym poświadczałam, że byłam świadkiem wymierzenia kary. Potem wzięłam Sheilę za rękę i wolno wyszliśmy.

Nie wiedziałam, co robić dalej. Czułam zamęt w głowie. Kiedy znalazłyśmy się przed drzwiami naszej klasy, zajrzałam przez okno. Anton zaczął już popołudniowe zajęcia. Była z nim też Whitney, więc uznałam, że poradzą sobie beze mnie. Spojrzałam na Sheilę.

- Musimy porozmawiać, dziecinko.

Zapukałam do drzwi. Kiedy zjawił się w nich Anton, wyjaśniłam mu, że chcę być sama z Sheila, że zbyt wiele się wydarzyło i musimy wyjaśnić sobie pewne sprawy. Zapytałam go, czy sobie poradzą. Skinął głową z uśmiechem. Tak więc zostawiłam ich, niewykształconego emigranta i czternastoletnią uczennicę, żeby opiekowali się ośmioma zwariowanymi dziećmi. Byłabym się roześmiała, ale nie potrafiłam wydobyć z siebie śmiechu, nie w tej chwili.

Ostatecznie trafiłyśmy do pokoju, w którym przechowywano książki, ponieważ nie znalazłyśmy innego miejsca, gdzie mogłybyśmy zostać same i gdzie nikt by nam nie przeszkadzał. Przyniosłam dwa małe krzesła, zapaliłam światło, zamknęłam drzwi i usiadłam. Przez długą chwilę patrzyłyśmy tylko na siebie.

- Dlaczego, do licha, wciąż tak się zachowujesz? - spytałam głosem, który wyraźnie zd/adzał moje rozczarowanie.

- Nie zmusisz mnie do mówienia.

- O Jezu, Sheilo, daj spokój. Nie baw się znowu ze mną. Nie teraz. - Nie potrafiłam powiedzieć, czy jestem zła. W głębi serca chciałam ją przeprosić za to, że się poddałam i pozwoliłam, żeby zabrał ją pan Collins. Jednak nie zrobiłam tego. Było to raczej moje pragnienie, to ja potrzebowałam przebaczenia.

Patrzyłyśmy na siebie w milczeniu, a cisza zdawała się trwać całą wieczność. Wreszcie pokiwałam głową i westchnęłam ciężko.

- Posłuchaj, cała ta sprawa nie wypadła najlepiej. Przykro mi z tego powodu.

Cisza. Nie chciała nic powiedzieć. Jej oczy nawet nie drgnęły, więc w końcu to ja spuściłam wzrok. Za drzwiami rozległy się odgłosy wydawane przez uczniów przygotowujących się do przerwy, wrzaski, uderzenia w drzwi. U nas panowała taka cisza, że nikt by się nie domyślił, że tam jesteśmy.

Spojrzałam na Sheilę. Odwróciłam na chwilę wzrok i znowu na nią spojrzałam. Patrzyła na mnie nieruchomym wzrokiem.

- O Boże, Sheilo, czego ty chcesz ode mnie? Źrenice jej oczu rozszerzyły się jeszcze bardziej.

- Jesteś na mnie wściekła?

- Można tak powiedzieć. W tej chwili jestem trochę wściekła na wszystkich.

- Zbijesz mnie? Opuściłam ramiona.

- Nie zbiję. Mówiłam ci już milion razy. Ja nie biję dzieci.

- Dlaczego nie?

Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem.

- Dlaczego miałabym to robić? To nie pomaga, prawda?

- Mnie pomaga.

- Naprawdę? Naprawdę ci pomaga, Sheilo? Czy to, co zrobił pan Collins, pomogło ci?

- Tata mówi - powiedziała cicho - że to jedyny sposób, żebym była dobra. Bije mnie i muszę być lepsza, bo on nigdy mnie nie zostawić na drodze, jak moja mama.

Czułam, że złość całkiem mi już przeszła. Nie chciałam, aby tak się stało. Gniewałam się na nią bardzo za to, co zrobiła. Lecz teraz, kiedy słuchałam, jak mówi, zupełnie się rozkleiłam. Jezu, pomyślałam, czego to dziecko oczekuje od ludzi. Wyciągnęłam rękę.

- Chodź tutaj, Sheilo.

Podeszła od razu i wdrapała się niezgrabnie na moje kolana. Objęła mnie w pól i

przytuliła się do mnie. Trzymałam ją mocno. Robiłam to w równej mierze dla niej jak i dla siebie samej, ponieważ nie wiedziałam, co robić. Boże Wszechmogący, czułam się taka okaleczona.

Co miałam robić? Sheila musiała przestać zachowywać się tak destruktywnie, to wiedziałam na pewno. Ale jak tego dokonać? Czym było kilka przewróconych ławek i zerwane zasłony wobec małej dziewczynki? Nawet gdyby wyrządziła szkody warte milion dolarów, cóż to znaczyło wobec jej życia? Dobrze wiedziałam, że jeśli ją zawieszą, nie wróci już do szkoły. Prędzej czy później znajdzie się w szpitalu stanowym, tak jak zaplanowano. I co dalej? Jakie szansę na normalne życie miało sześciolatnie dziecko po wyjściu ze szpitala? Nie wierzyłam, aby w ogóle to kiedyś nastąpiło. Stracilibyśmy ją, a mało kto by zauważył, że w ogóle istniała. Ta inteligentna, mała dziewczynka straciłaby szansę na życie. Czy kilka parszywych ławek miało większą wartość?

- I co my zrobimy, Sheilo? - spytałam, kołysząc ją w ramionach. - Nie możesz wciąż tak się zachowywać, a ja nie wiem, jak cię powstrzymać.

- Już tego nie zrobię.

- Chciałabym, aby tak było, ale nie składajmy obietnic, których na razie nie potrafimy dotrzymać, dobrze? Najpierw powiedz mi, dlaczego tak postąpiłaś. Chciałabym to zrozumieć.

- Nie wiem. Ja być wściekła na nią. Ona wrzeszczeć na mnie w czasie lunchu, a to nie moja wina. To Susannah, ale ona wrzeszczeć na mnie. Ja wściekła. Czy oni każą mi odejść?

- Nie wiem, kochanie.

- Ja nie chcę. - Jej drżący głos przeszedł niemal w pisk, co sugerowało, że była bliska płaczu. - Nigdy już tak nie zrobię. Chcę zostać. Chcę zostać w tej szkole. Nigdy już tego nie zrobię. Obiecuję. - Przytuliła do mnie twarz.

Pogłaskałam jej włosy; pod palcami czułam plastikowe kacuszki.

- Sheilo - zaczęłam. - Nigdy nie widziałam, żebyś płakała. Czy nigdy nie chce ci się płakać?

- Nigdy nie płaczę.

- Dlaczego?

- W ten sposób nikt nie może mnie zranić.

Spojrzałam na nią. Przeraził mnie spokój, z jakim to powiedziała.

- Nikt nie może mnie zranić. Jeśli nie płaczę, to oni nie wiedzą, że cierpię. Więc nie mogą mnie zranić. Nikt nigdy nie może mnie zmusić do płaczu. Nawet tata, kiedy mnie bije. Nawet pan Collins. Ty widzieć. Ja nie płakać, kiedy on mnie bić. Ty widzieć, no nie?

- Tak, widziałam. Ale czy nie chciało ci się płakać? Czy to cię nie bolało?

Milczała przez długą chwilę. Potem wzięła w dłonie moją rękę.

- Tak jakby boli. - Podniosła wzrok, lecz jej spojrzenie pozostało nieodgadnione.  
- Czasem trochę płaczę, w nocy czasem. Tata nie wraca długo, dopiero kiedy jest bardzo późno i muszę być sama i wtedy się boję. Czasem trochę płaczę. Wtedy mam mokro tu pod oczami. Ale szybko robię, żeby nie było mokro. Płkanie nie robi nic dobrego. Wtedy myślę o Jimmie i mamie. Jak płaczę, to tęsknię za nimi.

- Czasem płacz pomaga.

- Mnie nie. Nigdy nie będę płakać. Nigdy.

Rozmawiając ze mną, odwróciła się tak, że teraz siedziała okrakiem na moich kolanach zwrócona twarzą do mnie. Objęłam jej plecy, a ona wodziła palcami po guzikach mojej koszuli.

- Czy ty czasem płaczesz? - spytała. Przytaknęłam.

- Czasem. Najczęściej kiedy jest mi źle. Nie mogę się wtedy powstrzymać. Ale potem czuję się lepiej. W pewnym sensie płacz jest dobry. Zmywa ból, jeśli mu na to pozwolisz.

Wzruszyła ramionami.

- Ja tak nie robię.

- Sheilo, w jaki sposób naprawimy szkody w klasie pani Holmes?

Ponownie wzruszyła ramionami. Udawała, że jest zajęta obracaniem jednego z moich guzików.

- Sama coś zaproponuj. Nie zbiję cię, nie uważam też, żeby zawieszenie cię było dobrym pomysłem, ale coś musimy zrobić. Oczekuję propozycji od ciebie.

- Możesz kazać mi siedzieć w cichym kącie do końca dnia i zakazać mi zabawy w kąciku gospodarstwa domowego przez tydzień albo coś takiego. Możesz zabrać mi lalki.

- Nie chcę cię karać. Zrobił to już pan Collins. Chcę naprawić w jakiś sposób szkody u pani Holmes. Milczała przez chwilę.

- Mogę wszystko pozbierać.

- Dobry pomysł. A nie jest ci przykro? Możesz ją przeprosić? Pociągnęła mocniej za guzik.

- Nie wiem.

- Jest ci przykro?

Skinęła wolno głową.

- Mnie przykro, że tak się stało.

- Dobrze jest nauczyć się przeproszać. Wtedy ludzie żywią do ciebie lepsze uczucia. Chcesz to przećwiczyć ze mną, żeby ci potem było łatwiej? Przeprosisz i zaproponujesz, że pozbierasz wszystko. Ja będę panią Holmes.

Sheila przylgnęła do mnie jeszcze mocniej.

- Chcę, żebyś mnie najpierw trochę tak pottrzymała. Bardzo boli mnie tyłek i muszę poczekać, aż trochę przestanie. Nie chcę teraz myśleć.

Uśmiechnęłam się i przytuliłam ją mocno. Siedziałyśmy w półmroku i czekałyśmy obie: ona czekała, aż przestanie ją boleć siedzenie i zbierze dość odwagi, ja zaś czekałam, aż zmieni się świat.

Rozwiązanie naszego problemu nie było łatwe. Udałyśmy się do pani Holmes, Sheila przeprosiła ją i oznajmiła, że pozbiera wszystko. Tak jak się spodziewałam, dziecięca niewinność Sheili, jej mały wzrost oraz naturalny wdzięk sprawiły, że pani Holmes wykrzesła z siebie trochę uczuć macierzyńskich. Gotowa była przyjąć propozycję Sheili.

Jednakże z panem Collinsem nie poszło tak łatwo. Dla niego ostatecznie wydarzenie było kroplą, która przelała czarę goryczy; dotyczyło to zarówno Sheiji, jak i mojej klasy. Wyciągnął wszystkie możliwe sprawy, nawet te nie związane z destrukcyjnym zachowaniem Sheili. Problem w tym, że oboje mieliśmy inne systemy wartości. Po incydencie z Sheila znaleźliśmy się na ścieżce wojennej, tak że ostatecznie musiał wkroczyć Ed Sommers w charakterze mediatora. Pan Collins nie ukrywał już, że chce się pozbyć Sheili ze szkoły. Jej zachowanie było agresywne, niebezpieczne i destrukcyjne. Bały się jej inne dzieci, a także nauczyciele oraz pozostały personel. W klasie pani Holmes wyrządziła szkody na sumę siedmiuset dolarów. W jakimś momencie społeczeństwo miało prawo bronić się. Nie wolno było dopuszczać, aby w szkole publicznej tolerowano tak niebezpieczne dziecko. Jej miejsce było w szpitalu stanowym. Dlaczego jeszcze tam nie trafiła?

Próbowałam wykazać, jakie postępy poczyniła Sheila w mojej klasie. Tłumaczyłam, że już po pierwszych trzech dniach udało mi się dotrzeć do niej na tyle, że zaczęła pracować w klasie. Wspomniałam o jej ilorazie inteligencji, o tym, jak była maltretowana i porzucana. Błagałam Eda, aby pozwolił mi ją zatrzymać. Zapewniałam, że był to tylko pojedynczy incydent, że będę jej lepiej pilnować. Obiecałam, że poświęcę moją przerwę na lunch, jeśli zajdzie taka potrzeba. Prosiłam tylko o jeszcze jedną szansę. Zapewniłam go, że zachowam wszelkie możliwe środki ostrożności.

Atmosfera była bardzo ponura. Ed tłumaczył się, że musi brać pod uwagę presję rodziców. Z pewnością zaczną dzwonić, kiedy dowiedzą się o wszystkim od dzieci z klasy pani Holmes. A poza tym sąd postanowił już o jej przyszłości, zanim jeszcze trafiła do mnie. Moja klasa pełniła tylko rolę przechowalni. Nie powinnam się tak angażować, upomniał mnie Ed uprzejmie, lecz stanowczo, ponieważ ma to wpływ na mój osąd sytuacji. Uśmiechnął się smutno. To miło, że poczyniła postępy, ale nie po to umieszczono ją w mojej klasie. Miała tam

zaczekać, aż zwolni się miejsce w szpitalu. Tylko tyle.

Kiedy go słuchałam, czułam, że pieką mnie oczy, a gardło mam coraz bardziej ściśnięte. Nie chciałam płakać w ich obecności. Nie chciałam, żeby wiedzieli, jak bardzo mnie ranią. Mimo to czułam napływające łzy, chociaż rozsądek nakazywał mi spokój. Przecież oni nie zachowywali się okrutnie w sposób celowy; pewnie w ogóle nie byli okrutni. Lecz wtedy tak czułam. A niech ich licho, co oni ze mną wyprawiali? Byłam nauczycielką. Miałam uczyć, a nie być strażnikiem. A może tego właśnie oczekiwał ode mnie Ed, kiedy tworzył tę klasę? Miałam do nich żal. Co oni myśleli, że kogo mi dali? Przecież to tylko mała, przestraszona, maltretowana, sześciolatka dziewczynka. Co w niej było takiego strasznego? Przecież nie miałam się nią martwić, ponieważ przyszła do mnie tylko na przeczekanie. Mogła sobie siedzieć na tym swoim krzeselku w nieskończoność i czekać na miejsce w szpitalu. Pewnie źle wszystko rozumiałam, bo mnie się wydawało, że mam ją uczyć.

Ed pochylił się do przodu i oparł łokcie na stole, dmuchając w dłonie. Usiłował mnie przekonać, żebym się nie martwiła. Zażenowany faktem, że się rozplakałam, i przez chwilę cieszyłam się nawet z tego. Chciałam, żeby wszyscy czuli się tak samo nieszczęśliwi jak ja. Lecz chwila ta szybko minęła i wrócił ponury nastrój.

Wyszłam z pokoju ze łzami w oczach, udałam się prosto do samochodu i wróciłam do domu. Przepelniona zniechęceniem i goryczą, obawiałam się, że tego wieczoru będę potrzebowała czegoś więcej niż tylko kolejnego odcinka *Star Trek*. Fundamenty mojego idealizmu zostały poważnie naruszone. Nauczyłam się, że niektórzy ludzie nie są warci nawet siedmiuset dolarów.

Jak zawsze Chad okazał się okiem mojego cyklonu. Kiwał głową życzliwie, słuchając moich żalów. Idź do łóżka, poradził mi później, sprawa nie jest tak beznadziejna, jak się na pozór wydawało. Pomimo tego, co czułam, nie była to walka -ja przeciwko całemu światu. W końcu wszystko się rozwiąże, jak zawsze. Niezbyt podatna na pocieszenie, zamknęłam się w łazience i nie przestając pochlipywać, wzięłam czterdziestopięciominutowy prysznic. Kiedy przyszłam do pokoju, Chad siedział tam jeszcze zajęty zabawą z kotem. Uśmiechnął się do mnie. Odpowiedziałam uśmiechem. Nie byłam szczęśliwa, ale zrezygnowana.

Zakończenie całej sprawy okazało się mniej straszne, niż się spodziewałam. Wszystkie dzieci podlegały obowiązkowi nauczania, a ja byłam jedynym źródłem edukacji Sheili. Idąc na kompromis, Ed polecił, aby pan Collins wyznaczył dodatkową dyżurną, która miała pilnować tylko naszej klasy. Ponadto Sheili nie wolno było opuszczać klasy bez mojej opieki. Tak więc problem został rozwiązany, przynajmniej tymczasowo.

Pomimo całego zamieszania życie w klasie płynęło spokojnie. Ponownie stworzyliśmy



grupę, teraz już z Sheilą. Zimny początek lutego zwiastował jeszcze przynajmniej sześć tygodni zimy. Sheilą adaptowała się coraz lepiej i nasza dwunastka wydawała się całkiem szczęśliwa. Ten nieoczekiwany okres spokoju bardzo mnie ucieszył, ponieważ zdarzało się to dość rzadko.

Jeśli chodzi o naukę, Sheila czyniła ogromne postępy. Jej bystry umysł wciąż domagał się czegoś nowego. Nie namawiałam jej na pracę na papierze, chociaż nie przestałam o tym myśleć. Whitney, Anton albo ja sprawdzaliśmy jej wiedzę ustnie i rozmawialiśmy z nią o tym, co robiła. Sheila uwielbiała czytać, dlatego z trudem nadażałam z przynoszeniem jej książek. Z drugiej strony bardzo się z tego cieszyłam, ponieważ rozwiązywanie zadań na papierze, czego nie robiła Sheila, stanowiło znaczną część zajęć dzieci.

Rozwój społeczny Sheili przebiegał wolniej, ale systematycznie. Między nią i Sarah zawiązała się przyjaźń, którą cieszyły się w typowy dla małych dziewczynek sposób. Poleciłam też Sheili, aby pomogła Susannah Joy nauczyć się rozpoznawania kolorów. Zrobiłam to z kilku powodów: dzięki temu zyskałam pomocnika, wypełniłam czas wolny Sheili, ona zaś miała coś, za co czuła się odpowiedzialna i co pozwoliło jej zgłębić tajniki związków międzyludzkich. Zadanie to miało także wzmocnić wiarę w siebie Sheili. Była ogromnie zadowolona z faktu, że przynajmniej raz to ona ofiarowuje coś komuś, kto jej potrzebuje. Czasem po lekcjach pracowicie przygotowywała materiały i prowadziła ożywione dyskusje ze mną lub z Antonem o tym, co mogłaby zrobić z Susannah albo jak jej pomóc w nauce. Obserwując ją w takiej chwili, miałam ochotę się roześmiać. Zastanawiałam się, czyja wyglądam tak samo w oczach kogoś patrzącego z boku. Powstrzymywałam się jednak, widząc, z jaką powagą podchodzi do swojej pracy.

Sheila w coraz mniejszym stopniu odczuwała potrzebę chodzenia za mną wszędzie. Wciąż mnie obserwowała albo siadała blisko mnie, jeśli tylko miała okazję, ale nie potrzebowała tak bardzo bezpośredniego, fizycznego kontaktu ze mną. Czasem jednak, kiedy miała jakieś kłopoty, jeszcze zanim przyszła do szkoły albo kiedy ją upomniałam z jakiegoś powodu lub pokłóciła się z dziećmi, czułam, jak jej dłoń wsuwa się za mój pasek. Nie zniechęcałam jej, ponieważ wiedziałam, że potrzebuje potwierdzenia, że jej nie zostawię. Granica między poleganiem na kimś i nadmierną zależnością była bardzo delikatna, ale zauważyłam już wcześniej, że większość moich dzieci przechodziła okres intensywnego przywiązania do mnie, który z czasem mijał. Wydawało się, że jest to naturalny etap ich rozwoju i jeśli wszystko przebiegało w porządku, po pewnym czasie dzieci czuły się na tyle bezpieczne, że nie potrzebowały tak mocnego potwierdzenia opieki nad nimi. W tym względzie Sheila nie różniła się od nich.

Incydent w klasie pani Holmes miał i swoją dobrą stronę. Wreszcie dotarłam do ojca Sheili. Któregoś popołudnia na początku lutego oboje z Antonem pojechaliśmy do obozu emigrantów. Sheila i jej ojciec mieszkali w pokrytej papą chacie przy torach kolejowych.

Jej ojciec był ogromnym mężczyzną, który miał ponad sześć stóp wzrostu. Duży brzuch wylewał się nad paskiem jego spodni, w dolnej szczęce miał tylko jeden ząb i bardzo cuchnęło mu z ust. Kiedy przybyliśmy, przywitał nas z puszką piwa w dłoni i widać było, że pił już wcześniej.

Anton wepchnął się do małego domku. Był tam tylko jeden pokój przedzielony zasłoną. W jednym jego końcu stała zniszczona brązowa kanapa, w drugim łóżko. Jedyne meble w całym pomieszczeniu, które cuchnęło moczem.

Ojciec Sheili wszedł za nami do domu i dał nam znak, żebyśmy usiedli na kanapie. Sheila przycupnęła przy łóżku i patrzyła na nas przestraszonym wzrokiem. Siedziała skulona, tak jak zwykła siadać w klasie na początku roku, i nie odzywała się do nas. Zaproponowałam, żeby Sheila nie uczestniczyła w naszej rozmowie, ponieważ chciałam porozmawiać o rzeczach być może zbyt bolesnych dla niej.

Ojciec pokręcił tylko głową i machnął ręką w kierunku córki.

- Ma siedzieć w kącie. Nie można jej spuścić z oka nawet na pięć minut. Dopiero co próbowała podpalić coś tu niedaleko. Jak ją tylko wypuszczę, zaraz przyjdzie policja. - Opowiadał dalej, podając szczegóły. - Ona nie jest naprawdę moim dzieckiem - powiedział i poczęstował Antona piwem. - To bękart tej suki, jej matki. Od razu widać, że to nie moje dziecko. Wystarczy popatrzeć, skóra i kości. Nie widziałem jeszcze dzieciaka, żeby z nim było tyle kłopotów.

Słuchaliśmy z Antonem w milczeniu. Przerzątał mnie fakt, że Sheila siedzi z nami. Nic dziwnego, że miała o sobie tak niskie mniemanie, skoro ojciec pewnie ciągle powtarzał jej takie rzeczy.

Opowiadał o bardzo intymnych sprawach w naszej obecności. Miałam wrażenie, że oglądam scenę z kiepskiej powieści. Anton próbował zaprzeczyć słowom ojca, co jeszcze bardziej go rozgniewało. Pozwoliliśmy mu więc mówić w obawie, by jego gniew nie skupił się potem na Sheili.

- Jimmie to co innego. To był mój chłopak. Nie widzieliście lepszego niż mój mały Jimmie. A ta suka mi go zabrała. Tak, zabrała mi go sprzed nosa. I co zrobiła? Zostawiła mi tego bękarta. - Westchnął. - Mówiłem jej, że pożałuje, jeśli przyjdzie tu jeszcze ktoś ze szkoły.

- Nie przyszłam się skarżyć - zapewniłam go szybko. - Sheila radzi sobie bardzo dobrze w naszej klasie. Prychnął pogardliwie.

- Pewnie. Powinna wiedzieć, jak sobie radzić w klasie pełnej wariatów. Jezu Chryste, kobieto, można zwariować z tym dzieciakiem.

Nie chciał zmienić tonu. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię, żeby tylko uratować Sheilę przed takim upokorzeniem; ludzie, którzy troszczyli się o nią, musieli wysłuchiwać tego, co mówił. Lecz nic takiego się nie zdarzyło i nie potrafiłam go powstrzymać. Próbowałam powiedzieć mu, że Sheila jest bardzo uzdolnionym i inteligentnym dzieckiem, lecz on powtarzał swoje. Jeśli tak, odpowiedział mi, tym gorzej, bo będzie mogła bardziej rozrabiać. Ostatecznie nasza rozmowa zesłała na jego ukochanego Jimmiego. Po jego pulchnych policzkach popłynęły duże łzy. Gdzie, ach, gdzie zabrała jego Jimmiego i dlaczego on musiał zostać z tym bękartem, który, jak podejrzewałam, nie jest jego dzieckiem.

Do pewnego stopnia współczułam mu. Myślę, że on naprawdę kochał syna i bardzo cierpiał z powodu jego utraty. Na swój pogmatwany, niedojrzały sposób winił Sheilę za utratę Jimmiego. Gdyby ona nie była taka okropna, może jego kobieta by została. Nie wiedział, co począć z Sheilą i samym sobą, więc wypijał kolejną puszkę piwa i użalał się przed dwojgiem obcych nad swoim życiem pozbawionym jakiegokolwiek kontroli.

Chociaż wiedziałam, jak podłe życie wiodła Sheila, zdawałam sobie też sprawę, że nie będzie łatwo wyrwać ją spod opieki ojca. Nasza społeczność składała się w dużej mierze z ludzi przegranych.

Emigranci, byli więźniowie, pacjenci stanowego szpitala, wszyscy oni tworzyli miasto w mieście tak wielkie, że miejscowa społeczność nie dawała sobie z nimi rady. Brakowało pracowników opieki społecznej, rodzin zastępczych i funduszy, by zaradzić nieszczęściom i naprawić szkody. Tylko najbardziej poniewierane dzieci opuszczały swoje domy. Mimo to czułam, że muszę zapytać ojca Sheili, czy ze względu na swoją sytuację rozważał dobrowolne oddanie córki do rodziny zastępczej.

I to był mój błąd. Łzy zamieniły się w eksplozję wściekłości. Ojciec zerwał się na nogi, wymachując przede mną rękoma. Kim ja jestem, żeby sugerować coś podobnego? On nigdy nie przyjął od nikogo pomocy. Był na tyle mężczyzną, żeby samemu rozwiązywać swoje problemy bez niczyjej pomocy. Potem zażądał, żebyśmy opuścili jego dom. Wychodziliśmy przepelnieni gniewem i smutkiem, licząc na to, że nasza wizyta nie zaszkodzi Sheili. Żałowałam, że tam poszliśmy.

Później pojechałam na drugi koniec obozu do Antona. On mieszkał w niewielkim większym domu. Miał trzy pokoje, które dzielił z żoną i dwoma małymi synami. Komuś takiemu jak ja, kto pochodzi z klasy średniej, wydawało się to żałosne, ale dom był czysty i zadbane. Bardzo skromne meble przykrywały ręcznie robione narzuty i wyszywane poduszki.

Duży krzyż zdobił ścianę w głównym pokoju. Żona Antona przyjęła nas bardzo ciepło i życzliwie, chociaż nie mówiła po angielsku, a ja nie znałam hiszpańskiego. Jego synowie, weseli, rozszczebiotani malcy, wspinali mi się na kolana, wypytując o klasę, o której opowiadał im tato. Wydawali mi się ogromnie elokwentni i ożywieni pomimo swojego młodego wieku, pewnie dlatego, że przyzwyczałam się traktować swoje dzieci jako normalne. W piątkę uraczyliśmy się trzema butelkami coli i miską kukurydzy. Anton zaczął mnie wypytywać o możliwości powrotu do szkoły i kształcenia się w zawodzie nauczyciela. Nie skończył nawet szkoły średniej, chociaż zapewnił mnie, że nie porzucił całkiem nauki. Po raz pierwszy wyjawiał przede mną swoje marzenia. Pomimo początkowej niechęci bardzo polubił dzieci z naszej klasy i marzył, aby kiedyś poprowadzić własną. Wzruszyły mnie jego słowa, chociaż obawiałam się, że były to tylko marzenia. Nie miałam pewności, czy zdawał sobie sprawę z tego, ile czasu i pieniędzy musiałby zainwestować w swoje wykształcenie. Kiedy jednak zobaczyłam rozpromienioną twarz jego żony, gdy opowiadał o swoich planach, i roztańczonych chłopców, którzy uradowali się na myśl o tym, że ich tata zostanie kiedyś nauczycielem, zamieszkają w prawdziwym domu i będą mieli swoje rowery, powstrzymałam się przed wyrażeniem wątpliwości. Poza tym nie otrząsnęłam się jeszcze w pełni po przeżyciach na drugim końcu obozu. Zastanawiałam się, co się dzieje po tamtej stronie torów.

Podczas dwóch godzin, które spędziłyśmy razem, zaczęłam czytać Sheili na głos. Potrafiła sama przeczytać; większość książek, lecz postanowiłam uprzyjemnić jej wspólnie spędzony czas, jak również pokazać jej moje ulubione książki. Zamierzałam też porozmawiać z nią o pewnych sprawach, które opisywano w tych książkach, ponieważ zorientowałam się, że z powodu swojego wypaczonego dzieciństwa nie rozumie wielu rzeczy. Znała znaczenie poszczególnych słów, lecz nie miała pojęcia, jak się one mają do prawdziwego życia.

Na przykład po przeczytaniu *Charlotte's Web* Sheila długo zastanawiała się nad tym, dlaczego mała dziewczynka chciała zatrzymać karłowatą świnkę o imieniu Wilbur. Prosiaczek był najmniejszy z całego miotu. Sheila nie dziwiła się wcale, że ojciec nie chce go zatrzymać. Wyjaśniłam jej, że Fern kochała go, ponieważ był taki malutki i nic nie mógł poradzić na to, że jest karłem. Sheila wciąż nie mogła tego pojąć. W jej dotychczasowym życiu obowiązywało przede wszystkim prawo przetrwania najsilniejszych.

Tak więc sadzałam ją sobie na kolanach w kąciку czytelnicy i czytałam jej. Kiedy nie rozumiała jakiegoś słowa czy fragmentu, rozmawiałyśmy o tym, a nasze krótkie dygresje przeradzały się często w długie dyskusje. Fascynowała mnie ta mała dziewczynka, obdarzona dziecięcą niewinnością rozumowania, która potrafiła patrzeć oczyma dorosłych. Jej czyste, klarowne spojrzenie na wiele rzeczy czasem aż mnie przerażało, ponieważ było tak bezlitośnie prawdziwe. Z drugiej strony, śmiać mi się chciało, kiedy wyrażała niektóre myśli w tak dziecinny sposób.

Któregoś popołudnia przyniosłam *Małego Księcia*.

- Hej, Sheil, mam nową książkę - zawołałam do niej.

Przybiegła szybko i rzuciła się na mnie, wrywając mi z ręki książkę. Zanim zabrałyśmy się do czytania, dokładnie obejrzała wszystkie obrazki. Potem siedziała już bez ruchu z dłońmi zaciśniętymi na moich dżinsach.

*Mały Książę* nie jest długą książką, więc przeczytałam połowę w pół godziny. Kiedy doszłyśmy do fragmentu o lisie, Sheila poruszyła się na moich kolanach, żeby usiąść wygodniej.

- Chodź pobawić się ze mną - zaproponował *Mały Książę*. - Jestem taki smutny.

- Nie mogę bawić się z tobą - odparł lis. - Nie jestem oswojony.

- Ach, przepraszam - powiedział *Mały Książę*. Lecz po namyśle dorzucił: - Co znaczy „oswojony?”

- Jest to pojęcie zupełnie zapomniane - powiedział lis. - „Oswoić” znaczy „stworzyć więzy”.

- Stworzyć więzy?

- Oczywiście - powiedział lis. - Teraz jesteś dla mnie tylko małym chłopcem, podobnym do stu tysięcy małych chłopców. Nie potrzebuję ciebie. I ty także mnie nie potrzebujesz. Jestem dla ciebie tylko lisem, podobnym do stu tysięcy innych lisów. Lecz jeśli mnie oswoisz, będziemy się nawzajem potrzebować. Będziesz dla mnie jedyny na świecie. I ja będę dla ciebie jedyny na świecie.

- Życie jest jednostajne. Ja poluję na kury, ludzie polują na mnie. Wszystkie kury są do siebie podobne i wszyscy ludzie są do siebie podobni. To mnie trochę nudzi. Lecz jeśli byś mnie oswoił, moje życie nabrałoby blasku. Z daleka będę rozpoznawał twoje kroki - tak różne od innych. Na dźwięk cudzych kroków chowam się pod ziemię. Twoje kroki wywabią mnie z jamy jak dźwięki muzyki. Spójrz! Widzisz tam łany zboża? Nie jem chleba. Dla mnie zboże jest nieużyteczne. Łany zboża nic mi nie mówią. To smutne! Lecz ty masz złociste włosy. Jeśli mnie oswoisz, to będzie cudownie. Zboże, które jest złociste, będzie mi przypominało ciebie. I będę kochać szum wiatru w zbożu... Lis zamilkł i długo przypatrywał się Małemu Księciu.

- Proszę cię... oswoj mnie! - powiedział.

- Bardzo chętnie - odpowiedział Mały Książę - lecz nie mam dużo czasu. Muszę znaleźć przyjaciół i nauczyć się wielu rzeczy.

- Poznaje się tylko to, co się oswoi - powiedział lis. - Ludzie mają zbyt mało czasu, aby cokolwiek poznać. Kupują w sklepach rzeczy gotowe. A ponieważ nie ma magazynów z przyjaciółmi, więc ludzie nie mają przyjaciół. Jeśli chcesz mieć przyjaciela, oswoj mnie!

- Jak to się robi? - spytał Mały Książę.

- Trzeba być bardzo cierpliwym. Na początku siądziesz w pewnej odległości ode mnie, ot tak, na trawie. Będę spoglądać na ciebie kątem oka, a ty nic nie powiesz. Mowa jest źródłem nieporozumień. Lecz każdego dnia będziesz siadać trochę bliżej...

Sheila położyła dłoń na stronie.

- Przeczytaj to jeszcze raz, dobrze?

Przeczytałam ponownie cały fragment. Odwróciła się twarzą do mnie i długo patrzyła mi w oczy.

- Ty to robić ze mną, tak?

- O czym mówisz?

- Ty to robić ze mną? Oswoiłaś mnie. Uśmiechnęłam się.

- Wszystko, jak mówi książka, pamiętasz? Ja się bać bardzo i uciec do sali

gimnastycznej, a ty tam przyjsć i siedzieć na podłodze. Pamiętasz? Zmoczyłam majtki, pamiętasz? Ja bardzo się bać. Myśleć, że ty mnie zbić za to, co ja robić tamtego dnia. Ale ty siedzieć na podłodze. I podchodziłaś coraz bliżej. Oswajałaś mnie, tak?

Uśmiechnęłam się z niedowierzaniem.

- Chyba masz rację.

- Ty mnie oswajasz. Tak jak Mały Książę lisa. Ty tak mnie oswajasz. I teraz ja jestem dla ciebie kimś wyjątkowym, jak ten lis tak?

- Zgadza się, jesteś dla mnie kimś wyjątkowym, Sheilo. Odwróciła się do mnie tyłem i usiadła wygodnie.

- Czytaj dalej.

W ten sposób Mały Książę oswoił lisa. A gdy godzina rozstania była bliska, lis powiedział:

- Ach, będę płakać!

- To twoja wina - odpowiedział Mały Książę - nie zyczyłem ci nic złego. Sam chciałeś, abym cię oswoił...

- Oczywiście - powiedział lis.

- A będziesz płakał?

- Oczywiście.

- A więc nic nie zyskałeś na oswojeniu?

- Zyskałem coś ze względu na kolor zboża - powiedział lis, a później dorzucił: - Idź jeszcze raz zobaczyć róże. Zrozumiesz wtedy, że twoja róża jest jedyna na świecie. Gdy przyjdiesz pożegnać się ze mną, zrobię ci prezent z pewnej tajemnicy.

Mały Książę poszedł zobaczyć się z różami.

- Nie jesteście podobne do mojej róży, nie macie jeszcze żadnej wartości - powiedział różom. - Nikt was nie oswoił i wy nie oswoiłyście nikogo. Jesteście takie, jakim był dawniej lis. Był zwykłym lisem, podobnym do stu tysięcy innych lisów. Lecz zrobiłem go swoim przyjacielem i teraz jest dla mnie jedyny na świecie.

Róże bardzo się zawstydzily.

- Jesteście piękne, lecz próżne - powiedział im jeszcze. Nie można dla was poświęcić życia. Oczywiście moja róża wydawałaby się zwykłemu przechodniowi podobna do was. Lecz dla mnie ona jedna ma większe znaczenie niż wy wszystkie razem, ponieważ ją właśnie podlewałem. Ponieważ ją przykrywałem kloszem. Ponieważ ją właśnie osłaniałem. Ponieważ właśnie dla jej bezpieczeństwa zabijałem gąsienice (z wyjątkiem dwóch czy trzech, z których chciałem mieć motyle). Ponieważ słuchałem jej skarg, jej wychwał się, a czasem jej

milczenia. Ponieważ... jest moją różą. Powrócił do lisa.

- Żegnaj - powiedział.

- Żegnaj - powiedział lis. - A oto mój sekret. Jest bardzo prosty: dobrze widzi się tylko sercem. Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu.

- Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu - powtórzył Mały Książę, aby zapamiętać.

- Twoja róża ma dla ciebie tak wielkie znaczenie, ponieważ poświęciłeś jej wiele czasu.

- Ponieważ poświęciłem jej wiele czasu... - powtórzył Mały Książę, aby zapamiętać.

- Ludzie zapomnieli o tej prawdzie - rzekł lis. - Lecz tobie nie wolno zapomnieć. Stajesz się odpowiedzialny na zawsze za to, co oswoiłeś. Jesteś odpowiedzialny za swoją różę...

Sheila zsunęła się z moich kolan i opadła na kolana przodem do mnie, tak by mogła spojrzeć mi w oczy.

- Ty odpowiedzialna za mnie. Ty mnie oswajać, więc teraz odpowiedzialna za mnie, tak?

Długo patrzyłam w jej niezgłębione oczy. Nie miałam pewności, o co mnie pyta. Nie spuszczać ze mnie wzroku, wyciągnęła ramiona i objęła mnie za szyję.

- Ja cię trochę oswoić, trochę, co? Ty oswoić mnie, a ja ciebie. I teraz ja też odpowiedzialna za ciebie, tak?

Przytaknęłam. Puściła mnie i usiadła. Przez chwilę siedziała zamyślona, wodząc palcem po wzorze dywanu.

- Dlaczego ty to robisz? - spytała.

- Co, Sheilo?

- Oswajasz mnie.

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć.

Spojrzała na mnie swoimi niebieskimi oczami.

- Dlaczego cię to obchodzi? Nie rozumiem. Dlaczego chcesz mnie oswoić?

Czułam zamęt w głowie. Nigdy nie mówili mi na żadnych zajęciach, że spotkam takie dzieci. Nie czułam się do tego przygotowana. Była to jedna z tych chwil, kiedy można powiedzieć tylko prawdę...

- No cóż, dziecinko, chyba nie mam szczególnego powodu. Po prostu wydawało mi się, że tak będzie dobrze.

- Czy to tak jak z lisem? Czy ja być wyjątkowa dla ciebie, ponieważ ty mnie oswoić? Czyjaś specjalna dziewczyna?

- Tak, jesteś dla mnie wyjątkową dziewczynką - uśmiechnęłam się. - Jest tak, jak mówi lis. Stałaś się moją przyjaciółką i nie ma drugiej takiej na świecie. Chyba zawsze chciałam,



żebyś była moją wyjątkową dziewczyną. I chyba dlatego cię oswoiłam.

- Kochasz mnie? Skinęłam głową.

- Ja też cię kocham. Ty jesteś moją wyjątkową osobą, najlepszą na całym świecie.

Sheila wyciągnęła się na podłogę z głową opartą na moim udzie. Mięła w dłoni kawałek płótna, które znalazła na podłodze. Miałam już zacząć czytać dalej.

- Torey?

- Tak?

- Nigdy mnie nie zostawisz? Odgarnęłam jej włosy z czoła.

- Kiedyś pewnie tak. Kiedy skończy się szkoła i pójdziesz do innej klasy, do innego nauczyciela. Ale nie wcześniej, więc mamy jeszcze dużo czasu.

Usiadła gwałtownie.

- Ty być moją nauczycielką. Nigdy nie będę miała innej.

- Teraz jestem twoją nauczycielką. Ale kiedyś nie będę. Potrząsnęła głową, a jej twarz spochmurniała.

- Tutaj moja klasa. Tu będę zawsze.

- Zobaczysz, będziesz gotowa, kiedy przyjdzie odpowiednia chwila.

- O nie. Ty mnie oswoić, ty odpowiedzialna za mnie. Nie możesz nigdy mnie opuścić, bo ty już zawsze odpowiedzialna za mnie. Tak tam jest napisane i ty tak robić, więc to twoja wina, że ty mnie oswoić.

- Kochanie, nie myśl o tym - powiedziałam i posadziłam ją sobie na kolanach.

- Ale ty mnie zostawisz - powiedziała z wyrzutem, odsuwając się nieco. - Tak jak moja mama. I Jimmie. I wszyscy. Tata też by tak zrobił, gdyby oni go nie wsadzić do więzienia. Mówił mi to. Ty jak wszyscy inni. Też mnie zostawić. Chociaż mnie oswoić, a ja cię o to nie prosić.

- To nie będzie tak, Sheilo. Nie chcę cię teraz zostawić. Jestem z tobą. Wszystko się zmieni, kiedy skończy się szkoła. Tak jak w książce, Mały Książę oswoił lisa i odszedł, ale tak naprawdę wciąż jest z nim, ponieważ za każdym razem, kiedy lis patrzy na pszeniczne pola, myśli o Małym Księciu. Pamięta, jak bardzo kochał go Mały Książę. Między nami też tak będzie. Nigdy nie przestaniemy się kochać. Wtedy łatwiej jest odchodzić, ponieważ za każdym razem, kiedy myślisz o kimś, kto cię kocha, czujesz odrobinę jego miłości.

- Wcale nie. Wtedy tęsknisz za nim.

Objęłam ją ramieniem i przyciągnęłam do siebie. Widziałam, że jej nie przekonałam.

- Teraz trudno o tym myśleć. Jeszcze nie jesteś gotowa, żeby odejść, więc cię nie opuszczę. Poczekamy, aż będziesz gotowa.

- Nie będę. Nigdy nie będę gotowa.

Przytuliłam ją mocno. Bez wątpienia bała się jeszcze o tym myśleć. Nie wiedziałam, jak się zachować, ponieważ zdawałam sobie sprawę, że nadejdzie taka chwila, kiedy będzie musiała odejść, kiedy znajdą dla niej miejsce w szpitalu albo skończy się rok szkolny. Podejrzewałam, że cała moja klasa przestanie istnieć, więc nie chciałam łudzić się, że Sheila zostanie ze mną dłużej. Czas uciekał, a ja nie miałam pewności, czy ona zmieni się w ciągu zaledwie czterech miesięcy.

Kołysałam ją, a ona patrzyła na moją twarz.

- Będziesz płakać?

- Kiedy?

- Kiedy odejdziesz.

- Pamiętasz, co powiedział lis? „Jeśli ktoś pozwala się oswoić, ryzykuje, że będzie płakał”. I miał rację. Zawsze, kiedy ktoś odchodzi, trochę płaczesz. Czasem miłość boli. Niekiedy płaczesz z jej powodu.

- Ja płaczę za Jimmiem i mamą. Ale mama mnie nie kocha.

- Nie wiem. To się wydarzyło, zanim cię jeszcze poznałam, i nigdy nie spotkałam twojej mamy. Ale nie mogę sobie wyobrazić, żeby cię w ogóle nie kochała. Trudno jest nie kochać swoich dzieci.

- Zostawiła mnie na autostradzie. Nikt tak nie robi, jeśli kocha swoje dzieci. Tato mi to powiedzieć.

- Nie wiem, Sheilo, po prostu nie wiem. Nie potrafię powiedzieć, kto ma rację. Ale nie zawsze tak musi być. Ja nigdy cię nie zostawię w taki sposób. Pozostaniemy razem, nawet kiedy skończy się szkoła, nawet jeśli nie będziemy się widywały. Jest tak, jak powiedział lis, zawsze kiedy patrzył na pole pszenicy, myślał o Małym Księciu. Tak więc Mały Książę był z nim w szczególny sposób. Tak będzie i z nami.

- Nie chcę żadnego pola. Chcę ciebie.

- To coś szczególnego, Sheilo. Najpierw jest trochę smutno, ale potem wszystko będzie dobrą. Za każdym razem, kiedy pomyślimy o sobie, pocujemy się dobrze tam w środku. Bez względu na to, jak daleko znajdziemy się od siebie, nigdy nie zapomnimy o tym, jak byliśmy ze sobą szczęśliwi. Nic nie odbierze ci wspomnień.

Sheila przyłgnęła do mnie mocno.

- Nie chcę myśleć o tym.

- Masz rację. Nie czas, żeby się tym martwić. Przed nami daleka droga i musimy zająć się wieloma innymi sprawami.



Chociaż złożyłam broń w papierowej wojnie z Sheila, nigdy nie przestałam całkiem o tym myśleć. Przede wszystkim trudno było mi zająć Sheilę bez pomocy drugiego dorosłego. Martwiłam się też, że nie przyjmą jej do zwykłej klasy, jeśli nie będzie chciała rozwiązywać zadań w zeszytach ćwiczeń. U mnie mogłyśmy sobie to darować, lecz inny nauczyciel, który ma w klasie dwudziestu pięciu uczniów i program do zrealizowania, nigdy nie pozwoli na podobne wybryki. Niepokoił mnie też fakt, że Sheila zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, że nasza obecna metoda wymagała wiele uwagi dorosłych, którą musieliśmy jej poświęcić. Potrafiła odpowiedzieć na każde pytanie, jakie jej stawialiśmy, i sprawiało jej ogromną przyjemność, jeśli mogła złapać Antona, Whitney albo mnie i wyrecytować przed którymś z nas odpowiedź. Takiego zachowania nie mogłam akceptować nawet w mojej klasie.

Wciąż nie wiedziałam, dlaczego z taką stanowczością odmawia pracy na papierze. Podejrzewam, że miało to coś wspólnego z niepowodzeniem. Jeśli niczego na papierze nie napisała, trudno było udowodnić, że popełniła błąd. Kiedy ktoś ją poprawiał, przyjmowała to za totalną porażkę, bez względu na to, jak łagodnie to robiono. Na podstawie jej chaotycznych wypowiedzi powzięłam podejrzenie, że kiedyś zabrała pracę pisemną do domu i doszło do starcia z ojcem. Z drugiej strony przeżyła z nim tyle innych złych chwil, że nie chciało mi się wierzyć, aby to jedno wydarzenie stało się przyczyną jej fobii. Może była na tyle bystra, żeby domyślić się, że ustna metoda pozwala jej zaoszczędzić dużo czasu i zdobyć uwagę innych, czego tak bardzo pragnęła. Nie byłam do końca o tym przekonana, ponieważ inteligentne dziecko potrafiło znaleźć wiele innych sposobów, aby osiągnąć ten sam cel. Anton czasem wspominał o niektórych z nich po szczególnie trudnym dniu.

Istniało coś, co absorbowało Sheilę w coraz większym stopniu. Zachęcałam dzieci do pisania w klasie. Prowadziły dzienniki, w których opisywały swoje uczucia, wydarzenia z klasy i spoza szkoły. Kiedy zdarzyło się, że doszło do spięcia między którymś z nich a mną i pogniewaliśmy się na siebie, dzieci wiedziały, że mogły to skomentować w swoim dzienniku. Dlatego pisały w nich codziennie, a ja czytałam to i komentowałam. Taki sposób komunikacji nauczył nas dowiadywać się czegoś więcej o uczuciach drugiej strony. Oprócz tego dzieci często pisały wypracowania na zadany temat. Doszłam do wniosku, że gdy tylko nauczą się pisać swobodnie i kojarzyć słowa z uczuciami, które te słowa wywołują, wszystkie, nawet Su-sannah Joy, potrafią często lepiej wypowiedzieć się na piśmie niż w bezpośredniej rozmowie. Tak więc pisemna korespondencja kwitła obficie w naszej klasie.

Oczywiście Sheila, która tak bardzo nie cierpiała papieru, nigdy nic nie pisała. Zauważyłam, że trochę ją to niepokoi. Wyciągała szyć, żeby zobaczyć, co piszą inni, albo przechadzała się między nimi, kiedy pisali wypracowanie, zamiast pójść do kącika czytania. Wreszcie nadszedł taki dzień, w połowie lutego, kiedy nie potrafiła już dłużej zapanować nad swoją ciekawością.

Poczekala, aż skończę rozdawać kartki, i podeszła do mnie.

- Mogłabym coś napisać, jeśli dasz mi kawałek papieru. Spojrzałam na nią. Przyszło mi nagle do głowy, żeby zastosować całkiem odwrotną taktykę w papierowej wojnie. Potrzęsnałam głową.

- Nie, Sheilo, to praca na papierze. Ty tego nie lubisz.

- Mogłabym zrobić.

- Nie sądzę. Nie chcę tracić papieru. Na pewno by ci się to nie spodobało. Idź się pobawić.

Dała mi spokój tylko na chwilę. Pomagałam właśnie Williamowi napisać jakieś słowo, gdy poczułam, jak ciągnie mnie za pasek.

- Torey, chcę to zrobić.

- Nie, na pewno nie chcesz.

- Chcę.

Odwróciłam się znowu do Williama.

- Nie zmarnuję papieru.

- Sheilo pisanie jest dla tych dzieci, które rozwiązują zadania na papierze. Ty tego nie robisz, więc nie będziesz pisać.

- Mogłabym zrobić coś na papierze. Trochę. Daj mi tylko kawałek papieru.

Potrzęsnałam głową.

- Nie, ty tego nie lubisz. Sama mi to powiedziałaś. Nie musimy tego robić. Idź, pobaw się, a ja pomogę Williamowi.

Nie ruszyła się z miejsca, lecz kiedy zorientowała się, że nic u mnie nie wskóra, poszła do Antona.

- Torey ma papier - odpowiedział jej, wskazując na mnie. - Musisz ją poprosić.

- Nie da mi.

Wzruszył ramionami i wywrócił swoje ogromne czarne oczy.

- W takim razie przykro mi. Ja nie mam papieru. Sheila wróciła do mnie. Widziałam, że ogarniają coraz większy gniew, ale nie chce tego pokazać po sobie.

- Torey, chcę, żebyś dała mi kawałek papieru. No, daj mi. Uniosłam brwi na znak

ostrzeżenia.

Tupnęła nogą i wydeła dolną wargę. Ponownie pochyliłam się nad Williamem.

Teraz zmieniała taktykę.

- Proszę. Proszę. Nie zniszczę kartki. Nie podrę jej. Przysięgam na śmierć i życie.

Proszę. Spojrzałam na nią.

- Nie mogę ci wierzyć. Może jeśli jutro rozwiążesz coś dla mnie na papierze i przekonam się, że już go nie drzesz, dam ci kartkę w czasie pisania.

- Ja chcę teraz.

- Wiem, że chcesz. Ale najpierw pokaż, że mogę ci zaufać, a dam ci papier jutro. Dzisiaj i tak już prawie kończymy.

Patrzyła na mnie uważnie, szukając sposobu, by mnie pokonać.

- Jeśli dasz mi papier, to napiszę coś, czego jeszcze o mnie nie wiesz. Napiszę ci tajemnicę.

- Napiszesz mi ją jutro.

W odpowiedzi mruknęła gniewnie i odeszła dużymi krokami w drugi koniec klasy. Wysunęła gwałtownie krzesło i usiadła przy stole. Uśmiechnęłam się, słysząc ciche prychnięcie. Była wspaniała, kiedy się złościła, a teraz uczyła się radzić sobie z tym. Patrzyła na mnie ponurym wzrokiem.

Odczekałam kilka chwil i podeszłam do niej.

- Może gdybyś pisała szybko, mogłabym ci dać kawałek papieru jeszcze dzisiaj.

Spojrzała na mnie z nadzieją.

- Pod warunkiem, że go nie podrzesz.

- Nie podrę. Przecież mówiłam. Obiecuję.

- Jeśli dam ci teraz kartkę, rozwiążesz zadania na innych? Skinęła głową skwapliwie.

- Zrobisz matematykę? Zmarszczyła brwi.

- Braknie mi czasu, jeśli będziesz do mnie gadała przez cały dzień.

Uśmiechnęłam się i podałam jej kartkę.

- I niech to będzie dobra tajemnica.

Chwyciwszy papier w obie ręce, popędziła do stołu po mazak. Już od jakiegoś czasu zerkała na przybory do pisania, teraz więc uzbrojona w ciężko zdobyty papier i mazak pobiegła na koniec klasy. Skuliła się za klatką królika i zaczęła pisać.

Była naprawdę szybka. Spodziewałam się, że nie przyjdzie jej to łatwo, skoro tak długo nie pisała, ale Sheila zaskoczyła mnie, jak już wielokrotnie wcześniej. Wróciła po kilku minutach z kartką złożoną w kostkę. Podeszła ostrożnie, kiedy nie patrzyłam, i wsunęła mi ją

do ręki.

- To tajemnica. Nie pokazuj nikomu. Tylko dla ciebie.

- Dobrze. - Zaczęłam rozwijać papier.

- Nie czytaj teraz. Zostaw.

Schowałam papierowy kwadrat do kieszeni.

Przypomniałam sobie o nim dopiero, kiedy szykowałam się już do snu i zwitek papieru wypadł na podłogę. Podniosłam go, rozwinęłam ostrożnie i przeczytałam wiadomość napisaną niebieskim mazakiem, którą Sheila uznała za bardzo osobistą.

*Coś specjalnego, żebyś wiedziała ale żebyś nikomu nie mówiła. Wiesz Że czasem dzieciaki śmiać się ze mnie i przezywać mnie jeszcze kiedy ja nie zakładałam czystych Ubrań. Ty wiesz co ja robię, ale nie mów, że ja moczę tużko. Ja nie chce i tato bije mnie jak się dowiaduje ale przeważnie nie. Nie wiem dlaczego Torey ale się staram Przestać, ty byś się na mnie nie wściekała prawda. Tato się wścieka ale ja nie chcę naprawdę, martwi mnie to i sama się wstydzę siebie. Tato on mówi że jestem dzieciak a ja mam prawie siedem lat i kiedy ja to robię nie ma czystych majtek i dzieciaki się simieją. Nie mów im o tym dobrze, I nie mów panu Collińzowi ani Antonowi ani Whiteney ani nikomu. Chce żebyś wiedziała.*

Wzruszyła mnie szczerść Sheili i zdumiała jej umiejętność pisania. Jej wiadomość była całkiem czytelna, poradziła sobie nawet niezłe z interpunkcją i ortografią. Zauważyłam ze zdumieniem, że posłużyła się formą „jestem”, chociaż nigdy nie słyszałam, żeby jej używała. Uśmiechnęłam się do siebie i napisałam odpowiedź.

I tak nastąpił pierwszy przełom w naszym papierowym konflikcie. Następnego dnia z niewielką pomocą wypełniła zadania matematyczne. Zrobiła to bardzo starannie, więc zaproponowałam, żeby wywiesić jej arkusz na tablicy, gdzie pokazywaliśmy wzorowe prace. Tego już Sheila nie zniosła i podarła swój arkusz na strzępy. Później wykazywałam już większą ostrożność. Nauczyła się odrabiać dwa lub trzy pisemne zadania bez pomocy. Czasem wracała jeszcze do swoich dawnych nawyków i niszczyła pracę, zanim ją napisała albo zaraz po skończeniu, szczególnie te, które sprawiały jej trudność. Ale kiedy dałam jej drugi arkusz, próbowała jeszcze raz. Pamiętając, jak trudno jest jej zapanować nad sobą w czasie pracy na papierze, nigdy nie poprawiałam jej błędów. Nie była jeszcze przygotowana na krytykę, bez względu na to, jak dobre intencje miał krytyk. Kiedy coś pisała, Anton albo ja sprawdzaliśmy jej pracę i omawialiśmy z nią alternatywne rozwiązania do pytań, na które udzieliła złych odpowiedzi. Poza tym nie naciskałam jej w tym względzie. Wbrew instynktowi nauczycielki uznałam, że nie jest to aż tak ważne. Nie chciałam też, żeby pomyślała, iż oceniam ją na podstawie liczby prac pisemnych. Bez wątpienia ktoś już kiedyś dał jej to odczuć, więc

chciałam jej pokazać, że w naszej klasie jest inaczej. Zależało mi, aby zrozumiała, że człowiek jest więcej wart niż plik szkolnych papierów.

Twórcze pisanie okazało się doskonałym środkiem wyrazu dla Sheili. Zajęta przelewaniem swoich uczuć na papier, wydawała się całkowicie zapominać o swoich dawnych uprzedzeniach. Na stronie szybko pojawiały się kolejne linie dość niedbałego pisma, które opowiadały o rzeczach chyba zbyt dla niej intymnych, by wyjawić je w bezpośredniej rozmowie. Prawie zawsze mogłam liczyć na dodatkowe pięć lub sześć stron w moim koszyku korekcyjnym.

Nigdy nie dowiedziałam się, skąd u Sheili taka niechęć do papieru. Późniejsze rozmowy z nią na ten temat utwierdziły mnie w przekonaniu, że wiązało się to z obawą przed porażką, ale nie miałam pewności. I nie zależało mi specjalnie, aby ją uzyskać, choćby z tego względu, że tak niewiele ludzkich zachowań da się zredukować tylko do relacji przyczyna - skutek. Istniały ważniejsze sprawy niż tajemnicze i akademickie „dlaczego”.

Po walentynkach Allan, szkolny psycholog, przyniósł całą baterię testów dla Sheili, a wśród nich test na inteligencję Stanforda-Bineta. Skrzywiłam się na widok jego papierów. Ja wiedziałam, że Sheila jest utalentowanym dzieckiem, każdy dzień mi to pokazywał. Co za różnica, czy jej iloraz inteligencji wynosi 170, 175 czy 180? Wykraczała tak daleko poza przeciętność, że liczby nie miały znaczenia. Różnica nawet 30 punktów niczego nie zmieniała. Było w niej tyle sprzeczności, że traktowałabym ją tak samo bez względu na to, czy uzyskałaby 150 czy 180 punktów. Podejrzywałam, że Allan zainteresował się Sheilą raczej jako ciekawym przypadkiem i chciał ją przetestować bardziej z zawodowej ciekawości niż dla jej dobra. Niechętnie odniosłam się do jego pomysłu, ponieważ wiedziałam, że zbliża się czas, kiedy trzeba będzie stawić czoło władzom, które skierowały Sheilę do szpitala. Z pewnością nie tam było jej miejsce, co do tego nie miałam wątpliwości. Miałam tylko nadzieję, że wszystkie te testy przysłużą się nam kiedyś.

Z testem Stanforda-Bineta poradziła sobie równie dobrze jak z poprzednimi testami. Uzyskany wynik dał jej iloraz inteligencji 182. Patrzyłam zdumiona na rezultat, który przekraczał wszelkie wyobrażenie. 182 jest dowodem czyjegoś geniuszu, tak samo jak 18 opóźnienia w rozwoju. A przecież wiadomo, jak różne jest dziecko z ilorazem inteligencji 18 od przeciętnych dzieci. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że dziecko z wynikiem 182 jest w równym stopniu inne od przeciętnej populacji.

Zastanawiałam się, w jaki sposób nabyła taką wiedzę. Byłam niemal skłonna uznać to za rodzaj anomalii, jakby odwrotną stronę uszkodzenia mózgu. Jej ojciec -jeśli rzeczywiście był jej ojcem - należał do osobników o przeciętnej inteligencji, podobnie jak matka. W jaki



sposób w ciągu swojego krótkiego zdeprawowanego życia nauczyła się takich słów jak „nieruchomość”? Jak to się stało? Wydawało mi się to wręcz niemożliwe. Zaczęłam się coraz bardziej zastanawiać, czy Sheila nie jest potwierdzeniem teorii reinkarnacji. Nie znalazłam innego wyjaśnienia.

W moim umyśle pojawiła się też inna myśl. Gdzieś w podświadomości usłyszałam slogan z reklamy telewizyjnej, którą kiedyś oglądałam: „Umysł jest czymś, czego nie wolno zmarnować”. Poczułam niepokój. Tyle miałam jeszcze do zrobienia z tym dzieckiem, a tak niewiele czasu zostało. Nie wiedziałam, czy mi go wystarczy.

W ostatnim tygodniu lutego miałam wygłosić odczyt na konferencji poza granicami naszego stanu. Wiedziałam o tym, jeszcze zanim rozpoczął się rok szkolny, jesienią, i co jakiś czas przypominałam Edowi Somersowi o moich planach. Kiedy nadszedł czas konferencji, po raz kolejny zatelefonowałam do Eda, by omówić z nim mój wyjazd.

Już wcześniej, w listopadzie, dzieci otrzymały zastępstwo, kiedy wyjechałam na warsztaty. Choć nie było mnie tylko jeden dzień, przygotowałam wcześniej dzieci, żeby wszystko poszło gładko. Uważałam, że takie małe testy niezależności są dla nich bardzo korzystne. Wszystkie postępy, jakie poczyniły w ciągu roku, byłyby niczym, gdyby okazało się, że można polegać na dzieciach tylko w mojej obecności. Sprawa ta była dla mnie bardzo ważna, ponieważ widziałam wielu doskonałych nauczycieli, którzy z tego właśnie powodu ponieśli porażkę. Martwił mnie trochę fakt, że pozostawałam z moimi dziećmi w ściślejszych stosunkach niż inni nauczyciele, którzy prowadzili tego rodzaju klasy. Bardzo się obawiałam zbytnej zależności dzieci ode mnie, dlatego gdy tylko mogłam, stwarzałam im możliwość radzenia sobie beze mnie.

Najbardziej bałam się o Sheilę. Była z nami krócej niż pozostałe dzieci i wciąż wydawała się jeszcze mocno zależna ode mnie. Był to naturalny etap jej rozwoju, ale obawiałam się, że mój wyjazd, choć krótki, przestraszy ją.

Zamierzałam wyjechać w czwartek, więc już w poniedziałek, a także we wtorek, wspomniałam o moim wyjeździe. Za każdym razem Sheila nie zareagowała na moją informację. W środę, po lunchu, usiedliśmy z dziećmi, żeby o tym porozmawiać. Wyjaśniłam im, że przez dwa następne dni nie będzie mnie w klasie. Zostanie Anton, Whitney i nauczycielka, która przyjdzie na zastępstwo. Nie ma co się martwić, ponieważ wszystko będzie tak jak do tej pory. Wrócę w poniedziałek i wtedy pojedziemy na wycieczkę do remizy straży pożarnej. Zaczęliśmy dyskutować o tym, jak należy się zachowywać w obecności nowej nauczycielki, o tym, czego nie należy robić i jak jej pomóc. Odgrywaliśmy scenki, w których dzieci rozmawiały z nią i rozwiązywały drobne problemy, które zawsze się pojawiają wraz z przybyciem nowego nauczyciela. Wszystkie dzieci ochoczo włączyły się do dyskusji. Wszystkie poza Sheila. W miarę jak docierało do niej to, o czym mówiłam, patrzyła na mnie z coraz większym niepokojem. Wreszcie podniosła rękę.

- Tak, Sheilo?

- Wyjedziesz?

- Tak. O tym właśnie rozmawiamy. Nie będzie mnie jutro i w piątek, ale wrócę w poniedziałek.

- Nie będzie cię?

- O rany, Sheila - powiedział Peter. - Głucha jesteś czy co? Niby o czym gadamy przez cały czas?

Skinęłam głową. Wszystkie dzieci patrzyły na nią zdziwione.

- Nie będzie cię tutaj?

- Wrócę w poniedziałek. To tylko dwa dni.

Wstała i odeszła do kącika gospodarstwa domowego z zachmurzoną twarzą, skąd obserwowała mnie uważnie.

Odpowiedziałam na pozostałe pytania i zakończyliśmy dyskusję, ponieważ zbliżała się pora przerwy przed gotowaniem.

Sheila pozostała w kącie, przesuwając bezmyślnie małe naczynia. Anton zawołał ją, żeby włożyła kurtkę przed wyjściem na przerwę, lecz odmówiła. Spojrzała na niego z niechęcią i wsadziła kciuk do ust. Przysunęłam sobie krzesło oparciem do przodu, usiadłam na nim okrakiem i oparłam brodę na poręczu.

- Martwisz się?

- Ty nigdy mi nie mówić, że wyjeżdżasz.

- Mówiłam, Sheilo. W poniedziałek, a także wczoraj, w czasie porannej dyskusji.

- Ale mnie nie mówiłaś.

- Mówiłam do wszystkich. Rzuciła na ziemię mały garnek.

- To niesprawiedliwe, że ty mnie zostawiasz. Nie chcę.

- Wiem, że nie chcesz, i jest mi przykro z tego powodu. Ale wkrótce wrócę. Nie będzie mnie tylko przez dwa dni.

- Nigdy już nie będę cię lubić. Nigdy nie zrobię tego, co mówisz. Ty być dla mnie zła. Ty mnie oswoić, żeby ja cię polubić, a potem ty wyjeżdżasz. Nie powinnaś tak robić. Moja mama tak zrobić, a to nie jest dobrze, żeby tak robić małym dzieciom. Wsadzą cię do więzienia za to, że zostawiasz małe dzieci. Tata tak mówi.

- Sheilo, tutaj to co innego.

- Nie będę cię słuchać. Nigdy nie będę cię słuchać. Lubiłam cię, a ty być dla mnie niedobra. Chcesz wyjechać i mnie zostawić, a powiedziałaś, że tak nie zrobisz. To okropnie źle tak zrobić dziecku, które oswoisz. Nie wiesz o tym?

- Posłuchaj, Sheilo...

- Nie będę cię słuchać. Już ci to mówić. - Mówiła ledwo słyszalnym szeptem

nabrzmiałym uczuciem. - Nienawidzę cię.

Spojrzałam na nią. Twarz miała odwróconą. Po raz pierwszy od czasu kiedy się u mnie zjawiała, zobaczyłam, że dotknęła palcem oka, aby powstrzymać łzę. Przcisnęła dłonie do skroni, próbując ze wszystkich sił powstrzymać płacz.

- Patrz, co mi robić - mruknęła z wyrzutem. - Przez ciebie płaczę, chociaż nie chcę. Wiesz, że nie lubię płakać. Nienawidzę cię bardziej niż innych i nigdy już nie będę miła dla ciebie. Żeby nie wiem co.

Przez chwilę w jej oczach załśniły łzy. Lecz nigdy nie popłynęły. Zerwała się na nogi, przebiegła obok mnie i chwyciwszy kurtkę, wybiegła na plac zabaw.

Wzięłam swoją kurtkę i wyszłam do dzieci. Sheila trzymała się z boku sama. Skulona przed zimowym wiatrem, siedziała z głową wciśniętą między ramiona.

- Trudno jej się z tym pogodzić? - spytał Anton.

- Trudno.

Po przerwie dzieci szykowały się do gotowania, tymczasem Sheila po wróciła do kącika gospodarstwa domowego, gdzie bezmyślnie przekładała zabawki z miejsca na miejsce. Pozwoliłam jej tam zostać. Była przygnębiona i miała ku temu powód. Chociaż w samotności, ale zupełnie nieźle radziła sobie ze swoim niepokojem. Nie rzucała zabawkami, nie próbowała niczego niszczyć. Zdziwiło mnie, ale i mile zaskoczyło jej zachowanie. Niewątpliwie poczyniła ogromne postępy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Inne dzieci próbowały namówić ją, aby przyłączyła się do nich. Tyler, która zawsze odgrywała rolę klasowej matki, nie dawała Sheili spokoju, aż Whitney musiała nakazać jej wrócić do pozostałych dzieci. Wyjaśniłam im, że Sheila czuje się trochę rozgniewana i w samotności łatwiej jest jej opanować swój gniew.

Kiedy ciasteczka były już gotowe i wszyscy usiedli wygodnie, by je zjeść, przyłączyłam się do Williama i Guillerma. Wcześniej Tyler zaniósła kilka ciasteczek Sheili, która wciąż siedziała w kącie pośród lalek i ich naczyń. Guillermo pokazywał mi nowy zegarek Braille'a, który dostał od ojca, i obaj z Williamem sprawdzali, czy potrafię odczytać na nim godzinę z zamkniętymi oczami.

- Torey- usłyszałam wołanie Sarah z drugiego końca klasy. - Chodź tutaj. Sheila wymiotuje. Peter podskoczył uradowany.

- Sheila wszystko obrzygała. - Uwielbiał tego typu katastrofy.

Anton ruszył po woźną, a ja poszłam zobaczyć, co się stało. Dzieci zebrały się wokół nas, jakby przyszły na przedstawienie.

Podniosłam Sheilę i posadziłam obok siebie. Odgarnęłam jej włosy z czoła i dotknęłam

go dłonią, lecz nie było rozgrzane.

- Może ma wirusa - powiedział Peter. - W zeszłym roku jednej nocy rzygałem chyba z milion razy, zarzygałem łóżko i wszystko i mama powiedziała, że mam wirusa.

- Nie - odparłam. - Myślę, że Sheila nie jest chora. Pewnie się trochę zdenerwowała i dlatego ma kłopoty z żołądkiem.

- Mnie też się to kiedyś zdarzyło. Byłem bardzo podniecony, kiedy miał przyjechać mój wujek - powiedział William. - Zrobiło mi się od tego niedobrze. Mieliśmy pojechać na ryby.

Peter prychnął.

- Założę się, że to przez ciasteczka.

- Myślę, że pomożemy jej, jeśli odsuniecie się i usiądziecie gdzieś dalej - powiedziałam.

Kiedy wrócił Anton, zabrałam Sheilę do łazienki, żeby ją umyć. Nie opierała się, ale milczała przez cały czas i nie patrzyła na mnie. W ciszy umyłam jej twarz i oczyściłam ubranie.

- Chce ci się jeszcze wymiotować? Nic nie odpowiedziała.

- Przestań, Sheilo. Odpowiedz mi. Pytałam, czy czujesz, że będziesz jeszcze wymiotować?

- Nie chciałam tego zrobić.

- Wiem, że nie. Ale chcę wiedzieć, czy jest ci jeszcze niedobrze, żebyśmy się mogły przygotować. Niedługo czas wracać do domu.

- Mój autobus przyjeżdża dopiero o piątej.

- Chyba lepiej będzie, jeśli pójdziesz do domu zaraz po lekcjach. Takie są przepisy, jeśli komuś jest niedobrze w szkole. Mogliby cię nie wpuścić do autobusu. Myślę, że powinnaś pójść zaraz po szkole. Anton może cię zaprowadzić.

- Nie chciałam wymiotować. Już tego nie zrobię.

- Kochanie, nie w tym rzecz.

- Nienawidzisz mnie. Nienawidzisz mnie i nie chcesz być dla mnie miła, kiedy jest mi niedobrze. Jesteś niedobra. Westchnęłam poirytowana.

- Wcale cię nie nienawidzę, Sheilo. Co mam zrobić, żebyś uwierzyła, że wrócę? Nie będzie mnie tylko przez dwa dni, dwa krótkie dni. Potem znowu wrócę do was, nie rozumiesz tego?

Czułam ogarniającą mnie frustrację. Przecież była inteligentnym dzieckiem i doskonale rozumiała, ile to jest dwa dni. A jednak nic do niej nie docierało. Przypuszczałam, że jej nudności były wynikiem emocjonalnego stresu, lecz nie wiedziałam, co z nią począć. Nie słuchała tego, co do niej mówiłam.

Pokręciłam głową zrezygnowana i wzruszyłam ramionami.

- Chcesz, żebym cię przytuliła? Może to cię uspokoi?

Potrząsnęła głową.

Woźna wychodziła już z klasy, a dzieci szykowały się do domu. Anton spojrzał na mnie pytająco. Rozłożyłam ręce w geście bezradności. Sheila przyglądała się im z progu łazienki. Kiedy spojrzałam na nią, wydała mi się trochę blada. Może pospieszyłam się z oceną, może rzeczywiście była chora. Chyba jednak nie. W moim życiu spotkałam już zbyt wiele rozstrojonych nerwami żołądków. Dla Sheili były to trudne chwile.

Usiadłam w bujanym fotelu i spojrzałam w jej stronę. Wciąż stała na progu. Miałam wrażenie, że dzieli nas ogromny dystans. Jakże delikatne były więzi, które nas łączyły. Najbardziej dręczyła mnie myśl, że nie potrafię jej przekonać, że jej nie opuszczam, tak jak inni wcześniej. Z drugiej strony, tak bardzo ją podziwiałam. Miała tyle siły i odwagi. Dlaczego miałaby mi uwierzyć, że jej nie okłamuję. Z taką przeszłością nie mogła spodziewać się niczego innego, zachowywała się zupełnie rozsądnie. Widziałam na jej twarzy smutek, niepewność, strach. Tak bardzo starała się mi uwierzyć; widziałam w jej oczach zmagania przeszłości z marzeniami. Patrząc, jak bardzo się stara, poczułam do niej ogromny szacunek, którego nie sposób wyrazić słowami. Chwila taka jak tamta nadawała sens wszystkim innym. W tym momencie nasze dusze dotykały się. Wyciągnęłam do niej rękę.

- Chodź tutaj, kotku. Pobujam cię.

Wahała się przez moment, lecz podeszła wolno i bez słowa wdrapała mi się na kolana.

- To był dla ciebie ciężki dzień, prawda? Przycisnęła dłonie do skroni.

- Wiem, że nie rozumiesz, co się dzieje. Nie rozumiesz, jak mogę zrobić coś takiego i mówić, że cię lubię. - Kołysząc ją, dotknęłam dłonią jedwabistych włosów na jej czole. - Musisz mi zaufać.

Czułam, jak napięte jest jej ciało, tak jak dawniej, na początku naszej znajomości. Nie potrafiła się rozluźnić.

- Oswoiłaś mnie. Nie prosiłam cię o to, ale sama chciałaś. A teraz wyjeżdżasz. To niesprawiedliwe. Ty za mnie odpowiedzialna. Sama tak mówiłaś.

Zdumiał mnie fakt, że nagle powiedziała coś w czasie przeszłym. Używała go bardzo rzadko.

- Zaufaj mi, kotku. Wróć. Nie będzie tak źle, jak myślisz. Zostaniecie z Antonem i Whitney, a pani, która przyjdzie na zastępstwo, będzie miła. Zobaczysz. Wszystko pójdzie dobrze, jeśli dasz sobie szansę.

Nie odpowiedziała mi. Siedziała z dłońmi przyciśniętymi do skroni. Nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Nie wierzyła mi albo nie potrafiła przełamać się i wyznać, że mi ufa. Za

bardzo przyzwyczaiałam się do jej werbalnych umiejętności. Czasem zapomniałam, że ona ma dopiero sześć lat. Zapomniałam, z iloma problemami musiała się borykać i jak krótko jest z nami. Zbyt wiele od niej wymagałam.

Konferencja odbywała się na Zachodnim Wybrzeżu, gdzie panuje łagodniejszy klimat. Pojechałam tam z Chadem i większość czasu spędziliśmy, spacerując po plaży. Cudowna odmiana. Musiałam dos'wiadczyć podobnych chwil, żeby zdać sobie sprawę, jak bardzo pochlaniają mnie dzieci. Praca z nimi całkowicie mnie absorbowwała. Nie widziałam, w jakim napięciu żyję. Dopiero tam, na słonecznej plaży, poczułam, jak całe zmęczenie spływa ze mnie.

Była to bardzo udana konferencja i jeszcze lepsze wakacje. Do dzieci powracałam myślami tylko wieczorem, kiedy kładłam się spać, a i wtedy były to tylko mgliste wspomnienia. Wiedziałam, że poradzą sobie beze mnie. Okres ten był dla mnie i Chada niczym duchowe odrodzenie. Od czasu pojawienia się Sheili musiałam przygotowywać się wieczorami w domu, więc Chad został zepchnięty na drugi plan. Rozumiał moją fascynację dziećmi, lecz nie podobało mu się to, że tak bardzo mnie absorbują. Po czterech dniach spędzonych razem czuliśmy się wypoczęci i szczęśliwi.

W poniedziałkowy rano jechałam do pracy trawiona ciekawością. Na popołudnie zaplanowaliśmy wycieczkę do remizy straży pożarnej, więc musiałam poczynić ostatnie przygotowania i skontaktować się z rodzicami, którzy obiecali nam pomoc.

Spotkałam Antona na korytarzu, kiedy wracałam od telefonu. Otworzył szeroko oczy.

- Trochę tu się działo w czasie twojej nieobecności - powiedział.

Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że „trochę” znaczy trochę więcej. Aż się bałam zapytać.

- Co się stało?

- Sheila zupełnie się wściekła. Nie chciała z nikim rozmawiać. Pozrywała wszystko ze ścian i wyrzuciła książki z biblioteczki. W piątek rozkwasiała nos Peterowi. Nie chciała pracować. Nie mogłam nawet utrzymać jej na krześle. W czwartek zepsuła gramofon, a w piątek próbowała zbić butem szybę w drzwiach.

- Żartujesz!

- Jezu, Torey, chciałbym, żeby tak było. Istny tajfun.

- Cholera - mruknęłam. - Myślałam, że ma to już za sobą.

- Zachowywała się gorzej niż w swoim najgorszym okresie. Przez cały czas trzeba było ją trzymać w cichym kącie. Jeszcze jej takiej nie widziałem.

Serce we mnie zamarło. Czulałam wzbierające emocje. Sądziłam, że mogę jej zaufać na czas swojej nieobecności. Zabolało mnie bardzo, że tak się pomyliłam w swoich

przypuszczeniach. Uznałam to niemal za osobistą obrazę. Zaufałam jej. Polegałam na niej, a ona mnie zawiodła.

Zamierzałam porozmawiać z nią, ale autobus się spóźnił. Przyszły inne dzieci i już od progu zdawały mi relacje.

- Szkoda, że nie widziałaś Sheili - zawołała podekscytowana Sarah. - Rozwaliła całą klasę.

- Tak! - zawtórował jej Guillermo. - Ta pani w zastępstwie, pani Markham, dała jej klapsa i kazała siedzieć w cichym kącie, i Whitney musiała ją trzymać przez całe popołudnie, bo nie chciała siedzieć.

Peter skakał wokół mnie, a jego oczy wyrażały radosne podniecenie.

- I była bardzo niedobra dla Whitney, aż się Whitney popłakała, i wiesz co? Pani Markham też płakała. I Sarah płakała, i Tyler. Wszystkie dziewczyny płakały, dlatego że Sheila była taka niegrzeczna. Ale ja nie płakałam. Dobrze jej przyłożyłem za to, że była taka niedobra.

- Ona niedobra - potwierdził Max i zakręcił się na pięcie.

Moje przygnębienie przeszło w gniew. Jak mogła mi zrobić coś takiego? Bez wątplenia zachowała się gorzej niż kiedykolwiek wcześniej, kiedy byłam z nią. Sądziłam, że będzie potrafiła zapanować nad sobą bez mojej pomocy przez dwa dni. Czułam ogromne rozczarowanie; straciłam wszelką wiarę we wszystko, co z nią zrobiłam. Najwyraźniej Sheila odgrywała się na mnie. Celowo była tak niegrzeczna. Na nic zdały się czas i wysiłek, jaki jej poświęciłam.

Sheila przybyła już po rozpoczęciu porannej dyskusji. Usiadła, zerkając na mnie podejrzliwie. Poczułam znany mi zapach moczu.

Nawet nie zadała sobie trudu, żeby się umyć od czasu mojego wyjazdu.

Moje niezadowolenie wcale się nie zmniejszyło, kiedy ją ujrzałam. Ustawiłam się na pozycji obronnej, przekonana, że jej zachowanie miało na celu podważyć moją wiarygodność jako nauczyciela. Podobnie jak w innych przypadkach, zorientowała się, co jest dla mnie najważniejsze, i wykorzystała to do zemsty. Im więcej o niej myślałam, tym gorzej się czułam. O wiele trudniej było mi pogodzić się z tym wydarzeniem niż choćby z incydem z pierwszego dnia czy z klasy pani Holmes, ponieważ jej zachowanie wymierzone zostało bezpośrednio we mnie.

Zawołałam ją po skończonej dyskusji. Usiadłyśmy na krzesłach z dala od innych.

- Słyszałam, że nie spisałaś się najlepiej. Tylko patrzyła na mnie z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

- Wracam i słyszę same złe wieści. Chcę, żebyś mi wszystko wyjaśniła.



Patrzyła mi prosto w oczy w milczeniu.

- Sheilo, jestem wściekła na ciebie. Dawno już nie byłam tak zła. Chcę usłyszeć, dlaczego tak się zachowałeś.

Żadnej odpowiedzi.

Patrząc w jej zimne, nieobecne oczy, poczułam wzbierającą we mnie wściekłość. Powodowana nagłym impulsem chwyciłam ją za ramiona i potrząsnęłam gwałtownie.

- Cholera, powiedz coś! Mów do mnie! - Sheila tylko mocniej zacisnęła zęby. Przerażona faktem, że straciłam panowanie nad sobą, puściłam ją. Boże, czułam, że moja praca zaczyna mnie przerastać.

Sheila wciąż patrzyła na mnie, zachowując kamienny spokój. Agresja wywoływała jej złość i teraz byłyśmy równymi przeciwniczkami. Ona chyba nawet miała przewagę. To przecież był jej świat, świat fizycznej przemocy. Czuła się w nim lepiej ode mnie. Czułam, że popełniłam błąd, traktując ją w ten sposób. Domyślałam się, że jest w stanie wytrzymać najgorsze fizyczne groźby i wciąż zachowa milczenie. Rozczarowana, opuściłam ramiona.

- Zaufałam ci - powiedziałam cicho, nie ukrywając zniechęcenia. Myślałam, że mogę ci zaufać przez dwa parszywe dni, nie widzisz tego? Chcesz wiedzieć, jak się czuję po tym, co usłyszałam po przyjeździe?

Sheila eksplodowała z furją, jakiej się nie spodziewałam.

- Nigdy cię nie prosiłam, żebyś mi ufała! Nigdy tego nie mówiłam, tylko ty! Nigdy nie mówiłam, że możesz mi zaufać. Nie możesz! Nikt nie może mi ufać! Nigdy nie mówiłam, żebyś mi ufała! - Zerwała się na nogi i obiegła całą klasę, zanim skuliła się pod stołem z klatkami zwierząt. Siedziała tam, wydając z siebie dźwięki, które nie były ani płaczem, ani krzykiem.

Jej reakcja bardzo mnie zaskoczyła, więc pozostałam na swoim miejscu. Dzieci spoglądały na nas zaniepokojone. Po prostu siedziałam i patrzyłam, jak się chowa w swojej kryjówce pod stołem. Nie wiedziałam, co robić.

- Dzisiaj nigdzie z nami nie pójdziesz, Sheilo - przemówiłam wreszcie. - Nie mogę zabrać kogoś, komu nie ufam. Zostaniesz z Ań tonem.

Wypetziła spod stołu.

- Ja też mogę pojechać.

- Obawiam się, że nie. Nie ufam ci.

Teraz jej twarz wyrażała ogromne przerażenie. Wiedziałam, jak bardzo chciała jechać na wycieczkę. Bardzo lubiła jeździć z klasą.

- Też mogę pojechać. Pokręciłam głową.

- Nie możesz.

Sheila krzyknęła przeraźliwie i zaczęła podskakiwać tuż przy klatkach, wymachując przy tym rękoma.

- Sheilo, przestań albo pójdziesz do cichego kąta. Uspokój się.

Wyraźnie straciła panowanie nad sobą. W następnej chwili rzuciła się na ziemię i mocno uderzyła głową o podłogę. Anton skoczył w jej stronę, żeby ją powstrzymać. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywała. Spodziewałam się raczej jednego z jej niszczycielskich napadów, podobnie jak dzieci, które pospiesznie chowały swoje cenne przedmioty. Nigdy przedtem nie próbowała krzywdzić samej siebie. Czegoś takiego mogłam się spodziewać po Maksie czy Susannah, ale nie po Sheili.

Anton trzymał ją mocno, ona zaś wrywała się i krzyczała tak głośno, że nie słyszałam własnych myśli. A potem ucichła, równie niespodziewanie, jak zaczęła krzyczeć, i w sali zapadła przerażająca cisza. Podbiegłam do niej w obawie, że może zraniła się i dlatego ucichła tak nagle. Anton puścił ją, a wtedy osunęła się bezwładnie na dywan. Leżała z twarzą zwróconą ku dołowi i rękoma na głowie.

- Sheilo, nic ci nie jest? - spytałam. Odwróciła głowę.

- Proszę, pozwól mi pójść - wyszeptała.

Czułam się zaniepokojona po takim wybuchu jej emocji.

- Lepiej będzie, żebyś została. - Nie byłam pewna jej zachowania poza klasą.

- Przepraszam za to, co robiłam. Pozwól mi pójść. Możesz mi zaufać. Proszę. - Mówiła cieniutkim głosem. - Daj mi szansę. Zobaczysz, jaka będę grzeczna. Proszę. Chcę pójść.

Popatrzyłam na nią uważnie. Odzyskałam już równowagę i zaczynałam podejrzewać, że jej gwałtowny wybuch był udawany, skoro tak szybko się uspokoiła. Poczułam gniew.

- Nie, Sheilo. Może następnym razem.

Ponownie zaczęła krzyczeć i zakryła twarz dłońmi, lecz pozostała na swoim miejscu, na podłodze. Wrzeszczała jeszcze kilka chwil, po czym umilkła; nie poruszyła się i nie odkryła twarzy. Najpierw chciałam ją posłać do cichego kąta, lecz zmieniłam zdanie. Czułam się pokonana i nie chciałam zaplątać się jeszcze bardziej.

Jeszcze przed lunchem całkiem straciłam ducha. Zrozumiałam, że rozłościłam się na nią za to, że wytknęła mi coś, co w rzeczywistości było moim niedostatkiem. Wściekłam się na nią, ponieważ źle przeprowadziłam nasze rozstanie. Okazałam złość, ponieważ postąpiła wobec mnie tak samo, jak wobec wielu innych. A ja wierzyłam, że nie zemści się na mnie. I nie zrobiła tego aż do tamtej chwili, w której moje dumne ego uwierzyło, że tak już będzie. Teraz zaś poczułam się zraniona, ponieważ potraktowała mnie jak wszystkich innych. Zdałam sobie

sprawę, że zabraniając jej udziału w wycieczce, postąpiłam tak samo jak ona. Zraniła mnie, więc chciałam jej pokazać, że pożałuje tego. Oczywiście wybrałam coś, co, jak wiedziałam, też ją zrani.

Kiedy sobie to uprzytomniłam, poczułam się jeszcze gorzej.

Zachowałam się jak skończony prostak. Nienawidziłam siebie i całego świata i na dodatek nie wiedziałam, jak wszystko naprawić.

Kiedy razem z Anionem jedliśmy kanapki w czasie lunchu, podzieliłam się z nim swoimi uczuciami.

- O rany, tym razem schrzaniłam wszystko - wymamrotałam z nosem tuż nad kanapką. Dlaczego w ogóle zostałam nauczycielką, skoro nie potrafię zapanować nad własnymi emocjami? - Anton próbował mnie pocieszyć. Przypomniał mi, że Sheila zachowała się skandalicznie. Musiała poczuć, że coś takiego jest nie do przyjęcia.

Czułam się jak kompletne zero. Biedne dziecko. Dzisiejszy dzień powinien być dla wszystkich radosnym spotkaniem. Tymczasem powróciła skończona jędza. Przecież to, co zrobiła, było do przewidzenia. Dziewczyna czuła się przygnębiona i okazała to najlepiej, jak potrafiła. Dlatego znalazła się w tej klasie. A ja? Czy i ja tam przyszłam z tego samego powodu? Ten dzień powinien być radosnym potwierdzeniem tego, że może mi zaufać; wróciłam, tak jak obiecałam. Zamiast tego nawrzeszczałam na nią. Odebrałam jej też nagrodę, czego się nie spodziewała. Boże, dlaczego ja w ogóle zaczęłam uczyć?

Przez cały lunch czułam się jak potwór i wciąż nie wiedziałam, jak wszystko naprawić. Mogłam ją przeprosić, lecz to nie zmieniało faktu, że wściekłam się na nią rano. Z trudem przełknęłam ostatnie kęsy kanapki. Miała rację. Nigdy nie powiedziała, że mogę jej zaufać.

Wróciłam do klasy i usiadłam obok Sheili. Pozostałe dzieci i ich rodzice przygotowywali się do wyjścia.

- Kochanie, muszę porozmawiać z tobą. Źle postąpiłam rano. Zezłościłam się na ciebie, chociaż tak naprawdę byłam zła na siebie. Powiedziałam, że nie możesz pójść na wycieczkę, ale zmieniłam zdanie. Możesz pójść. Przepraszam, że zezłościłam się na ciebie.

Nie spojrzawszy nawet na mnie, Sheila wstała bez słowa i poszła po swoją kurtkę.

Później, kiedy inne dzieci udały się już do domów, wciąż dzieliła nas pełna napięcia cisza. Przez całe popołudnie starałam się być zabawna, lecz Sheila pozostała niewzruszona. Trzymała się blisko Whitney. Dałam za wygraną. Uznałam, że czas uleczyć rany. Powoli odzyskiwałam równowagę. Zdałam sobie sprawę, że źle postąpiłam, ale pamiętałam też, że jestem tylko człowiekiem, jak zauważył Anton.

Wyjęłam prace z koszyka i zaczęłam je poprawiać. Wcześniej chciałam poczytać Sheili,

ale odmówiła i zajęła się zabawą samochodami na podłodze. Minęła godzina. Potem Sheila wstała i stanęła przy oknie. Patrzyła, jak cienie na śniegu wydłużają się. Kiedy znowu na nią spojrzałam, wciąż tam stała, lecz zwrócona w moją stronę.

- Dlaczego ty wrócić? - spytała cicho.

- Wyjechałam tylko na konferencję. Nie miałam zamiaru tam zostać. Tutaj pracuję z wami.

- Ale dlaczego wróciłaś?

- Ponieważ tak powiedziałam. Podoba mi się tutaj. Podeszła powoli do stołu, przy którym siedziałam. Widziałam cierpienie w jej oczach.

- Ty naprawdę myślałaś, że nie wrócę, prawda?

Skinęła głową.

Popatrzyłyśmy na siebie poprzez morze ciszy. Słyszałam, jak zegar odmierza minuty. Cebulka, nasz królik, poruszył się w swojej klatce. Patrzyłam w jej oczy, ogromne i błękitne jak woda, w której niedawno pływałam. Zastanawiałam się, o czym myśli. Ze smutkiem zdałam sobie sprawę, że nigdy w pełni nie rozumiemy, jak to jest być kimś innym. Nie potrafimy też pogodzić się z tą prawdą i udajemy wszechwiedzących pomimo ograniczeń naszego ciała. Szczególnie w kontaktach z dziećmi. Tak naprawdę nigdy nie wiemy.

Stała, miętosząc w dłoni szelkę swoich spodni.

- Przeczytasz mi jeszcze tę książkę?

- Którą?

- Tę o małym chłopcu, który oswoił lisa.

- Tak, przeczytam - uśmiechnęłam się.

Marzec przyniósł ciepły powiew wiosny, co stanowiło przyjemną odmianę dla znużonej zimą Północy. Śnieg wreszcie stopniał, a cała woda zamieniła się w zimne, brązowe błoto. Tamtego roku z niecierpliwością wyczekiwaliśmy wiosny. Zima wtedy była szczególnie śnieżna i mroźna.

Marcowa pogoda odzwierciedlała spokój szkolnego życia, przynajmniej ten, jaki panował w mojej klasie. Żadnych przerw, żadnych nieporozumień, niespodziewanych zmian. Obóz emigrantów wypełniał się powracającymi z południa pracownikami. Nauczyciele w pokoju nauczycielskim zaczęli narzekać z powodu okresowego przyływu dzieci, które wracały do swoich klas. Mnie nie dotyczyły podobne zmartwienia. Zauważyłam też zmianę w zachowaniu Antona. Nic nie powiedział, kiedy przybyły pierwsze samochody pełne pracowników, lecz kiedy przyszedł do pracy, był bardziej rozkojarzony i milczący. Wreszcie zapytałam go. Ciekawa byłam, czy tęskni za dawnym, bardziej beztroskim życiem.

Uśmiechnął się tylko. Uśmiechnął się i spojrzał na mnie wzrokiem pełnym współczucia, którym obdarza się kogoś, kto nigdy nie zrozumie w pełni poruszanego tematu. Potem przysunął sobie jedno z malutkich krzesel i umieścił na nim swoje długie ciało. Nie, odpowiedział, nie tęsknił za życiem emigrantów. Nie było w nim niczego, za czym można by tęsknić. Znowu się uśmiechnął, bardziej do siebie niż do mnie. Natomiast zdał sobie sprawę, jak mi powiedział, z tego, jak bardzo się zmienił od czasu, gdy ciężarówki odjechały jesienią. Jak bardzo różni się od nich. Dopiero teraz zauważył tę różnicę. Pewnie tak samo czuł się Rip van Winkle po przebudzeniu, dodał i roześmiał się z niedowierzaniem. Rok temu nie wiedział nawet, kto to jest Rip van Winkle, a teraz wydawało mu się, że ma więcej wspólnego z nim niż ze swoimi ludźmi.

Przyglądałam mu się, kiedy mówił do mnie. Ciemne, latynoskie rysy, wystające kości, stygmat ciężkiego życia, które rozpoczął zbyt wcześnie. Oboje zmieniliśmy się w sposób, który trudno byłoby wyrazić słowami. Zdumiał mnie fakt, że w tak wielkim stopniu wpłynęliśmy wzajemnie na swoje życie i prawie tego nie zauważyliśmy, a już na pewno nie w chwilach, kiedy to się działo. Przez kilka minut siedzieliśmy po prostu wpatrzni w siebie z podziwem, zapominając o tym, że nie wypada gapić się na kogoś. Tyle nas dzieliło: pochodzenie, płeć, wykształcenie. A jednak w pewnym sensie udało nam się zbliżyć do siebie, dotknąć. Właśnie ta iskra zrozumienia kazała nam zamilknąć w tamtej chwili. Nie potrzebowaliśmy słów.

Pomimo srogiej zimy Sheila kwitła niczym żonkil. Każdy dzień przynosił poprawę.

Teraz zawsze była czysta w granicach swoich możliwości. Każdego ranka przybiegała, żeby umyć twarz i zęby. Zaczęła interesować się swoim wyglądem, dlatego dokładnie oglądała się w lustrze. Wypróbowałyśmy nowe style uczesania. Czasem po lekcjach udawałyśmy, że jesteśmy w salonie kosmetycznym. Pozwalałam jej bawić się moimi długimi włosami, a potem ja wymyślałam nowe sposoby uczesania dla niej. Sheila stawała się coraz ładniejszym dzieckiem, czego nie omieszkali zauważyć inni nauczyciele.

Sarah i Sheila zaprzyjaźniły się na dobre i zauważyłam, że w czasie lekcji przesyłają sobie karteczki. Kilka razy Sheila poszła do domu Sarah pobawić się z nią, dopóki nie przyjechał jej autobus. Bawiła się też z Guillermem w obozie emigrantów. Tyler okazała się zbyt afektowana jak na gust Sheili, ponadto drażniły ją nieco macierzyńskie skłonności Tyler. Z zadowoleniem zauważyłam, że przeważnie dzieci z klasy lgnęły do Sheili.

W nauce Sheila radziła sobie doskonale. Chętnie zabierała się niemal do wszystkiego, co jej dałam. Czasem jeszcze zdarzało się jej zniszczyć kartkę papieru. Rzadko kiedy dwukrotnie w ciągu tygodnia, ale nawet w takich chwilach przychodziła do mnie z prośbą o inny arkusz. Podsuwałam jej materiały do czytania z trzeciej klasy i ćwiczenia matematyczne z klasy czwartej. W obu przypadkach były to zadania dużo poniżej jej możliwości, ale biorąc pod uwagę jej środowisko, jak również strach przed porażką, uznałam, że lepiej będzie, jeśli zacznie pracować na materiale, który pozwoli jej scementować wiedzę i wiarę w siebie.

Wciąż pozostawała ogromnie wrażliwa na wszelkie uwagi i poprawki, po których na jej twarzy pojawiały się ponure miny, a z ust wydobywały się rozdzierające serce westchnienia. W chwilach najgorszego kryzysu siedziała przez cały dzień z głową wtuloną między ramiona, zdruzgotana jakimś zadaniem matematycznym. Najczęściej jednak po krótkiej zachęcie wracała do pracy.

Ze zdziwieniem stwierdziłam też, że nasza kłótnia nie wpłynęła ujemnie na stabilność emocjonalną Sheili. Przez kilka dni po moim powrocie kontynuowała nawyk chodzenia za mną, lecz nigdy potem już tego nie robiła. Rozmawiałyśmy dużo o tym, co się między nami wydarzyło. Widziałam, że czuje potrzebę analizowania tamtej sytuacji. Zostawiłam ją. Wróciłam. Rozgniewała się i była niegrzeczna. Ja także się rozgniewałam i straciłam panowanie nad sobą. Powiedziałam jej, że nie powinnam była i że jest mi przykro. Wciąż powracała do najdrobniejszych szczegółów tamtego incydentu i opowiadała, co wtedy czuła. Dlaczego wymiotowała, dlaczego tak się bała. Powracała do tego tematu bez końca. Musiało to mieć dla niej jakieś ukryte znaczenie, którego nie rozumiałam, ale wydawało mi się, że takie rytualne powtarzanie tego samego dodaje jej pewności. Bez wątpienia ogromną wagę miał dla niej fakt, że wróciłam, ale nie tylko. Także to, że obie rozzłościłyśmy się na siebie. Może

poczuła się pewniej, widząc mnie w, tak podłym nastroju. Może potrafiła obdarzyć mnie większym zaufaniem po tym, jak zobaczyła, że jestem podobna do niej w swojej złości. W każdym razie Sheila uczyła się rozwiązywać swoje problemy werbalnie. Nie potrzebowała już fizycznego kontaktu, wystarczały jej słowa.

Co więcej, po incydencie związanym z moim wyjazdem Sheila zaprzestała na dobre działań destrukcyjnych. Od tamtej pory, kiedy się złościła, co wciąż zdarzało się dość regularnie, nie wpadała w szał i nie rozrzucała wszystkiego dookoła. Zemsta nie była już dla niej tak ważna. Bardzo pragnęłam zrozumieć znaczenie tamtego incydentu, ponieważ tak bardzo wpłynął na zmianę zachowania Sheili. Jednak pełen obraz pozostał tajemnicą. Sheila wciąż miała wiele problemów, lecz teraz coraz lepiej radziła sobie z rozwiązywaniem ich.

Jedną z zagadek, które wciąż pozostały dla mnie nie rozwiązane, był język, jakim się posługiwała. Spotkanie z jej ojcem utwierdziło mnie w przekonaniu, że jej nawyk nadużywania bezokolicznika „być” i pomijanie czasu przeszłego nie pochodził z domu. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego będąc bardzo inteligentnym dzieckiem, mówiła w tak dziwny sposób, chociaż z czasem jej język się poprawił. W marcu postanowiłam porozmawiać z nią o tym; zwróciłam uwagę, że pewnych słów używa się w innej formie, jeśli mówimy o czymś, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Zaskoczyło mnie, z jaką gwałtownością obstawała przy swoim, twierdząc, że przecież ją rozumiem. Kiedy to potwierdziłam, zapytała mnie, co za różnica, jak ona mówi, skoro ją rozumiem? Zupełnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Po tamtej rozmowie doszłam do wniosku, że zachowanie Sheili było o wiele bardziej przemyślane, niż przypuszczałam.

W tej sprawie nikt nie potrafił mi nic poradzić. Wszyscy specjaliści, do których wysłałam nagranie z przykładami jej mowy, odpowiedzieli mi, że jest to dialekt, i pytali, czy Sheila jest czarna. Kiedy odpowiadałam, że nie i nie jest to dialekt rodzinny, nie potrafili podać żadnej innej sugestii. Któregoś wieczoru, kiedy rozmawiałam o tym z Chadem, wysunął on następującą teorię: może ona nie używała czasu przeszłego, żeby zachować wszystko w teraźniejszości, gdzie lepiej potrafiła zapanować nad wszystkim. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej wydawało mi się to prawdopodobne. Ostatecznie stwierdziłam, że jest to raczej problem dla psychologa, i postanowiłam nie wracać już do niego. Rzeczywiście, rozumieliśmy ją doskonale i wierzyłam, że kiedyś poczuje się na tyle pewnie, by chcieć to zmienić. Tymczasem mówiła na swój sposób.

Natomiast sprawą, która najbardziej zajmowała umysł Sheili, było porzucenie. Obsesyjnie powracała do tematu swojej matki i brata, zastanawiała się, gdzie są i co robią. Często wtrącała komentarze na temat swojej przeszłości; gdyby to lub tamto zrobiła lepiej,

może jej rodzina by się nie rozpadła. W moim odczuciu także i ten element jej zachowania miał bezpośredni związek ze strachem przed porażką.

Któregoś popołudnia, po skończonych lekcjach, Sheila zajęła się rozwiązywaniem zadania z matematyki. Uwielbiała ten przedmiot, dlatego osiągała w nim najlepsze wyniki. Wtedy już dawała sobie radę z podstawowymi problemami mnożenia i dzielenia. Wspólnie pracowałyśmy nad trudniejszymi zadaniami. W czasie przerwy znalazła w koszu kopię egzaminu z piątej klasy i przyniosła go, abyśmy razem nad nim popracowały.

Kiedy skończyła, podeszła do mnie i podsunęła mi papier. W zadaniu, które próbowała rozwiązać, posługiwano się dzieleniem ułamków. Było to coś, czego nigdy wcześniej nie przerabialiśmy. Oczywiście wszystko rozwiązała źle, ponieważ nie pomnożyła przez odwrotność ułamka.

- Zobacz. Dobrze? - spytała, wręczając mi zadanie. Nie miałam pewności, czy pokazać jej błąd.

- Sheil, coś ci pokażę. - Odwróciłam kartkę i narysowałam na niej koło, które podzieliłam na cztery części. - Spójrz, gdybym chciała dowiedzieć się, ile części ósmych zawiera nasze koło...

Od razu zorientowała się, że nie rozwiązała zadania poprawnie.

- Źle zrobiłam, tak?

- To nic, dziecinko. Nikt cię jeszcze tego nie uczył. Pochyliła się i schowała twarz w dłoniach.

- Chciałam zrobić dobrze i pokazać ci, że potrafię bez pomocy.

- Sheil, nie ma się czym martwić.

Przez dłuższą chwilę siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach. Potem jej ręce popęzły wolno w stronę papieru, który zgmiotła wcześniej, i rozprostowała go.

- Pewnie gdybym dobrze robiła matematykę, mama by mnie nie zostawiła na drodze. Gdybym potrafiła robić zadania z piątej klasy, byłaby ze mnie dumna.

- Sheilo, nie sądzę, żeby zadania z matematyki miały coś z tym wspólnego. Nie wiemy, dlaczego twoja mama odjechała. Pewnie miała wiele swoich kłopotów.

- Odjechała, bo mnie już nie kochała. Nie zostawia się na autostradzie dzieci, które się kocha. Wtedy skaleczyłam się w nogę. Widzisz? - Po raz setny pokazała mi bliznę. - Nie zrobiłaby tak, gdybym była lepsza. Może by mnie jeszcze kochała, gdybym była lepsza.

- Sheilo, nie wiemy, dlaczego tak postąpiła. Musiało wydarzyć się coś złego, ale już minęło. Moim zdaniem to, czy jesteś dobra czy zła, nie ma znaczenia. Twoja mama miała własne problemy, które musiała rozwiązać. Myślę, że bardzo cię kochała; większość matek



kocha swoje dzieci. Chyba po prostu nie była gotowa na to, żeby wtedy mieć małą dziewczynkę.

- Ale z Jimmiem sobie poradziła. Dlaczego jego zabrała, a mnie nie?

- Nie wiem, kochanie.

Spojrzała mi w oczy. Znowu ujrzałam to przestraszone, zranione spojrzenie. Boże, pomyślałam, czy nigdy nie uda mi się wypełnić tej pustki? Sheila kręciła w dłoni koniec swojego warkocza.

- Tęsknię za Jimmiem.

- Wiem.

- W przyszłym tygodniu będą jego urodziny. On mieć wtedy pięć lata, a ja nie widzieć go od czasu, kiedy on mieć dwa lata. Strasznie dużo czasu. - Odwróciła się i podeszła do okna. Patrzyła w mokre marcowe popołudnie. - Najbardziej tęsknię za Jimmiem. Nie potrafię o nim zapomnieć.

- Widzę.

Znowu odwróciła się do mnie.

- Czy możemy urządzić mu urodzinowe przyjęcie? Dwunastego marca, w jego urodziny. Takie samo przyjęcie, jakie miała Tyler w lutym?

- Kotku, to chyba nie jest dobry pomysł. Posmutniała i wróciła do mnie, powłócząc nogami.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ Jimmiego nie ma z nami. On mieszka gdzieś w Kalifornii.

- Takie małe przyjęcie. Może tylko ty, ja i Anton. Zaraz po szkole.

Pokręciłam głową.

- Bardzo chcę.

- Wiem, że chcesz.

- Dlaczego nie? Takie małe, malutkie przyjęcie. Proszę - mówiła błagalnym tonem. - Będę twoją najlepszą dziewczyną. Zrobię dobrze wszystkie zadania z matematyki.

- Nie w tym rzecz, Sheilo. Nie chcę dlatego, że nie ma tutaj Jimmiego. Wiem, że bardzo cię to boli, ale on nie może być z nami. Wiem, jak bardzo za nim tęsknisz, kotku, ale to chyba nie jest dobry pomysł, żeby wspominać go w ten sposób. Jeszcze bardziej by cię to zraniło.

Przykryła twarz dłońmi.

- Chodź, chcę cię przytulić. - Przynęła się bliżej, nie odrywając dłoni od twarzy, a ja posadziłam ją sobie na kolanach. - Wiem, co czujesz, jak bardzo cierpisz. To bardzo trudne, co musisz zrobić.

- Tęsknię za nim. - Jej głos załamał się i zadrżał, lecz nie uroniła ani jednej łzy. Zamiast tego chwyciła się mojej koszuli i przycisnęła twarz do moich piersi. - Chcę, żeby on był tutaj.

- Wiem, kochanie.

- Torey, dlaczego tak się stało? Dlaczego zabrała jego, a mnie zostawiła? Dlaczego ja byłam taką złą dziewczyną? - Przez chwilę w jej oczach zamigotały łzy, lecz jak zawsze nie popłynęły.

- Kochanie, to nie twoja wina. Uwierz mi. Ty w niczym nie zawiniłaś. Mama nie zostawiła cię dlatego, że byłaś zła. Miała za dużo własnych problemów.

- Tata tak mówi. Mówi, że gdybym ja być lepsza, ona by mnie nie zostawić.

Zamilkłam na chwilę. Zdałam sobie sprawę, jak wiele jeszcze trzeba było poświęcić jej pracy, a jak mało mogłam zrobić. Dlaczego miałaby uwierzyć mnie, a nie ojcu? Jak miałam ją przekonać, że w tym względzie się mylił? Czułam ogarniające mnie zniechęcenie.

- Twój tato nie ma racji, Sheil. On także nie wie, co się naprawdę wydarzyło. Nie wie też, jak to jest być małą dziewczynką. W tej sprawie się myli, uwierz mi.

Przez kilka następnych minut siedziałyśmy w milczeniu. Przytuliłam ją mocno do siebie, czując na skórze jej ciepły, urywany oddech. Tak bardzo cierpiałam razem z nią. Czułam ból w piersiach. Jej ból, który przenikał moje ubranie, ciało i gromadził się w moim sercu. Boże, jak bardzo to bolało. Wreszcie podniosła wzrok.

- Czasem czuję się bardzo samotna. Skinęłam głową.

- Czy kiedyś przestanie tak być?

- Tak. Myślę, że tak - ponownie przytaknęłam.

Sheila westchnęła i wstała.

- Ale kiedyś nigdy naprawdę nie przychodzi, prawda?

Pomimo tak smutnych momentów Sheila wciąż zaskakiwała mnie ogromem swojej radości. Mimo wszystko miała jej dużo w sobie. Praca z dziećmi, których życie najczęściej było chaotyczną tragedią, utwierdziła mnie w przekonaniu, że ludzie z natury są niezwykle radosnymi istotami. Nastroje Sheili zmieniały się bardzo i nigdy nie potrafiła w pełni pozbyć się skutków emocjonalnych zniszczeń, jakie w niej zaszły. Jednakże z drugiej strony, nigdy nie odbiegała daleko od stanu szczęścia.

Najdrobniejsze szczegóły zapalały w jej oczach wesołą iskierkę i nie było dnia, żebyśmy nie słyszeli jej niosącego się śmiechu. Przyczynił się do tego także fakt, że ze względu na zubożoną przeszłość tak wiele rzeczy było dla niej nowych. Nigdy nie miała dość cudów, które niósł każdy następny dzień. W marcu jej największym odkryciem stały się kwiaty.

O tej porze w naszej części stanu każdy wolny skrawek ziemi pokrywa się krokusami i

żonkilami. Choć trudno w to uwierzyć, ale w obozie emigrantów nie rosły kwiaty, dlatego Sheila nigdy wcześniej nie widziała z bliska żonkila. Pewnego ranka przyniosłam ogromny bukiet tych kwiatów z ogrodu domu, w którym wynajmowałam mieszkanie.

Sheila przybiegła z piskiem i ustami pełnymi pasty do zębów. Tupała bosymi nogami, biegnąc; miała na sobie tylko bieliznę.

- Co to? - zapytała, gulgocząc.

- To żonkile, głuptasie. Na pewno widziałas je wcześniej. Potrząsnęła głową, przyglądając się kwiatom uważnie.

- Tylko w książkach. A te prawdziwe?

- Oczywiście. Dotknij ich. Odłożywszy szczoteczkę do zębów, wyciągnęła ostrożnie rękę i dotknęła końcem palca krawędzi jednego z kwiatów.

- Och! - zapiszczała uradowana i wypluła fontannę piany. Skakała przez chwilę podekscytowana, a potem nagle zatrzymała się w miejscu i dotknęła niepewnie drugiego kwiatu.

- Skończ myć zęby i ubierz się. Chcę, żebyś mi pomogła wsadzić je do wazonu.

Sheila popędziła do łazienki, wypluła pastę, lecz nie zdążyła powstrzymać swej radości na tyle długo, by jeszcze włożyć spodnie. Powróciła w podskokach.

- One takie delikatne. Pozwól mi ich dotknąć.

- Powąchaj też. Żonkile nie pachną tak ładnie jak róże, ale mają swój specyficzny zapach.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Chcę je przytulić.

- Kwiaty chyba nie przepadają za przytulaniem - zachichotałam.

- Ale pachną tak ładnie i być takie miłutkie, że mam ochotę je uściskać.

- Rozumiem. - Wyjęłam wazon, który kiedyś zrobiło dla mnie jedno z moich dzieci. Był za mały, by pomieścić wszystkie kwiaty. Sheila podskakiwała radośnie u mego boku. Całym ciałem wyrażała swą ogromną radość.

- Sheil, chcesz mieć swój kwiatek?

Spojrzała na mnie oczyma otwartymi chyba najszerszej, jak potrafiła.

- Mogę?

- Tak. Nie zmieszczę wszystkich w wazonie. Włożymy go do kartonu po mleku i postawimy tam, gdzie lubisz siadać.

- I naprawdę będzie mój? Skinęłam głową.

- Dla mnie?

- Tak, głuptasie, dla ciebie. Twój własny kwiat. Nagle jej twarz posmutniała.

- Tata, on nie pozwoli mi go zatrzymać.

- Kwiaty to co innego - uśmiechnęłam się. - Szybko więdną. Twój tata nie będzie miał nic przeciwko temu, zobaczysz. Wyciągnęła powoli rękę i pogłaskała jeden z żonkili.

- Pamiętasz książkę o lisie i Małym Księżciu? Jak Książę oswoił swój kwiat? Pamiętasz?

- Spojrzała na mnie pełna oczekiwania. - Myślisz, że mogłabym jednego oswoić? Byłby to mój własny wyjątkowy kwiat i byłabym za niego odpowiedzialna. Mogłabym go i oswoić tylko dla siebie.

- Musisz tylko pamiętać, że kwiaty nie żyją zbyt długo. Ale łatwo je oswoić. Chyba byś to potrafiła. Który chcesz? - Wskazałam na kwiaty, które nie zmieściły się do wazonu.

Przyjrzała się im uważnie, po czym wybrała jeden. Dla mnie nie różnił się niczym od pozostałych, lecz jej pewnie coś powiedział. Być może już zaczęła go oswajać, ponieważ, podobnie jak w przypadku Małego Księcia i jego róży, tak i ten żonkil należał już do Sheili i był jak żaden inny żonkil na świecie.

Uśmiechnęła się, trzymając delikatnie łodygę i głaszcząc złocisty kwiat. Poszłam do łazienki i przyniosłam jej spodnie, po czym namówiłam ją, żeby wsunęła w nie nogi. Przychodziły pozostałe dzieci, rozkrzyczane i zaciekawione tym, co się dzieje. Ale Sheila nie zwracała na nie najmniejszej uwagi. Pozwoliła mi się ubrać zapatrzona w swój kwiat, a na jej ustach promieniał uśmiech.

- Moje serce teraz takie duże - wyszeptwała. - Ono takie duże, a ja chyba najszczęśliwsza ze wszystkich dzieci.

Pocałowałam ją w czoło i uśmiechnęłam się. Potem wzięłam wazon pełen żonkili i postawiłam go na stole.

Często było u nas wesoło.

Ale nie zawsze mieliśmy powód do śmiechu. Często śmiałam się z rzeczy, które po głębszym zastanowieniu wydawały się raczej tragiczne.

Może właśnie umiejętność śmiania się jest największym cudem ludzkiego ducha. Śmiania się z nas samych, z siebie nawzajem, z naszej, czasem beznadziejnej, sytuacji.

Whitney, bardziej niż ktokolwiek inny, trzymała nas w ryzach normalności. Bardzo ją lubiałam za to, że ani mnie, ani Antenowi czy nawet dzieciom nie pozwoliła uwierzyć, iż nasza klasa jest inna.

Pomimo swojej nieśmiałości Whitney miała poczucie humoru, które czasem nie znało granic. W takich chwilach, szczególnie kiedy była tylko ze mną i Anionem, potrafiła okazać zdumiewające opanowanie. Ponadto Whitney okazała się mistrzynią w płataniu figli innym. Może nie dziwiłaby mnie ta strona jej osobowości, gdybym nie wiedziała, jak bardzo była nieśmiała. Albo gdyby nasza klasa bardziej nadawała się do psikusów. Tak czy inaczej, Whitney nieustannie mnie zdumiewała. Wciąż podskakiwałam autentycznie przerażona gumowym węzłem, który wyskakiwał z piórnika Susannah, albo załamywałam ręce na widok sztucznych wymiocin na stole, kiedy Peter, William i Guillermo udawali, że boją ich brzuchy.

Kiedy dołączyła do nas Sheila, możliwości Whitney w dziedzinie płatania innym psikusów sięgnęły zenitu. Dzieci uwielbiały jej kawały i chętnie brały w nich udział. Sheila natomiast była na tyle bystra, by przewidzieć, co knuje Whitney, by zrozumieć dowcipną uwagę, którą Whitney prowokowała innych do czegoś. Z drugiej strony, dzięki naiwności Sheili, Whitney potrafiła namówić ją na najbardziej zwariowane rzeczy.

Kiedy minęła połowa marca i nic się nie wydarzyło, wydało mi się to trochę podejrzanym. Każdego ranka sprawdzałam wszystkie szuflady, mój ceramiczny garnuszek i wszystkie inne przedmioty nadające się do wykorzystania przeciwko mnie. Zwykle korzystałam z pomocy Sheili, która nie potrafiła utrzymać niczego zbyt długo w tajemnicy. A nawet jeśli próbowała to zrobić, nie najlepiej jej to wychodziło. Teraz jednak nic się nie działo. Raz nakryłam je, jak chichotały razem w kącie, więc miałam się na baczności, lecz kolejne dni mijały spokojnie. Może dlatego, że Whitney od tygodnia leżała w domu przeziębiona.

Pod koniec miesiąca przyszła do szkoły pani Crum, mama Freddiego. Drobna, o ziemistej cerze i zaciśniętych ustach, weszła do klasy nieśmiało, przepaszając za najście. Wcześniej bawiłam się z Sheila samochodami na podłodze i zapewniłam ją, że w niczym mi nie

przeszkodziła. W czym mogłabym jej pomóc? Spuściła głowę i złożyła ręce. Tak jej przykro, że zawraca mi głowę swoimi problemami. Poprosiłam Sheilę, aby poszła do Antona i pomogła mu przy powielaczu. Kiedy zostaliśmy same, poprosiłam panią Crum, aby usiadła.

Przyszła zapytać, czy dzieci jadły ostatnio coś specjalnego w szkole. Zastanowiłam się. Mieliśmy środę, więc byliśmy właśnie po gotowaniu. Robiliśmy omlet po chińsku, wyjaśniłam jej. Poza tym niczego innego dzieci nie jadły. Nie licząc lunchu. Zmarszczyła czoło. W ciągu ostatniego tygodnia Freddie trzykrotnie wymiotował po powrocie ze szkoły. Nie dziwiłaby się tak bardzo, gdyby nie fakt, że nie potrafiła powiedzieć, czym wymiotował. A były to małe kuleczki w kolorze jasnoczerwonym, zielonym, niebieskim i żółtym. Za każdym razem kilkadziesiąt.

Jej słowa całkiem mnie zaskoczyły. Z niczym nie potrafiłam tego powiązać. Z pewnością dzieci nie jadły cukierków, ponieważ nie trzymałam ich w klasie. Ani żadnych nie nadających się do jedzenia przedmiotów tego rozmiaru, ponieważ wiedziałam, że dzieci takie jak Freddie, Max czy Susannah mogłyby wziąć je do ust. Zapewniłam ją, że nie dostał ich w szkole, i obiecałam, że zwrócę na niego uwagę.

Następne kilka dni minęło spokojnie. Whitney wciąż była chora, a ja zajęłam się wypełnianiem arkuszy sprawozdawczych z semestru, więc część czasu po lekcjach Sheila spędzała na samotnych zabawach. Minął weekend i znowu nadszedł poniedziałek.

Po południu, kiedy wróciłam do klasy, odprowadziwszy dzieci do autobusu, zastałam Sheilę na kolanach pod zlewem przy tablicy. W chwilach szczególnie trudnych Sheila używała dość barwnych wyrażen, których miała cały asortyment. Robiła to bez względu na to, jak bardzo ją upominałam. Teraz, kiedy weszłam do klasy, słyszałam, jak prezentuje półgłosem kilka z nich.

- Co się stało, Sheilo?

Zerwała się na nogi i obróciła na pięcie.

- Nic.

- W takim razie dlaczego przeklinałaś?

- Wcale nie. Podeszłam do zlewu.

- Przecież słyszałam. Co się dzieje?

- Ktoś zabierał coś mojego.

- Co?

- Coś tam. - Zmarszczyła brwi. - Chcę zrobić z tego coś na plastyce. Ja tego szukać, a ktoś to zabrać. Nie ma tam, gdzie było.

- Przede wszystkim dlaczego tam to włożyłaś<sup>4</sup>? Powinnaś trzymać swoje rzeczy w

szafce. Wiesz o tym. Jeśli ktoś tutaj coś znajdzie, nie wie, że to należy do ciebie. A co to było?

- Takie coś.

- Co?

Wzruszyła ramionami.

- No, coś takiego. Moje.

- Zajrzyj do pudełka z pomocami plastycznymi, może coś sobie wybierzesz.

Mniej więcej godzinę później w drzwiach stanęła pani Crum. Bardzo mnie przeprasza, ale Freddie znowu wymiotował. Wypluł jeszcze więcej kolorowych kuleczek. Tym razem przyniosła kilka zawiniętych w papierową serwetkę. Nieśmiało zaproponowała, żebym na nie spojrzała i potwierdziła, że nie pochodzą z naszej klasy.

Zacisnęłam zęby i rozwinęłam wilgotną serwetkę. Ujrzałam osiem, może dziesięć, trochę nierównych kulek pomalowanych świecącymi farbami. Wzięłam do ręki ołówek i nacisnęłam jedną z nich. Bez przeszkód dotarłam do ciemnego, zielonawobłękitnego środka. Nie miałam pojęcia, co to mogło być.

Do pokoju wszedł Anton, który wrócił z pokoju nauczycielskiego. Skinęłam na niego.

- Widziałeś u nas coś takiego? - spytałam go. Pochylił się nad moim ramieniem. - Co to jest? - Wziął ode mnie ołówek i rozgniół następną kulkę.

- Wygląda na to, że Freddie znajduje je gdzieś tutaj, zjada, a potem wymiotuje nimi w domu. Pani Crum uważa, że pochodzą od nas.

- Ale co to jest? - dopytywał się Anton.

- Nie mam pojęcia.

Sheila, zaciekawiona, podeszła bliżej. Poczułam, jak ciągnie mnie za spodnie.

- Pokaż mi. Odsunęłam ją delikatnie.

- Zaczekaj.

Przyciągnęła sobie krzesło i weszła na nie, żeby popatrzeć na kulki.

- Pokaż.

- Wiesz co - odezwał się Anton, biorąc do ręki serwetkę z zawartością - może to zabrzmiało głupio, ale mnie to przypomina królicze bobki.

- Anton, przecież kulki są kolorowe - odparłam.

- Tak, ale popatrz na środki. Są inne?

Nie mogłam powstrzymać śmiechu. Sytuacja wydała mi się absurdalna.

Sheila balansowała niebezpiecznie na krześle z jedną dłonią opartą na moim ramieniu, a drugą na mojej szyi.

- Pokaż mi, Torey.

Anton odwrócił się w jej stronę i pokazał jej serwetkę. Ujrawszy jej zawartość, odskoczyła nagle do tyłu, tracąc równowagę, i runęła razem z krzesłem.

- Nic ci nie jest? - zapytała ją, kiedy się podniosła. Potrząsnęła głową.

Wyraz jej twarzy wydał mi się podejrzany. A właściwie nie podobało mi się to, że wyraźnie unikała mojego spojrzenia.

- Sheilo, wiesz coś na ten temat? Co to za kulki?

W odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami i zrobiła krok do tyłu.

Anton posłał jej surowe spojrzenie.

Wreszcie podniosła wzrok. Oblicze niewinne jak u aniołka. Wielkie, okrągłe oczy, kosmyki włosów, które wymknęły się z warkocza, rozrzucone wokół twarzy. Cofała się powoli z dolną wargą schowaną między zębami. Tak niewinna mina u Sheili oznaczała winę.

- Sheilo, chcę, żebyś mi to wyjaśniła - powiedziałam. Nic nie odpowiedziała.

- Wiemy już, że ty wiesz - dodał Anton. Patrzyliśmy na siebie.

- Sheilo - przemówiłam najsurowszym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć. Wyglądała bardzo niewinnie w obliczu tak oczywistej winy. Jej zachowanie stało w jawnej sprzeczności z jej spojrzeniem.

- Myślę, że w końcu powiesz nam coś na ten temat, dziecinko.

Sheila utkwiała wzrok w wilgotnej serwetce pełnej kolorowych kulek, którą pani Crum położyła wcześniej na stole. Czułam, jak jej plecy napierają na moją rękę, więc przytrzymałam ją mocniej.

- Sheilo, moja cierpliwość się kończy. Chyba nie chcesz, żebym się rozgniewała. Freddie mógł się przez to rozchorować. Powiedz natychmiast, co to jest?

- Królicza kupa - odpowiedziała cicho.

- Ale dlaczego jest kolorowa?

- Pomalowałam farbami.

Anton nie wytrzymał i zaczął chichotać. Po chwili spróbował się opanować, zakrywając usta dłonią.

- Na litość boską, Sheilo - powiedziałam - dlaczego malowałaś królicze bobki?

- Żeby je dać Whitney.

Okazało się, że obie z Whitney planowały kolejnego psikusa. Z okazji Wielkanocy przygotowaliśmy w naszej klasie dużą mozaikę, która miała zostać zawieszona w głównym holu szkoły z okazji Dnia Rodzica. Zatytułowana była „Śladem królika”. Najwyraźniej Whitney uznała, że zabawnie będzie zamienić elementy mozaiki na malowane królicze odchody. Czysto sztubacki humor. Sheila otrzymała zadanie wydobywania odchodów Cebulki,



który nie lubił, gdy ktoś zaglądał do jego klatki. Następnie malowała je i odkładała do wysuszenia w szafce pod zlewem, do której mało kto zaglądał. Freddie odkrył pewnie jej poczynania i wziął malowane kulki za cukierki. Dlatego je zjadał. Sądząc z tego, w jaki sposób Sheila relacjonowała swoją opowieść, ostatni tydzień musiał być dla niej bardzo stresujący. Cebulka złościł się, Whitney siedziała w domu chora, a zapasy malowanych bobków topniały. Nic dziwnego, że zastałam ją ciskającą przekleństwa pod zlewem.

Anton z trudem powstrzymywał śmiech. Zaciskał mocno usta i wywracał oczyma, udając, że pokasłuje w złożone dłonie. Natomiast pani Crum nie dostrzegła w całej sytuacji niczego zabawnego. Zachowałabym się pewnie podobnie, gdyby chodziło o mojego syna. Nie mieliśmy pojęcia, czy połknięte kulki były toksyczne. Farbki z pewnością nie, lecz nie wiedzieliśmy nic na temat króliczych odchodów. Anton poszedł zatelefonować do centrum zatruc. Nie martwiłam się zbytnio, ponieważ wyszłam z założenia, że nie mogło stać się nic groźnego, skoro Freddie jadł kulki przez ostatnie kilka dni i nie zauważono żadnych efektów poza wymiotami. Poza tym kulki, którymi wymiotował, pozostawały nie pogryzione i nie przetrawione.

Spojrzałam na Sheilę i wskazałam na cichy kąt. Poszła bez słowa, lecz z jej ust wydobywały się głębokie, melodramatyczne westchnienia. Anton, po rozmowie z centrum zatruc, zapewnił panią Crum, że Freddiemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Przeprosiłam ją za głupotę dzieci i odprowadziłam do drzwi.

Po naradzie z Antonem doszliśmy do wniosku, że trzeba natychmiast wezwać Whitney. Mieszkała niedaleko szkoły, więc uznaliśmy, że lepiej będzie zająć się całą sprawą pod nieobecność dzieci. Wprawdzie miał to być tylko żart, lecz o poważnych konsekwencjach. Postanowiłam porozmawiać z Whitney i definitywnie wyjaśnić całą sprawę.

Anton poszedł zatelefonować do Whitney, a ja udałam się do cichego kąta. Sheila podniosła wzrok.

- Posłuchaj, niedługo przyjedzie twój autobus. Ubierz się i przygotuj. Nie mamy czasu z Antonem, żeby cię dzisiaj odprowadzić, więc musisz sobie poradzić sama. Nie chciałabym usłyszeć od kogokolwiek, że były z tobą jakieś kłopoty. Zrozumiano?

Sheila skinęła głową.

- Do widzenia. Do jutra.

- Przepraszam.

- W porządku. Rozmawialiśmy już o tym i sprawa jest zakończona.

- Ty wściekła na mnie?

- Jakoś to przeżyję. Wiem, że miał to być żart i nie chciałyście wyrządzić nikomu

krzywdy. Ale rozumiesz chyba, że było to dość głupie, więc zapomnijmy o wszystkim.

Sheila wstała, lecz nie ruszyła się z miejsca.

- Idź już, bo spóźnisz się na autobus.

- Ty wściekła na mnie?

- Nie, Sheil. Nie jestem wściekła na ciebie. Idź już.

- To dlaczego się nie uśmiechasz, jeśli nie jesteś wściekła? - Jej twarz wyrażała niepokój.

Przyklękłam i przytuliłam ją mocno, po czym pocałowałam głośno w policzek.

- Nie ufasz mi całkiem, prawda? - Odgarnęłam jej grzywkę z czoła. - Nie chcesz iść do domu ponieważ boisz się, że jestem na ciebie zła. Wiedziałam, że nie zrobiłaś tego celowo, więc nie jestem aż tak bardzo zła. Martwiłam się tylko o Freddiego, a kiedy się czymś niepokoję, wtedy wyglądam, jakbym się złościła. Ale już po wszystkim, w porządku?

Skinęła głową.

- Dobrze. W takim razie zmykaj, bo ci ucieknie autobus.

Potem przyszła kolej na Whitney. Pojawiła się w towarzystwie swojej matki dziesięć minut po wyjściu Sheili. Nie miałam zamiaru robić aż tak wielkiej sprawy. Zamierzałam tylko z nią porozmawiać. Nie byłam zła. Tak jak mówiłam Sheili, martwiłam się głównie i trochę było mi wstyd przed panią Crum. Chodziło mi tylko o to, żeby uświadomić Whitney potencjalne niebezpieczeństwo całej sytuacji. Za to matka Whitney zrobiła z tego przestępstwo federalne.

Wywnioskowałam, że Anton naświetlił jej sprawę przez telefon. Tak więc wpadła do szkoły, ciągnąc za sobą Whitney, jakby prowadziła małą dziewczynkę. Była to wysoka kobieta o mocno natapirowanych blond włosach. Natychmiast po wejściu do klasy zażądała, abym opowiedziała jej, co się wydarzyło. Wyjaśniłam najlepiej, jak potrafiłam. Wtedy ona odwróciła się do Whitney rozgniewana. Nie potrafiłabym rozgniewać się tak bardzo, nawet gdyby Freddie umarł.

- Pani Blake? Pani Blake? - usiłowałam ją powstrzymać. - Porozmawiajmy przez chwilę... pani Blake? Anton także próbował odwrócić jej uwagę.

- Pani Blake, może napije się pani kawy?

Przez cały czas Whitney siedziała na jednym z malutkich krzesełek i pochlipywała.

Nie pamiętam już, jak udało nam się zmusić jej matkę, żeby się zamknęła, ale ostatecznie Anton zaprowadził ją do pokoju nauczycielskiego i poczęstował kawą. Dostała, co jej się należało. O tej porze w dzbanku mogła być tylko kawa, która stała tam od rana.

Zostałyśmy same z Whitney. Czułam się trochę zażenowana faktem, że musiała słuchać rozmowy matki ze mną. Ona pewnie czuła się poniżona. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Przyniosłam paczkę chusteczek i położyłam je na stole. Nie wiedziałam, czy mam ją przeprosić. Wymamrotałam coś, że pójde powkładać do szafek prace dzieci, a ona tymczasem niech się uspokoi.

Kiedy wróciłam, usiadłam przy niej i objęłam ją. Whitney odwróciła się w moją stronę i chwyciła mnie mocno. Pod nieoczekiwanym naporem jej ciała moje krzesło zachwiało się, lecz zdążyłam ją objąć; czułam, jak bardzo potrzebuje pociechy.

- Posłuchaj, nie jest tak źle. - Odgarnęłam włosy z jej twarzy. - Ani Anton, ani ja nie gniewamy się aż tak bardzo. Wyprostowała się i sięgnęła po kolejną chusteczkę.

- To miał być żart.

- Wiem i dlatego nie jestem zła na ciebie. Nie chciałam pakować cię w takie kłopoty. Wierz mi, gdybym wiedziała, że sprawy tak się potoczą, nie dzwoniłobyśmy do ciebie.

- Och, moja mama wścieka się o wszystko.

- Tak, ale nie było o co. Chciałam ci tylko powiedzieć, że musisz tutaj bardziej uważać. To nie są zwykłe dzieciaki i musisz zachować większą ostrożność.

Przytaknęła mi i otarła łzy.

- Dzieci takie jak Freddie nie wiedzą, co jest do jedzenia, a co nie. A Sheila jest jeszcze za mała, żeby zrozumieć, że nie powinna robić czegoś takiego.

- Nie chciałam, żeby komuś coś się stało.

- Wiem, kochanie. I tym razem nikt nie ucierpiał, ale mógł. To był tylko głupi, nie przemyślany żart. Whitney, lubię twoje poczucie humoru i to, w jaki sposób nakłaniasz dzieciaki do śmiechu. Tylko że to są inne dzieci i musimy poświęcić im więcej uwagi.

Ujęła twarz w dłonie, wpatrzona w blat stołu.

- Nigdy mi się nic nie udaje. Zawsze wszystko schrzanię.

- Wiesz, że to nie jest prawda. Tylko w tym przypadku.

- Mama mnie zabije.

- Mama nie powinna się tym martwić. To sprawa między mną a tobą. Anton zajmie się twoją mamą, a jeśli mu się nie uda, też z nią pomówię.

- Przykro mi, Torey.

- Wiem.

- Co będzie ze mną?

- Nic.

Whitney nie odrywała wzroku od stołu. Wciąż trzymałam dłoń na jej ramieniu i czułam ciepło jej ciała. Siedziałyśmy tak długą chwilę w milczeniu.

- Torey, mogę ci coś powiedzieć?

- Tak.

Wciąż nie podnosiła wzroku.

- To jest jedyne miejsce na świecie, w którym lubię być. Wszyscy mi przez to dokuczają. Stale mi gadają: Dlaczego ciągle tam siedzisz z bandą zwariowanych ludzi, pytają? Myślą, że ja też jestem zwariowana. Wiesz, nie tak śmiesznie szalona, ale tak naprawdę, umysłowo. Bo dlaczego chcę ciągle tu przychodzić?

- W takim razie podobnie myślą o mnie i o Antonie. My też musimy być zwariowani.

- Czy ludzie mówią ci to czasem? - Po raz pierwszy spojrzała na mnie.

- Nie, ale podejrzewam, że wielu tak myśli.

- Dlaczego jesteś tutaj?

- Pewnie dlatego, że lubię uczciwe związki - uśmiechnęłam się. - A jak dotąd jedynymi ludźmi, którzy wydali mi się wystarczająco uczciwi, są dzieci albo szaleńcy. Więc to jest chyba moje miejsce.

Whitney skinęła głową.

- Tak, mnie też się podoba, że wszyscy tutaj pokazują, co naprawdę czują. Dlatego jeśli cię ktoś nienawidzi, przynajmniej wiesz o tym. - Uśmiechnęła się słabo. - Zabawne, ale czasem te dzieci wydają mi się mniej zwariowane niż normalni ludzie. To znaczy... - Nie dokończyła.

- Wiem, co masz na myśli - przytaknęłam jej.

W domu Chad oczekiwał mnie wyraźnie zniecierpliwiony. Zauważyłam, że przyniósł z chińskiej restauracji kilka porcji kurczaka z grzybami i warzywami.

- Gdzieś ty się podziewała? Już siódma. - Próbował podgrzewać jedzenie, wsadzając do rondla porcje w kartonie. Czulałam zapach przypalonego papieru.

- W szkole.

- Do tej pory? Jezu. Jestem w domu już od godziny. Co ty tam robiłaś?

- Jedno z dzieci wymiotowało w domu kolorowymi kulkami i matka podejrzewała, że jej syn zjadał je w szkole. Przyniosła więc serwetkę pełną tych kulek.

Chad zachichotał. Odwrócił się, by przestawić jedzenie. Widziałam, jak trzęsą mu się ramiona.

- Zbadaliśmy z Antonem dokładniej kulki i okazało się, że są to królicze bobki.

Teraz już Chad śmiał się głośno, a ja razem z nim.

- Sheila wybierała je z klatki Cebulki i malowała farbami. Nie mam pojęcia, kiedy to robiła. W każdym razie Freddie wypatrzył je i zjadał. Pewnie myślał, że to słodycze.

Śmiałyśmy się tak bardzo, że z trudem dokończyłam swoją opowieść. W kuchni unosił się zapach przypalonego papieru, a po naszych policzkach płynęły łzy. Bolały mnie już boki, a

my wciąż się śmialiśmy.

- Przykro mi, że w ogóle pytałem - wydusił z siebie Chad.

- A mnie nie - odparłam.

Do rozmowy, której oczekiwałam z niepokojem, doszło ostatecznie w trzecim tygodniu marca. Podeszłam do telefonu i usłyszałam w słuchawce niski, tubalny głos Eda Somersa. Wyczułam, że to on, już w chwili, kiedy sekretarka wezwała mnie do telefonu. Wiedziałam, co powie, zanim jeszcze się odezwał.

- Torey, dzwonił do mnie wczoraj dyrektor. Mają miejsce w szpitalu stanowym.

Serce zabiło mi mocniej, kiedy to powiedział. Waliło tak głośno, że z trudem słyszałam, co do mnie mówi.

- Ed, przecież ona wcale nie musi tam iść.

- Tor, mówiłem ci, że jest w twojej klasie tylko tymczasowo. Sąd postanowił, że pójdzie do szpitala, gdy tylko zwolni się miejsce. Nie mamy tu nic do gadania. Przyszła do ciebie tylko na jakiś czas.

- Ale ona tak bardzo się zmieniła. To nie to samo dziecko. Ed, ona się zmarnuje w szpitalu.

- Posłuchaj, wszystko zostało postanowione, zanim się w to zaangażowaliśmy. Rozmawialiśmy o tym. Idzie tam dla własnego dobra. Popatrz tylko, w jakich warunkach mieszka. I tak nie ma tam żadnych szans. Nie muszę ci mówić, Tor. Pracujesz z tymi dziećmi na co dzień. Nikt nie wie lepiej od ciebie, ile potrafi znieść taki dzieciak.

- Ale ona nie zniesie, Ed - zawołałam. - Ma ogromny potencjał. Da sobie radę. Nie może pójść do szpitala.

Usłyszałam pomruki zniecierpliwienia i zapadła cisza, podczas gdy Ed zapalał papierosa.

- Tor, robisz cholernie dobrą robotę z tymi dziećmi. Powiem ci szczerze, że czasem nie rozumiem, jak ty sobie z nimi radzisz. Jednak w tym przypadku poszłaś za daleko. Za bardzo się zaangażowałaś. Zauważyłem to już po styczniowym incydencie. Wszystko zostało już postanowione, zanim przyszła do nas.

- Więc odkręć wszystko.

- To nie leży w sferze moich kompetencji. Po wypadku z podpaleniem władze stanowe zdecydowały o jej przyszłości. Musieli jakoś uspokoić rodziców tamtego chłopca, nie było innej możliwości.

- Ed, to absurdalne. Boże Wszechmogący, ona ma sześć lat. Tak nie można.

- Wiem, co czujesz, Torey, naprawdę. Strasznie mi przykro, że tak to się musi skończyć,

ponieważ wiem, jak bardzo się nią przejmujesz. Niestety, mamy decyzję sądu. Oboje wiedzieliśmy, jaki będzie koniec. Przykro mi.

Nie miałam dość sit, żeby wrócić do klasy, gdzie bawiła się Sheila, więc poszłam do pokoju nauczycielskiego. Próbując powstrzymać łzy, napiłam się kawy, której normalnie nie tykam. Ed miał rację. Za bardzo się zaangażowałam. Za bardzo przejmowałam się Sheila. Nie potrafiłam wyrazić słowami swoich uczuć. Siedzący dookoła mnie nauczyciele rozmawiali o swoich planach, projektach, o szkolnym festiwalu. Wreszcie wstałam i poszłam do klasy, by uciec od ich wesołości.

Anton spojrział tylko na mnie i od razu się domyślił. Skinął na Sheilę i poprosił, aby przyszła do jego stołu i pomogła mu przygotować materiały na następny dzień. Zatrzymałam się na progu i rozejrzałam po klasie. Niezbyt imponująca na pierwszy rzut oka, pomyślałam. Za długa, za wąska, za ciemna, za dużo klatek ze zwierzętami, które było czuć, za dużo poduszek, które dawno już zgubiły większość ze swoich piór. Nie było nawet miejsca na biurko dla nauczyciela. W tamtej chwili bardzo by mi się przydało, ponieważ mogłabym się za nim schować. Nie musiałabym nic mówić, gdyż sama jego obecność krzyczałaby: ZOSTAWCIE MNIE W SPOKOJU. Ale go nie miałam. Poszłam w ką, za klatki, i osunęłam się ciężko na poduszki.

Po chwili Sheila stała już nade mną i przyglądała mi się uważnie.

- Nie jesteś szczęśliwa. - Stała z rękoma w kieszeniach spodni. Jak bardzo urosła, pomyślałam. Nogawki kończyły się jakieś dwa cale nad jej butami. A może zawsze nosiła takie krótkie spodnie, tylko ja nigdy tego nie zauważyłam?

- Nie, nie jestem szczęśliwa.

- Dlaczego?

- Chodź do mnie, Sheilo - zawołał Anton. Sheila nie ruszyła się z miejsca; wciąż świdrowała mnie oczami, próbując zajrzeć do moich myśli. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście zbyt się zaangażowałam. Wydawała mi się taką piękną dziewczynką. Pewnie dla kogoś postronnego nie różniła się od tysięcy innych dzieci. Lecz dla mnie Sheila znaczyła więcej niż wszystkie inne razem wzięte. Pokochałam ją, chociaż nie miałam takiego zamiaru. Dlatego stała się dla mnie taka ważna. Poczułam, że łzy napływają mi do oczu.

Sheila przyklękła i patrzyła na mnie zaniepokojona.

- Dlaczego płaczesz?

- Po prostu nie jestem szczęśliwa. Przyszedł Anton i postawił ją na nogi.

- W porządku, Anton. Nic mi nie jest. - Kiwnął głową i odszedł.

Sheila przyglądała mi się długą chwilę. Nie potrafiłam powstrzymać łez. Nie potrafiłam

też spojrzeć na nią. Nie chciałam, żeby się przestraszyła, widząc, w jakim jestem stanie.

A ona wciąż stała z boku i patrzyła na mnie. Potem podeszła bliżej i usiadła przy mnie. Ostrożnie dotknęła mojej dłoni.

- Może poczujesz się lepiej, jak cię potrzynam za rękę. Czasem to pomaga.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Wiesz, dziecinko, kocham cię. Zawsze o tym pamiętaj. Kiedy przyjdą takie chwile, gdy zostaniesz sama albo będziesz się bała lub wydarzy się coś złego, pamiętaj, że cię kocham. Nic więcej nie można zrobić dla drugiej osoby.

Zmarszczyła brwi. Nie rozumiała w pełni znaczenia moich słów. Pewnie nie liczyłam na to, była jeszcze taka mała. Mimo to czułam, że muszę jej to powiedzieć. Chciałam mieć pewność, dla własnego spokoju, że ona wie, iż zrobiłam wszystko, co mogłam.

Przewróciłam się na bok w łóżku, żeby popatrzeć naChad. Przez cały wieczór oglądaliśmy telewizję i nie rozmawialiśmy ze sobą. Byłam zbyt zaabsorbowana własnymi myślami. Nie opowiedziałam mu o tym, co się działo, lecz w miarę upływu czasu mój umysł poradził sobie z szokiem i pracował coraz spokojniej.

- Chad?

Spojrzał na mnie.

- Czy można prawnie zakwestionować to, co zamierzają zrobić z Sheila?

- Co masz na myśli?

- No, wiesz. Czy można przeciwstawić się decyzji sądu. Mógłby to zrobić ktoś taki jak ty? Ktoś, kto nie jest jej opiekunem.

- Ty chcesz się przeciwstawić?

- Ktoś musi. Myślę, że władze oświatowe by mnie poparły. Tak mi się wydaje.

- Chyba mogłabyś spróbować.

- Nie wiem tylko, od czego zacząć. Do kogo się udać? Sąd wyznaczył jej miejsce w szpitalu, ale chyba nie można pozwać sądu? Nie mam pojęcia, jak to ugryźć.

- Myślę, że trzeba by doprowadzić do przesłuchania w obecności jej ojca, rodziców tamtego chłopca i jej kuratora. Wszystko musi iść swoim torem. Wiesz o tym.

Nie wiedziałam. Moje pojęcie o systemie prawnym było równie mgliste jak moja wiedza na temat teorii względności. Nie chciałam jednak, aby Chad tak pomyślał.

- Chad, przyjąłbyś tę sprawę?

- Ja? - Uniósł brwi. Przytaknęłam.

- Nigdy dotąd nie zajmowałem się czymś takim. Tobie potrzeba kogoś, kto się specjalizuje w tej dziedzinie. Tor, moja praca dotąd polegała na wyciąganiu pijaczków z



więzienia.

- A zatem twoje doświadczenie i moje konto w banku mają wiele wspólnego - uśmiechnęłam się. - Podejrzewam, że jeśli wniosę pozew, będę musiała za to zapłacić.

Chad przewrócił oczami.

- Jeszcze jedna sprawa za dziękuję? Dlaczego nikt nigdy nie obiecał mi, że będę bogaty?

- Kiedyś będziesz, ale jeszcze nie w tym roku.

Kiedy nasz inspektor dowiedział się o tym, że wynajęłam prawnika, który ma zbadać sprawę, natychmiast zwołał zebranie. Po raz pierwszy miałam okazję poznać osobiście panią Barthuly, poprzednią nauczycielkę Sheili. Była to drobna kobieta po czterdziestce o delikatnym uśmiechu. Sama mam pięć stóp i dziewięć cali, więc kiedy stanęłam nad nią ubrana w levisy i tenisówki, natychmiast zrozumiałam, jak wielkim wyzwaniem musiała być dla niej Sheila. Ona nosiła szal w stylu Anne Klein oraz buty na grubej podeszwie i wyglądała niczym modelka z reklamy mody na kanale piątym. Z pewnością trudno jej było zbliżyć się do cuchnącej, grubiańskiej Sheili.

Przyszedł Ed Somers, a także Allan, psycholog, pan Collins, Anton, dyrektor i nauczycielka ze świetlicy, która miała do czynienia z Sheilą w przedszkolu w poprzednim roku. Początkowo nie czułam się zbyt pewnie. Dyrektor, który nie znał moich powiązań z Chadem, uznał, że przekroczyłam swoje kompetencje, udając się do prawnika bez wcześniejszych konsultacji z nim. Może i miał rację. Wyjaśniłam mu, że rozmawiałam o sprawie z Edem, który stwierdził, że nic nie możemy zrobić, więc skorzystałam z dostępnych mi środków prawnych.

Na początku zebrania atmosfera była dość napięta, lecz z czasem uspokoiła się. Zaprezentowałam przykłady prac Sheili oraz taśmy wideo, które przygotował Anton. Allan przedstawił wyniki swoich testów. Poprzednie nauczycielki Sheili wyraziły swój podziw. Nawet pan Collins przyznał, że zachowanie Sheili uległo znacznej poprawie, co mnie bardzo zdziwiło, gdyż sądziłam, że uzna całą sprawę za moje kolejne szaleństwo. Nieoczekiwanie poczułam przyływ sympatii wobec jego osoby, kiedy przemawiał.

Inspektor okazał się mniej entuzjastycznie nastawiony i stwierdził, że nie mamy nic do powiedzenia z powodu wydarzenia z podpaleniem. Mimo to nie omieszkał wyrazić swojego podziwu dla postępów Sheili oraz jej ilorazu inteligencji. Ostrożnie poparł mój wniosek, w którym stwierdziłam, że szpital stanowy nie jest właściwym miejscem dla Sheili. Utrzymywałam też, że może ona pozostać w szkole publicznej i nie będzie stanowiła zagrożenia dla innych uczniów. Potem poprosił, aby Chad skontaktował się z nim. Wprawdzie nalegał, aby zachować spokój i rozwagę w całej sprawie, lecz ja czułam rozpierającą mnie

radość.

Kolejną ważną osobą, którą należało się zająć, był ojciec Sheili. Anton wyruszył na poszukiwania. Gdy tylko zauważył, że jest w domu, natychmiast do mnie zatelefonował i od razu pojechałam tam z Chadem.

Także i tym razem był pijany. Tym razem bardziej, dlatego był w trochę lepszym nastroju.

- Stanowy szpital nie jest odpowiednim miejscem dla Sheili - wyjaśniłam mu. - Bardzo dobrze radzi sobie w szkole i być może w przyszłym roku mogłaby wrócić do normalnej klasy.

Przechylił lekko głowę.

- Dlaczego panią obchodzi, co chcą z nią zrobić? Pytanie to zabrzmiało jak echo tego, o co często pytała mnie Sheila. Dlaczego się nią przejmuję?

- Ma pan wyjątkową córkę - odparłam. - Umieszczenie jej w szpitalu nie wyjdzie jej na dobre. Nie chcę na to patrzeć, ponieważ moim zdaniem ona może mieć normalne życie.

- Ta dziewczyna jest zupełnie zwariowana. Mówili pani, co zrobiła, no nie? O mało co nie spaliła tamtego dzieciaka.

- Ona nie musi być zwariowana. I nie jest. Nawet w obecnym stanie nie jest zwariowana. Ale będzie taka, jeśli pójdzie do szpitala. Jej stan ulegnie pogorszeniu. Nie chce pan przecież, żeby pańska córka wylądowała w szpitalu stanowym.

Westchnął głęboko. Nie rozumiał mnie. Przez całe życie ludzie wciąż go gnębili. Zawsze wszystko było źle. On miał kłopoty, Sheila miała kłopoty. Nauczył się nie ufać nikomu. Podobnie jak i jego córka. Na tym świecie tak było dla nich bezpieczniej. A teraz przyszłam ja i on mnie nie rozumiał.

Rozmawialiśmy długo w noc. Chad i Anton popijali z nim piwo, a ja robiłam notatki. Sheila, która tak samo jak poprzednio obserwowała nas z kąta, zasnęła na podłodze. Nie wiedziałam, czy rozumiała, po co tam przyszłam i co się dzieje. Nie opowiadałam jej zbyt wiele, ponieważ nie chciałam jej niepotrzebnie przestraszyć, nie chciałam też robić jej nadziei. Po tamtym wieczorze łudziłam się, że coś rozumiała. Sądziłam, że tak byłoby lepiej.

Ostatecznie ojciec Sheili przyznał nam rację. Udało nam się go przekonać, że nie chodzi tu o żadną „dobroczynność” czy podstęp. Wierzyłam, że jeśli nie skapitulujemy zbyt szybko, wreszcie zrozumie, o co nam chodzi. Wierzyłam, że pod zewnętrzną skorupą zostało mu jeszcze trochę ojcowskiego instynktu. Kochał Sheilę na swój sposób i tak samo jak ona potrzebował odrobiny współczucia.

Był to dziwny wieczór. Wszyscy mieliśmy trochę w czubie. Wydawało mi się, że Chad najlepiej potrafił dogadać się z ojcem Sheili, pewnie dlatego, że wielu spośród jego klientów

było bardzo do niego podobnych. Poklepywali się po plecach, a kiedy usiłowałam skierować rozmowę na ważne tory, częstowali mnie i Antona kolejnym piwem. W pewnym sensie cieszyłam się, że poruszyliśmy temat szpitala. W ten sposób zmuszeni zostaliśmy do określenia swojego miejsca w życiu Sheili, co wydawało się dobre dla wszystkich.

Przesłuchanie odbyło się w ostatnim dniu marca. Był to ponury, zimny i wietrzny dzień, który zapowiadał kwietniowy śnieg. Niezbyt dobry, by podnieść kogoś na diichu. Oboje z Antonem musieliśmy wziąć wolne popołudnie. Towarzyszył nam pan Collins. Zaskoczył mnie, kiedy przyszedł rano do mojej klasy i rozmawiał ze mną w bardzo przyjaznym nastroju. Zdumiała mnie zmiana, jaka w nim zaszła. Pewnie dlatego, że po incydencie w klasie pani Holmes zachowałam jednowymiarowy obraz jego osoby, tak jak to robią dzieci. Początkowo nie ufałam mu i zastanawiałam się, co mogło być przyczyną jego odmiany. Podejrzewałam, że może broni tylko własnego interesu. Jednak po dłuższym zastanowieniu doszłam do wniosku, że na swój sposób troszczy się o dzieci w takim samym stopniu jak ja. Nawet o Sheilę.

Przesłuchanie miało charakter zamknięty. Po drugiej stronie sali siedzieli rodzice małego chłopca oraz ich prawnik. Kręciło się też wielu urzędników, zarówno stanowych, jak i z władz okręgu. Po naszej stronie siedział Anton, Allan, pani Barthuly, Ed i inspektor. Ojciec Sheili spóźnił się, ale przyszedł, i to trzeźwy. Serce mnie zabolowało, kiedy go ujrzałam. Miał na sobie garnitur, którego nie chcieli pewnie nawet w punkcie z darami. Nitki w szwach były postrzępione, marynarka poplamiona i wytarta, połatanie spodnie. Jego ogromny brzuch wypychał mocno z przodu guziki marynarki. Nie miałam wątpliwości, że stara się wyglądać porządnie. Twarz miał ogoloną i cuchnął potwornie taną wodą po goleniu.

W holu, przed salą, na twrdziej dębowej ławce siedziała Sheila. Chad uznał, że lepiej będzie, jeśli przyjdzie z nami. Liczył się z tym, że może jej potrzebować, gdyby sprawy nie poszły po naszej myśli.

Przyszła ubrana jak zawsze w dżinsowe spodnie na szelkach i podkoszulek. Bardzo chciałam ubrać ją ładniej, ale nie było czasu. Dlatego w czasie lunchu wykąpałam ją w zlewie i wyczesalam jej włosy. Przynajmniej była czysta. Ponieważ musiała sama siedzieć na korytarzu, więc przynieśliśmy jej kilka książek. Jednak kiedy sędzia dowiedział się, że dziecko, o którym jest mowa w rozprawie, pozostało bez opieki, posłał do niej jednego z urzędników.

Przesłuchanie przebiegało zupełnie inaczej, niż się tego spodziewałam. Nigdy wcześniej nie byłam w sądzie, a cała moja o nim wiedza pochodziła z telewizji. To, co zobaczyłam, w niczym nie przypominało telewizyjnej rozprawy. Prawnicy przemawiali bardzo spokojnie i każde z nas przedstawiło swój materiał. Przyniosłam taśmy wideo, aby pokazać, jakie postępy poczyniła Sheila w czasie trzech miesięcy, które z nami spędziła. Allan

kilkakrotnie wspominał o wynikach testów. Ed mówił o specjalnych programach, według których mogłaby być prowadzona Sheila, gdyby uznano, że wciąż wymaga specjalnej opieki w szkole publicznej.

Potem rodzice małego chłopca odpowiadali na pytania dotyczące listopadowego wypadku. Pytano też ojca Sheili, w jakim stopniu zajmował się córką i czyjego zdaniem jej zachowanie uległo poprawie w ostatnim czasie. Bardzo spokojne przesłuchanie. Nikt nie podnosił głosu. Nikt nie wydawał się nawet zaangażowany uczuciowo w sprawę. Spodziewałam się czegoś zupełnie innego.

Potem poproszono nas, abyśmy opuścili salę, i dalej obradowali już tylko prawnicy i sędzia. Byłam bardzo dumna z Chada. Nasz związek trwał już dość długo, ale nigdy nie miałam okazji zobaczyć go przy pracy. Teraz ujrzałam przed sobą kogoś zupełnie innego niż mężczyzna, który siedzi wyciągnięty na kanapie i ogląda telewizję. Wydawał się taki pewny siebie, taki swobodny. Byłam dumna z niego dlatego, że przyjął sprawę, która nie miała mu przynieść żadnych korzyści, a także dlatego, że zamienił moje szalone pragnienia w rzeczywistą szansę zatrzymania przy nas Sheili.

Trochę dalej na ławce siedzieli rodzice chłopca. Widziałam napięcie na ich twarzach. Zaciśnięte usta, niewidzące oczy wpatrzone w dal. Zastanawiałam się, co myślą. Nie potrafiłam tego odczytać z ich twarzy. Czy mieli dość litości, aby wybaczyć Sheili? Czy też wciąż odczuwali smutek i strach? A może gdzieś w głębi serca pragnęli, aby jej życie pozostało równie okaleczone jak życie ich syna? Nie potrafiłam tego odgadnąć, patrząc na nich.

Ojciec chłopca odwrócił głowę i przez chwilę nasze spojrzenia spotkały się. Szybko spojrzeliśmy w inną stronę. Oni nie byli złymi ludźmi. Nie potrafiłabym ich nienawidzić. Kiedy składali zeznania, mówili spokojnym głosem pozbawionym gniewu. Jeśli dało się coś odczytać z ich słów, to raczej smutek. Smutek z powodu tego, że doszło do powtórnej rozprawy, że znowu musieli przyjść do sądu, że to dziecko po raz kolejny wkroczyło w ich życie. Próbowałam nawet wzniecić w sobie nienawiść do nich. Łatwiej byłoby mi wtedy przyjąć decyzję sądu bez względu na to, jaka by była. Ale nie potrafiłam. Zrobili tylko to, co uważali za najlepsze. Jeśli w ogóle można było im coś zarzucić, to może tylko ignorancję wobec choroby umysłowej. I strach. A teraz sędzia, człowiek, który nie znał nikogo z nas ani dzieci, będzie rrtusiał zdecydować w sprawie, w której nie może być jednoznacznego wyroku. Zastanawiałam się, jak oni się czują. Żałowałam, że nie mam odwagi, by wstać, podejść do nich i zapytać o to. Żałowałam, że nie można było załatwić tego inaczej.

Sheila siedziała u mnie na kolanach. Kiedy wyszliśmy z sali, rysowała i teraz próbowała mi o tym opowiedzieć. Denerwowało ją to, że myślami byłam gdzie indziej. Podniosła rękę i

przekręciła mi głowę.

- Tor, popatrz na mój rysunek. Ja narysowałam Susannah Joy. Zobacz, ma tę sukienkę, którą często ubiera do szkoły.

Spojrzałam na kartkę. Sheila od dawna zazdrościła Susannah Joy. Susie była jedynym dzieckiem w naszej klasie, które pochodziło z zamożnej rodziny. Nosiła zawsze nieskazitelne ubrania, wśród których szczególny podziw wszystkich wzbudzała jej ogromna kolekcja sukienek z falbankami. Sheila nie kryła swojej zazdrości. Wciąż kartkowała katalogi i wybierała sukienki, które chciałaby dostać. Nieustannie wspominała o tym w swoim dzienniku. Tydzień wcześniej znalazłam w koszyku korekcyjnym jej krótkie wypracowanie.

*Staram się najlepiej jak potrafię Torey i piszę do ciebie że odtąd będę lepsza i będę się starać obiecuję. Chcę ci powiedzieć co ja robić wczoraj. Ja czekać na tatę ho on pójsć do takiego opotyka co daje okulary. Więc ja trochę czekać i patrz.ećna okna w sklepach. Niektóre rzeczy chciałabym kupić. Niektóre bardzo ładne. Ja widzieć sukienkę całą czerwoną niebieską i jeszcze białą i ona mieć koronki i być długa i siliczna. Mówię ci torey nigdy takiej jeszcze nie mieć. Chyba mój rozmiar. Ja pytam tatę, ety mogą taką mieć, ale on mówi nie. Szkoda bo bardzo ładna a ja nigdy nie mieć prawdziwej sukienki. Mogłabym ją włożyć do szkoły tak jak Susannah Joy. Ona ma dużo sukienek. Ale nie mogłam i poszliśmy do domu a tato kupić mi M&Msy i kazać mi iść do łóżka no to poszłam.*

To krótkie wypracowanie na swój zabawny, nie dający się ująć w słowa sposób zasmuciło mnie. Była to jedna z najsmutniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek napisała. Ale Sheila żyła dalej. Wiedząc, że nie może mieć sukienki, pogodziła się z tym i nie przestawała marzyć.

Sheila objaśniała mi kolejne szczegóły swojego rysunku. Jednak zorientowała się, że myślami jestem gdzie indziej. Nie wzywano jej na salę, co przyjąłabym za dobry znak, lecz ona wyczuwała napięcie między nami.

Wreszcie drzwi sali otworzyły się. Gdy tylko ujrzałam twarz Chada, od razu wiedziałam, jaka zapadła decyzja. Zatrzymał się kilka kroków przed nami. a na jego ustach czaił się kontrolowany uśmiech.

- Wygraliśmy - oświadczył i dopiero wtedy uśmiechnął się szeroko.

Zerwaliśmy się z miejsc i zaczęliśmy tańczyć, ściskając się nawzajem.

- Wygraliśmy! Wygraliśmy! Wygraliśmy! - wrzeszczała Sheila, pląsając między nogami dorosłych. Rozśmieszyła nas swoim entuzjazmem, chociaż nie byłam pewna, czy zdawała sobie w pełni sprawę ze znaczenia swoich słów.

- Chyba trzeba to uczcić, co wy na to? - spytał Chad i nałożył swój trenecz. - A może

pójdziemy do Shakeya i zamówimy największą pizzę, jaką tam podają?

Pozostali wychodzili wolno. Zerknęłam na rodziców chłopca, którzy także wkładali płaszcze. Po raz kolejny żałowałam, że nie mam odwagi, aby przebyć te dwadzieścia stóp i porozmawiać z nimi. Chad mówił coś do mnie o pizzy, Sheila podskakiwała, ciągnąc mnie za pasek, a ludzie ze szkoły żegnali się głośno.

- Co ty na to? - zapytał ponownie Chad. - Idziemy czy będziesz tu stać przez całe popołudnie? - Szturchnął mnie. Odwróciłam się do niego i skinęłam głową.

- A ty? - Chad zwrócił się do Sheili. - Chcesz pójść z nami na pizzę?

Otworzyła szeroko oczy i skinęła głową. Schyliłam się i wzięłam ją na ręce.

Ojciec Sheili zatrzymał się z boku. Sam. Dłonie wsadził do kieszeni źle dopasowanego garnituru. Stał ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wydał mi się wtedy straszliwie samotny i opuszczony. Bitwa, którą właśnie wygraliśmy, nie była jego bitwą, a Sheila nie przybiegła do niego. Przedtem czekała z nami na korytarzu i teraz cieszyła się z nami. To było nasze zwycięstwo; on nie brał w nim udziału. W przeszłości sąd kojarzył mu się z czymś złym, czego się bał. W swoim ubogim ubraniu, skropiony tanią wodą, stanowił dziwny kontrast z pracownikami szkoły i sądu. Ze smutkiem stwierdziłam, że nawet jego córka nie należała do niego. Ona była jedną z nas, on nie.

Chad musiał chyba podzielać moje odczucia, ponieważ zwrócił się do niego:

- Pójdzie pan z nami?

Wydawało mi się przez moment, że w jego oczach zaświeciła iskierka zadowolenia, lecz zaraz potrząsnął głową.

- Nie, muszę iść.

- W takim razie czy Sheila może pójść z nami? - zapytał Chad. - Odwieziemy ją do domu.

Skinął głową i uśmiechnął się, spoglądając na córkę. Wciąż trzymałam ją na rękach, a ona wierciła się radośnie, nie zwracając uwagi na ojca.

- Na pewno nie chce pan pójść z nami?

- Nie.

Patrzyliśmy na siebie przez długą chwilę, lecz nic nie połączyło brzegów dzielącej nas przepaści. Potem Chad sięgnął do kieszeni po portfel. Wyjął z niego dwudziestodolarowy banknot i wręczył go ojcu Sheili.

- Proszę. Oto pańska dola z całej tej przyjemności.

Ojciec Sheili zawahał się na moment i już myślałam, że nie przyjmie pieniędzy. Jednak wyciągnął powoli rękę i wziął banknot. Wymamrotał podziękowanie, po czym odwrócił się i

odszedł długim korytarzem.

Sheila, Chad i ja wcisnęliśmy się do małego samochodu Chada i popędziliśmy do pizzerii.

- Hej, Sheilo, jaką chcesz pizzę? - spytał Chad przez ramię.

- Nie wiem. Nigdy nie jadłam pizzy.

Nawet jeśli rzeczywiście tak było, to nikt by się tego nie domyślił, patrząc na Sheilę. Kiedy przyniesiono pizzę, zabrała się do niej jak wytrawny koneser; zajadała z roziskrzonymi oczami. Chad zamówił największą i najbogatszą pizzę, jaką znalazł w menu, do tego jeszcze dzbanek lemoniady. Był to magiczny moment. Sheila, ogromnie ożywiona, nie przestawała mówić. Bardzo zainteresował ją Chad, tak że ostatecznie wylądowała na jego kolanach, kiedy usiedliśmy wygodnie, by posłuchać pianisty. Chad zauważył, że nie spotkał jeszcze dziecka, które by zjadło tyle pizzy na raz. Sheila odpowiedziała mu, że mogłaby zjeść sto takich pizz, gdyby tylko miała dość pieniędzy, a swoje słowa przypieczętowała głośnym beknięciem.

Poza wizytą u jej ojca Chad nie widział wcześniej Sheili. Nim minął tamten wieczór, nie miałam wątpliwości, że dostrzegł w niej wyjątkową osobę. I z wzajemnością. Przez cały czas śmiali się i żartowali.

Nadszedł wieczór, a wraz z nim wieczorni goście. Zjedliśmy ogromną pizzę, opróżniliśmy dzbanek lemoniady, a do wszystkiego dołożyliśmy po porcji lodów. Tak długo słuchaliśmy pianisty, że ostatecznie namówił Chada, aby zagrał z nim na dwie ręce *Serce i duszę*. Widziałam wyraźnie, że Chad i Sheila nie mają jeszcze ochoty się rozstawać.

Chad pochylił się nad stołem i spojrzał Sheili w oczy.

- Co byś najbardziej chciała mieć ze wszystkich rzeczy na świecie? - spytał.

Zamarłam na moment, ponieważ wiedziałam, że będzie chciała mamę i Jimmiego i nastrój pryśnie.

Sheila zastanawiała się długą chwilę.

- Naprawdę czy tak na niby?

- Naprawdę. Znowu się zamyśliła.

- Chyba sukienkę.

- Jaką sukienkę?

- Taką jak Susannah Joy. Taką z koronkami.

- Naprawdę najbardziej ze wszystkiego chciałabyś sukienkę? - Spojrzenie Chada powędrowało do mnie ponad głową Sheili. Sheila przytaknęła.

- Nigdy nie dostałam sukienki. Raz pani z kościoła dała nam ubrania i tam być sukienka. Ale tata nie da mi nawet jej zmierzyć. Powiedział, że mi wtłucze, jak ją włożę, no to nie

włożyłam.

Chad spojrzął na zegarek.

- Już prawie siódma. Sklepy przy głównej ulicy zamykają chyba dopiero o dziewiątej. - Popatrzył na mnie, a potem na Sheilę. - Co będzie, jeśli ci powiem, że to twój szczęśliwy dzień?

Popatrzyła na niego pytającym wzrokiem. Wciąż nie rozumiała, o co mu chodzi.

- I co?

- To, że zaraz stąd wyjdziemy i pójdziemy kupić ci sukienkę. Co ty na to? Taką, jaką wybierzesz.

Oczy Sheili zrobiły się tak ogromne, że wydawało mi się, iż zabraknie jej twarzy. Otworzyła usta i spojrzała na mnie. Nagle zasepiła się.

- Mój tata, on nie pozwoli mi jej mieć.

- Pozwoli. Powiemy mu, że to twoja doła z całej tej zabawy. Wejść z tobą do domu, kiedy cię odwieziemy, i porozmawiam z nim.

Radość Sheili nie miała granic. Zeskoczyła z krzesła i zaczęła tańczyć między stolikami, objając się o przechodzących klientów. Potem uściskała mnie i Chada. Gdybyśmy szybko nie wyszli, pewnie zdemolowałyby cały lokal.

Następną godzinę spędziliśmy bardzo pracowicie. Z Sheila między nami zwiedziliśmy większość stoisk dwóch dużych domów towarowych. Kiedy wreszcie znaleźliśmy dział odzieży dla dziewcząt, Sheila ucichła nieoczekiwanie; wtuliwszy twarz w moją nogę, nie chciała nawet spojrzeć na sukienki. Nie jest łatwo, kiedy marzenie prawie się spełniło.

Wybrałam kilka ładnych sukienek z falbankami i zaciągnęłam Sheilę do przymierzalni. Ożwiła się, gdy tylko zostałyśmy same. Zdjęła spodnie i podkoszulek i zaczęła oglądać sukienki. W samej bieliźnie wydawała mi się taka chuda, z wcięciem i małym, charakterystycznym dla dzieci brzuskiem, który tylko podkreślał jej chudość. Mając sukienki w zasięgu ręki, była zbyt podniecona, by je przymierzyć, więc krążyła w kółko po małym pomieszczeniu. Wreszcie chwyciłam ją w pól i wcisnęłam w jedną z nich. Jak w bajce. Sheila obejrzała się dokładnie w trzech lustrach i wybiegła pokazać się Chadowi. Potrzebowałyśmy kolejne pół godziny, żeby się zdecydować, którą z sukienek wybrać. Każdą przymierzała przynajmniej cztery razy. Wreszcie wybrała białą-czerwoną z koronką wokół szyi i przy rękawach.

- Będę ją nosić codziennie do szkoły - oświadczyła podniecona.

- Wyglądasz ślicznie. Patrzyła na mnie w lustrze.

- Czy mogę pójść w niej do domu?

- Jeśli chcesz.



- Chcę!-Zawołała, lecz zaraz jej twarz posmutniała i odwróciła się do mnie. Weszła mi na kolana i dotknęła mojej twarzy. - Wiesz, co bym chciała?

- Pewnie chciałabyś mieć wszystkie trzy sukienki? Pokręciła głową.

- Chciałabym, żebyś była moją mamą, a Chad moim tatą. Uśmiechnęłam się.

- Teraz prawie tak jest, prawda? No, wiesz, to popołudnie. Prawie jakbyście byli moimi rodzicami, nie?

- Jesteśmy kimś więcej, Sheilo. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Przyjaciele to coś więcej niż rodzice, ponieważ kochamy się, dlatego że chcemy, a nie musimy. Chcieliśmy zostać twoimi przyjaciółmi.

Długo nie odpowiadała, patrząc mi w oczy. Wreszcie westchnęła i zsunęła się z moich kolan.

- Szkoda, że nie możecie być i tym, i tym. Wtedy moglibyśmy być rodziną i przyjaciółmi.

- Tak byłoby dobrze. Zmarszczyła czoło.

- Możemy udawać, że tak jest? - spytała niepewnie. -Tylko dzisiaj, dobrze? Będziemy udawać, że ty i Chad jesteście moimi rodzicami i wzięliście swoją córeczkę, żeby jej kupić sukienkę. Ma dużo w domu, ale zabraliście ją, bo chciała jeszcze jedną, a wy ją bardzo kochacie, tak?

Całe moje psychologiczne doświadczenie mówiło mi, żeby się nie zgodzić. Jednakże kiedy spojrzałam w jej oczy, nie miałam serca jej tego powiedzieć. - Chyba ten raz możemy udawać. Ale musisz pamiętać, że tylko udajemy i tylko dzisiaj.

Zerwała się na nogi i wybiegła w białiznie z przymierzalni.

- Powiem Chadowi!

Chad ucieszył się, gdy usłyszał, że w czasie naszej nieobecności został ojcem. Dobrze spisał się w swojej roli. Był to czarodziejski wieczór pełen niewypowiedzianych czarów dla nas wszystkich. Sheila zasnęła na moich rękach w drodze powrotnej, więc obudziłam ją, kiedy przyjechaliśmy do obozu emigrantów.

- No cóż, Kopciuszkule - powiedział Chad, otwierając drzwi. - Czas wrócić do domu.

Uśmiechnęła się do niego sennie.

- Chodź, zaniosę cię i opowiemy tacie, co robiliśmy. Zawahała się na moment.

- Nie chcę iść - powiedziała cicho.

- Taki miły wieczór, prawda? - odpowiedziałam. Skinęła głową. Cisza.

- Mogę cię pocałować?

- Tak. - Objęłam ją mocno i pocałowałam. Poczułam, jak jej delikatne usta dotykają

mojego policzka. Pocałowała też Chada, kiedy brał ją na rękę.

Jechaliśmy do domu w milczeniu. Zaparkowaliśmy samochód przed moim domem i siedzieliśmy w nim w ciszy. Wreszcie Chad odwrócił się do mnie, a jego oczy lśniły w blasku latarni.

- Wspaniały z niej dzieciak. Przytaknęłam mu.

- Wiesz co - powiedział. - To pewnie zabrzmiało głupio, ale ja też udawałem. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy być rodziną. Wydało mi się to takie proste. I dobre.

Uśmiechnęłam się, czując, jak otacza nas wygodna cisza.

Kwiecień przyniósł ze sobą śnieżną burzę. Chociaż wszyscy zzymali się na ten ostatni atak zimy, była to jedna z tych śnieżyc niosących ze sobą ogromne, pierzaste płatki, które tak lubimy oglądać. Śnieg sparaliżował życie w mieście, więc zamknięto szkołę na dwa dni.

Po przerwie Sheila oznajmiła podczas porannej dyskusji, że wprowadził się do nich wuj Jerry. Przedtem był w więzieniu, chociaż Sheila nie pamiętała za co, a teraz wyszedł i szukał pracy. Wydawała się podniecona obecnością nowego członka rodziny i opowiadała, jak wuj Jerry bawił się z nią w czasie burzy, kiedy jej się nudziło.

Szkolne życie szybko wróciło do normy. Wciąż pamiętaliśmy jeszcze smak zwycięstwa. Wprawdzie dzieci nie wiedziały nic o tym, co się działo, lecz ja i Anton zachowaliśmy doskonałe nastroje. Tak więc my byliśmy szczęśliwi, Sheila zaś wręcz promieniała radością, w swojej nowej sukience.

Wkładała ją codziennie i paradowała przed całą klasą, pragnąc wzbudzić taką samą zazdrość, jaką Susannah wzbudziła w niej. Opowiadała im, jak to w „dniu rozprawy” wygrała, jak poszła ze mną i Chadem na kolację, a potem dostała swoją sukienkę. Niebawem wszyscy chcieli mieć swoją rozprawę, musiałam więc poprosić Sheilę, aby przestała o tym mówić. Tak więc nie poruszała już tego tematu j podczas dyskusji z dziećmi, za to nie mówiła o niczym innym, kiedy zostawałyśmy same po szkole. Podobnie jak po moim wyjeździe w lutym, tak i teraz opowiadała o wszystkim z najdrobniejszymi szczegółami: pojechaliśmy do Shakeya, zamówiliśmy wspaniałą pizzę, a ona zjadła ogromną porcję. Potem poszliśmy kupić sukienkę i udawaliśmy, że jesteśmy prawdziwą rodziną. Wciąż przypominała kolejne szczegóły z twarzą ożywioną przeszłością. Pozwalałam jej mówić, ponieważ wydawało mi się, że działa to na nią jak najlepsza terapia. Zwróciłam także uwagę na fakt, że prawie przestała wspominać Jimmiego. Przez długie dni nie słyszałam, aby wymawiała jego imię. Tamten wieczór był chwilą czystej radości dla Sheili, którą, jak mi się wydawało, nie potrafiła się w pełni nasycić. A kiedy są one szczególnie rzadkie, ceni się je jeszcze bardziej. Dlatego słuchałam jej cierpliwie, i jeszcze raz, i jeszcze raz.

Któregoś ranka w połowie kwietnia Sheila przyszła do szkoły markotna. Anton wyszedł po nią na przystanek, ale autobus przyjechał później, więc przyszła do klasy dopiero po rozpoczęciu porannej dyskusji. Miała na sobie stare spodnie i podkoszulek i była blada. Usiadła na skraju grupy i słuchała tego, co mówią, lecz nie brała udziału w dyskusji.

W ciągu półgodzinnej rozmowy dwukrotnie wychodziła do łazienki. Bałam się, czy nie

jest chora, ponieważ wydawała mi się taka blada i spięta, ale musiałam się też zająć pozostałymi dziećmi.

Kiedy rozdawałam zadania z matematyki, zauważyłam, że Sheila znowu wychodzi do łazienki.

- Nie czujesz się dzisiaj dobrze, kochanie?

- Wszystko w porządku - odparła, po czym odebrała ode mnie zadania i usiadła przy stole. Popatrzyłam za nią. Teraz więcej mówiła i wyrażała się poprawnie, co mnie cieszyło.

Trochę później, tuż przed czasem wolnym, usiadłam przy niej, żeby jej wytłumaczyć, jak rozwiązywać nowe zadania. Posadziłam ją sobie na kolanach. Jej ciało wydało mi się dziwnie napięte. Dotknęłam jej czoła, ale nie było gorące. Jednak dziwnie się zachowywała.

- Co się dzieje, Sheilo? Potrząsnęła głową.

- Jesteś cała spięta.

- Nic mi nie jest - zapewniła mnie i pochyliła się nad arkuszem z matematyki.

Pod koniec lekcji zsadziłam ją na podłogę. Na nogawce moich dzinsów widniała czerwona plama. Przez chwilę wpatrywałam się w nią zdumiona. Krew? Spojrzałam na Sheilę.

- Co się dzieje?

Potrząsnęła głową z obojętną twarzą.

- Sheilo, ty krwawisz! - Na wewnętrznej stronie jej prawej nogawki dostrzegłam czerwoną plamę. Chwyciłam ją na ręce i pobiegłam do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Rozpięłam jej spodnie i pozwoliłam, żeby opadły do kostek. Krew przesiąkała przez jej majtki i spływała po nogach. Spod jej bielizny wystawały papierowe ręczniki. Dlatego pewnie wychodziła do łazienki kilkakrotnie. Próbowwała zatrzymać krwawienie, żeby nikt nie zauważył.

- Mój Boże, Sheilo, co się stało? - zawołałam głośniejszym głosem, niż zamierzałam. Czułam coraz większy strach, w miarę jak wyjmowałam kolejne ręczniki. Gdy wyjęłam ostatni, zobaczyłam, że z jej pochwy kapie krew.

Sheila stała niewzruszona, z kamienną twarzą. Jej oczy patrzyły na mnie, lecz mnie nie widziała. Była bledsza, niż mi się wydawało wcześniej w klasie; Boże, była wręcz biała. Zastanawiałam się, ile krwi już straciła. Chcąc wyrwać ją ze stanu otumanienia, chwyciłam ją za ramię i potrząsnęłam mocno.

- Sheilo, co się stało? Powiedz mi. Dość udawania. Co ci się stało?

Zamrugnęła, jakby obudziła się z głębokiego snu. Widziałam, jak bardzo pragnie powstrzymać ból i emocje.

- Wuj Jerry - powiedziała cicho. - Próbował rano wsadzić mi swojego koguta. Ale nie

pasował, no to wziął nóż. Powiedział, że nie chcę go dopuścić, więc włożył mi nóż, żebym przestała.

Struchlałam.

- Wsadził ci nóż do pochwy? Przytaknęła.

- Taki srebrny. Powiedział, że pożałuję tego, że nie pozwoliłam mu wsadzić koguta.

Powiedział, że będę żałowała, bo to będzie bardziej bolało.

- Boże, Sheilo, dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego? - Zawinęłam ją w ręcznik i wzięłam na ręce.

- Ja się bać. Wuj Jerry kazał mi nie mówić. Powiedział, że zrobi to znowu, jak powiem.

Powiedział, że zrobi coś gorszego, jak naskarzę.

Wybiegłam z łazienki z Sheilą na rękach i kazałam Anionowi zająć się klasą. Zabrałam kluczyki od samochodu i popędziłam do sekretariatu, gdzie wyjaśniłam sekretarce pokrótce, że zabieram Sheilę do szpitala, i poprosiłam ją, żeby wysłała kogoś do ojca, aby przyszedł do szpitala. Tak jak to często bywa w nagłych wypadkach, czas wydawał się mijać powoli, w zwolnionym tempie. Miałam wrażenie, że wszystko dookoła dzieje się w filmie, a wszyscy poruszają się w niewłaściwym rytmie. Asystentki ze starszych klas wyglądały ze swojego pokoju. Co się działo? Przez cały czas czułam ciepło krwi Sheili, którą nasiąkał rękaw mojej koszuli.

Sheila była coraz bledsza. Ubrana tylko w podkoszulek i owinięta ręcznikiem, stawała się coraz bardziej bezwładna; przymykając oczy, opierała się o mnie ciężko. Pobiegnęłam do samochodu. Usiadłam za kierownicą z Sheilą na kolanach, uruchomiłam silnik i włączyłam wsteczny bieg.

- Sheila? Sheila? Nie zasypiaj - wyszeptałam, starając się wyprowadzić samochód i jednocześnie utrzymać ją przy sobie. Pomyślałam, że powinnam była zabrać kogoś ze sobą, ale nie było czasu. Za mało czasu, żeby tłumaczyć, co się stało.

- Nie śpię - wymamrotała Sheila. Jej małe palce zacisnęły się boleśnie na mojej piersi. - Ale to boli.

- Wiem, kochanie - odparłam. - Mów do mnie przez cały czas, dobrze?

Droga do szpitala wydała mi się nieskończenie długa. Może powinnam była poczekać na karetkę pogotowia. Nie miałam pojęcia, ile krwi już straciła, ile można było stracić ani co powinnam zrobić. Przeklinałam sama siebie za to, że nigdy nie brałam udziału w kursach Czerwonego Krzyża.

- Mój wujek Jerry powiedział, że będzie mnie kochał. Powiedział, że pokaże mi, jak się kochają dorośli. - Jej głos wydał mi się bardzo dziecinny. - Mówił, że powinnam wiedzieć, jak

dorośli się kochają. A kiedy krzyczałam, powiedział, że nikt mnie nie będzie kochał, jak się nie nauczę, jak to robić.

- Kochanie, twój wuj Jerry nic nie wie. Nie wie, o czym mówi. Przygryzła wargi, szlochając bez łez.

- Powiedział, że ty i Chad tak się kochaliście. Mówił, że jeśli chcę, żebyście z Chadem mnie kochali, to muszę mu pozwolić pokazać, żebym się nauczyła.

Zbliżaliśmy się do szpitala.

- On nie miał racji, kochanie. Oboje z Chadem już cię Kochamy. Mówił tak, ponieważ chciał ci wyrządzić krzywdę. Nie miał prawa dotykać cię w taki sposób. Wszystko, co robił i mówił, było złe.

Na podjazd przed szpitalem wybiegło dwóch sanitariuszy z noszami. Domyśliłam się, że pani Collins telefonowała do szpitala. Kiedy położyłam Sheilę na noszach, po raz pierwszy zareagowała widocznie na ból. Zaczęła jęczeć głośno, lecz z jej oczu nie popłynęła ani jedna łza. Kiedy sanitariusze spróbowali oderwać jej ręce od mojej koszuli, zacisnęła palce jeszcze mocniej.

- Nie zostawiaj mnie!-jęknęła.

- Idę z tobą, Sheilo. Leż spokojnie i puść mnie.

- Nie zostawiaj mnie! Nie pozwól, żeby mnie zabrali! Trzymaj mnie!

Ruszyliśmy niezdarnie całą czwórką do drzwi. Sheila trzymała moją koszulę tak mocno, że oderwała mi kieszeń. Nie wiedziałam, skąd ten przyływ energii. Może bała się, że zostawię ją z obcymi, a może nie potrafiła już dłużej znieść bólu. W każdym razie walczyła tak zaciekle, że łatwiej było mi znowu wziąć ją na ręce, niż szarpać się, słuchając jej krzyków.

Lekarz z ostrego dyżuru zbadał ją na moich rękach. Ojciec Sheili jeszcze nie przyszedł, więc podpisałam formularz, który czynił mnie odpowiedzialną za Sheilę, dopóki nie zjawi się jej ojciec.

Do pokoju weszła pielęgniarka ze strzykawką i zrobiła jej zastrzyk. Sheila po raz kolejny opadła z sił i nawet nie drgnęła przy ukłuciu. Niedługo po tym poczułam, że jej uścisk rozluźnia się, i położyłam ją na stole. Inna pielęgniarka podłączyła jej kroplówkę, tymczasem młody internista, Amerykanin meksykańskiego pochodzenia, zawiesił na stojaku pojemnik z krwią. Lekarz dał mi znak, abym wyszła. Zerknąwszy po raz ostatni na Sheilę, która leżała na stole z zamkniętymi oczyma, przeraźliwie mała i blada, wyszłam za nim przez wahadłowe drzwi. Wyjaśniłam mu, co się stało, najlepiej jak potrafiłam. W tym momencie zobaczyłam, jak na korytarz wtacza się ojciec Sheili w towarzystwie pracownika opieki społecznej. Był kompletnie pijany.

Lekarz wyjaśnił, że Sheila straciła bardzo dużo krwi, którą najpierw należało uzupełnić. Wstępne badanie wykazało, że nóż przebił ściankę pochwy i przedostał się do odbytnicy. Rana wyglądała poważnie, ponieważ istniało duże zagrożenie infekcją. Po podaniu krwi będzie można przeprowadzić operację, oświadczył. Kiedy lekarz zdawał relację, ojciec Sheili stał między nami, kiwając się mocno.

Nic więcej nie mogłam zrobić. W klasie panował pewnie chaos. Jeśli Susannah zobaczyła krew, to Anton nawet przy pomocy dyżurnych miał pełne ręce roboty. Dzieci z pewnością się zaniepokoiły moim nagłym wyjściem. Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli wrócę do szkoły. Cały przód koszuli miałam poplamiony krwią, a plama na moich dżinsach zdążyła już zaschnąć i ściemnieć. Wpatrywałam się w czerwone plamy. Drobinki życia, plamki czerwonej cieczy cenniejszej niż złoto. Zdumiała mnie myśl, jak kruche jest życie, i przypomniała o mojej śmiertelności.

Wróciłam do szkoły jeszcze przed jedenastą. Pamiętam, bo spojrzałam wtedy na zegar i zdumiałam się, jak niewiele czasu w rzeczywistości upłynęło. Minęła niecała godzina od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłam krew Sheili. Cały dramat rozegrał się zaledwie w pięćdziesiąt minut. Zdążyłam nawet pojechać do domu i przebrać się. Nie mogłam się nadziwić. A mnie się wydawało, że w tych pięćdziesięciu minutach zmieściło się sto lat. Jak bardzo się postarzałam w tym czasie.

Tamtego wieczoru nie poszłam już do szpitala. Po lekcjach zatelefonowałam do lekarza, który poinformował mnie, że Sheila nie wróciła jeszcze z sali operacyjnej. Mimo transfuzji krwi jej stan wciąż był krytyczny. Lekarz przewidywał, że Sheila jeszcze długo będzie na sali pooperacyjnej. Przez większość czasu pozostawała w stanie półśpiączki, dlatego, powiedział, jej świadomość była bardzo ograniczona. Po operacji miała przebywać na oddziale intensywnej terapii; chcieli mieć pewność, że zatrzymano krwotok i jej stan jest na tyle dobry, żeby mogła przejść na oddział dziecięcy. Zapytałam go, czy mogę przyjść, wyjaśniając, że jestem jej równie bliska jak członkowie rodziny, nie licząc ojca. Lekarz zasugerował, abym odłożyła wizytę do następnego dnia. Sheila i tak mnie nie pozna, a będę tylko przeszkadzała na oddziale. Zapewnił mnie, że ma dobrą opiekę.

Zapytałam też, czyjej ojciec jest tam jeszcze, a lekarz zaprzeczył. Odesłali go do domu niedługo po moim wyjściu. Był zbyt pijany. Natomiast brata ojca Sheili, Jerry'ego, zatrzymano.

W pewnym sensie z ulgą przyjąłam fakt, że nie muszę tam wracać. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdawałam sobie sprawy z powagi sytuacji. Rozmawiała ze mną. Przeszła przez całą szkołę do naszej klasy, gdzie przesiadła godzinę. Zachowała przytomność przez całą drogę do szpitala. Nie wierzyłam wtedy, że jest tak poważnie okaleczona.

Poplamiona koszula i dżinsy leżały w miejscu, gdzie je zostawiłam, kiedy się przebierałam. Spodnie włożyłam do wanny, żeby je namoczyć, lecz koszulę wciąż trzymałam w ręku. Patrzyłam na oderwaną kieszeń, którą mi odpruła, walcząc z sanitariuszami. Złożyłam koszulę i schowałam do szafki. Nie miałam siły, żeby ją wyrzucić. Ani wyprać. Wiedziałam, że gdybym ją namoczyła, woda natychmiast by się zabarwiła. Nie chciałam patrzeć, jak woda z jej krwią spływa tak samo jak brudy. Nie zniosłabym tego.

Chad wrócił po kolacji i opowiedziałam mu o wszystkim. Bardzo się przejął. Najpierw chodził po pokoju i kręcił głową z niedowierzaniem. Wzburzył się nie tyle tym, jak poważnie została okaleczona Sheila, lecz jak do tego doszło. Aż kipiał z nienawiści i groził, że pobije Jerry'ego. Nie miał litości dla mężczyzny, który w ten sposób skrzywdził małą dziewczynkę. Przestraszyła mnie ta odmiana u Chada, ponieważ nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie.

Chociaż bardzo cierpiałam z powodu tego wypadku, doznałam też dziwnego uczucia. Pięć miesięcy wcześniej Sheila była oprawcą, a ktoś inny padł jej ofiarą. Z pewnością rodzice chłopca żywili podobne uczucia, jakie teraz Chad odczuwał wobec Jerry'ego. Oczywiście w niczym nie umniejszało to winy przestępcy, lecz pomyślałam, że podobnie jak u Sheili, tak samo i w Jerry'ym kłębiły się rany i zniszczenia. Żadne z nich nie pozostawało bez winy, ale żadne też nie było całkowicie złe. Doszłam do smutnego wniosku, że Jerry stał się w takim samym stopniu ofiarą jak Sheila, co jeszcze bardziej komplikowało sprawę.

Wieczorem zatelefonowali z policji z pytaniem, czy mogę przyjechać do nich i złożyć zeznanie. Pojechałam z Chadem. Usiedliśmy przy szarym stole w szarym pokoju i opowiedziałam, co wydarzyło się w mojej klasie tamtego ranka. Powtórzyłam wszystko, co powiedziała mi Sheila, i przedstawiłam późniejsze wydarzenia. Były to ponure wspomnienia jeszcze bardziej ponurego wydarzenia.

Rankiem następnego dnia, w czasie przerwy, zadzwoniłam do szpitala. Wyczułam większy spokój w głosie lekarza. Sheila dobrze zniosła operację, a jej stan nie pogorszył się w ciągu nocy. Rano była na tyle świadoma i w dobrym stanie, że dało się ją przenieść na oddział dziecięcy. Mogłam ją odwiedzić w każdej chwili. Zapytałam, czy był u niej ojciec. Lekarz zaprzeczył. Poprosiłam, aby przekazano Sheili, że odwiedzę ją zaraz po pracy. Lekarz zapewnił mnie, że poinformuje ją. Dodał miłym głosem, że bardzo dzielna z niej dziewczynka. Zapewniłam go, że nie znam dzielniejszej.

Chyba najtrudniejszym problemem było wyjaśnienie dzieciom z klasy, co się stało Sheili. Wcześniej rozmawialiśmy już o przemocy, zarówno fizycznej, jak i molestowaniu seksualnym. Moje dzieci pochodziły ze środowisk, w których często dochodziło do przemocy,



dlatego uznałam, że istotne jest, aby wiedziały, co zrobić, jeśli same jej doświadczą lub zobaczą, że komuś innemu dzieje się krzywda. Mimo wszystko trudno było rozmawiać z nimi o problemie przemocy seksualnej. W dzielnicy, gdzie edukacja seksualna w szkołach nie poczyniła zbyt wielkich postępów, temat ten pozostawał tabu. Dlatego rozmawiałam z moimi dziećmi o właściwych i niewłaściwych sposobach dotykania. Nie było nic złego w tym, że ktoś je przytula. Lecz jeśli przytula cię i trzyma twój penis, postępuje źle. Dyskutowaliśmy o tym, co powinny zrobić w takiej sytuacji, ponieważ nikt nie ma prawa dotykać dzieci w pewnych miejscach. One zaś nie powinny się tego domagać. Pierwszą dyskusję odbyliśmy w październiku, a potem kilkakrotnie powracaliśmy do tematu. Dzięki temu dzieci nauczyły się swobodnie wyrażać swoje obawy wobec sytuacji, kiedy ktoś je dotyka, a one czują się „zabawnie” i nie wiedzą, co zrobić.

Jednak przypadek Sheili okazał się dla mnie o wiele trudniejszy do wyjaśnienia. Seks i przemoc to chyba za dużo dla dzieci w szkole podstawowej, i to dzieci z zaburzeniami emocjonalnymi. Jednak musiałam im coś powiedzieć. Widziały krew i zauważyły, że wychodziłyśmy w pośpiechu. Potem widziały, że wróciłam bez Sheili. Wyjaśniłam im pokrótce, że Sheila zraniła się w domu i dlatego musiałam zabrać ją do szpitala.

Kiedy następnego dnia przekazałam im, że Sheila czuje się lepiej i jest już na oddziale dziecięcym, dzieci napisały do niej kartki z życzeniami. Znalazłam ich cały stos w koszyku korekcyjnym, wzruszające, kolorowe liściki. Całe to wydarzenie miało większy wpływ na dzieci, niż się spodziewałam. Pod koniec zajęć William nagle rozplakał się.

- Co się stało? - zapytałam i usiadłam na podłodze. Wszyscy zebrali się wokół „Pudełka skrzata”. Także i William.

- Boję się o Sheilę. Boję się, że umrze w szpitalu. Mój dziadek poszedł raz do szpitala i umarł tam.

W tej samej chwili usłyszałam pochlipywanie Tyler.

- Tęsknię za nią i chcę, żeby wróciła.

- Hej, dzieciaki, co z wami? - zawołałam. - Sheila ma się coraz lepiej. Mówiłam wam po lunchu. Nie umrze i nic jej się nie stanie.

Spojrzałam na twarz Sarah i zobaczyłam, że po jej policzkach płyną łzy. Także i Max zaczął pojękiwać, chociaż chyba nie rozumiał, dlaczego inni płaczą. Nawet Peter miał łzy w oczach, a przecież to on najczęściej droczył się z Sheila.

- Ale nie chcesz, żebyśmy o niej rozmawiali - powiedziała Sarah. - Dzisiaj ani razu nie powiedziałaś jej imienia. Dlatego się boję.

- Właśnie - poparł ją Guillermo. - Ciągle o niej myślę, a ty zachowujesz się, jakby jej tu

nigdy nie było. Tęsknię za nią.

Spojrzałam na nich. Poza Freddiem i Susannah wszyscy płakali. Nie wierzyłam, aby odczuwali tak wielką lojalność wobec Sheili, podejrzewałam raczej, że wypadek ten bardzo ich przestraszył. Bez wątpienia miał też ogromny wpływ na mnie. Martwiłam się bardzo, więc nie mówiłam, w nadziei, że pozwoli mi to utrzymać spokój w klasie. Przez poprzednie siedem i pół miesiąca wiele czasu spędzaliśmy, ucząc się, jak być otwartym oraz umieć znaleźć się na miejscu kogoś innego. Dzieci okazały się bardzo pojętymi uczniami i nie dały się zwieść.

Tak więc nie zaczęliśmy zajęć końcowych, także „Pudełko skrzata” pozostało zamknięte. Siedzieliśmy na podłodze, a ja opowiadałam im o moich uczuciach i wyjaśniałam, dlaczego nie byłam z nimi tak szczerą jak dotychczas.

- O niektórych rzeczach trudno jest mówić - powiedziałam. - To, co stało się Sheili, jest jednym z takich tematów.

- Dlaczego? - spytał Peter. - Uważasz, że jesteśmy za mali? Mama zawsze tak mówi, kiedy nie chce mi czegoś powiedzieć. Uśmiechnęłam się.

- Mniej więcej. Ale także dlatego, że o pewnych rzeczach po prostu trudno rozmawiać. I nawet nie potrafię powiedzieć dlaczego. Może się ich boimy. Nawet my, dorośli. A kiedy dorośli boją się czegoś, nie chcą o tym mówić. Na tym polega jeden z ich problemów.

Dzieci patrzyły na mnie, a ja na nie, na każde z osobna. Tyler z szyją poprzecinaną upiornymi bliznami. Piękny, czarnoskóry Peter. Guillermo, którego oczy nigdy nie patrzyły na nic konkretnego, nawet jeżeli skupiał swoją uwagę. Kołyszący się Max, który wciąż przebierał nerwowo palcami. Sarah. William. Freddie. I Susannah, dziewczynka z bajki.

- Pamiętajcie, mówiłam wam, że Sheila zraniła się w domu. Rozmawialiśmy też o tym, jak inni mogą was dotykać. Tłumaczyłam, że ludzie czasem chcą dotykać dzieci w sposób, który jest zabroniony.

- Tak, na przykład tam na dole, w intymne miejsce, prawda? - powiedział William. Przytaknęłam.

- Ktoś z rodziny Sheili zrobił właśnie coś takiego i zranił ją. Zobaczyłam, jak marszczą czoła i mrużą oczy. Nawet Max przestał się kołysać.

- Co jej zrobił? - spytał William.

- Zranił ją. - Słuchając samej siebie, zastanawiałam się, czy słusznie postępuję. Czułam instynktownie, że tak. Bez względu na to, co w danej chwili czuliśmy do siebie, nasze relacje były oparte na prawdzie. Ponadto wierzyłam, że wiedza nie może być gorsza od niewiedzy, od wielu rzeczy, których te dzieci zdążyły już doświadczyć w swoim życiu. W naszej klasie za podstawę przyjęliśmy fakt, że w ich życiu nie istnieje nic tak złego, o czym by nie można

rozmawiać. A jednak w głębi serca czułam, że po raz kolejny łamię zasady, których kiedyś mnie uczono, że po raz kolejny przekraczam granice uznanych praktyk psychologicznych i edukacyjnych. I podobnie jak w poprzednich przypadkach, gnębił mnie niepokój, że mogę bardziej skrzywdzić kogoś, niż mu pomóc. Czułam, jak zmagają się we mnie bezpieczeństwo i uczciwość.

- Kto jej to zrobił? - spytał Guillermo. - Jej ojciec?

- Nie. Wuj.

- Jej wuj Jerry? - spytała Tyler.

Skinęłam głową.

Milczeliśmy przez chwilę. Wreszcie Sarah wzruszyła ramionami.

- Przynajmniej to nie był jej ojciec.

- Ale to niczego nie zmienia - zauważyła Tyler.

- Zmienia - odpowiedziała jej Sarah. - Jak byłam mała, zanim jeszcze poszłam do szkoły, mój tata czasem przychodził do mojego pokoju, kiedy mama była w pracy, i... - Urwała. Spojrzała najpierw na Tyler, potem na mnie i spuściła wzrok. - No, robił to. Gorzej jest, kiedy to robi twój tata.

- Nie mówmy już o tym, dobrze? - odezwał się William. Wykręcał nerwowo dłonie, a jego twarz wyrażała strach.

- Właśnie że nie, ja chcę rozmawiać - powiedziała Sarah. - Chcę wiedzieć, co z Sheilą.

- Nie - upierał się William ze łzami w oczach.

- Boisz się, William, co? - powiedział Guillermo. - Czego się boisz?

Wyciągnęłam rękę.

- Może przyjdiesz tutaj i usiądziesz przy mnie? Kiedy podszedł do mnie, objęłam go.

- Boisz się rozmawiać o takich rzeczach, prawda? Przytaknął mi.

- Kiedy moja mama nie odkurzy, czasem pod moim łóżkiem jest kurz.

- William, to nie ma nic do rzeczy - wtrącił Peter.

- Boję się tego kurzu. Czasem myślę, że może to byli ludzie. Może pod moim łóżkiem są nieżywi ludzie.

- To głupie.

- Wcale nie, Peter. Przecież Biblia mówi, że z kurzu powstałeś i zamienisz się w kurz po śmierci. Tak mówi. Mama mi pokazywała. Możesz zapytać Torey.

- W Biblii niezupełnie o to chodzi, Williamie - powiedziałam.

- I może ten kurz to ludzie pod moim łóżkiem. Może mój dziadek zamienił się w niego po tym, jak poszedł do szpitala. Może leży pod moim łóżkiem. Może to Sheila.

- To nie Sheila. Ona żyje, Will. Jest w szpitalu i wyzdrowieje - odpowiedziałam.

- Torey? - spytała Tyler.

- Słucham?

- Dlaczego wujek Sheili jej to zrobił? Przecież mówiła, że był dla niej dobry i bawił się z nią. To dlaczego ją zranił?

Patrzyłam na nią długą chwilę. Nie znałam odpowiedzi na jej pytanie.

- Nie wiem.

- Czy on miał jakieś problemy? - spytała Sarah. - Tak jak mój tata. Zabrali go do szpitala stanowego, ponieważ miał problemy. Tak mi powiedziała mama. I nigdy nie wrócił.

- Tak, chyba można to w ten sposób wyrazić. Nie rozumiał, jak wolno dotykać dziewczynki. Chociaż wydaje mi się, że rozumiał, tylko czasem ludzie robią coś, nie zastanawiając się nad tym wcześniej. Wydaje im się, że w tym momencie jest to dobre.

- Czy jego też zabiorą do szpitala stanowego, tak jak mojego tatę?

- Nie wiem. Każdy, kto krzywdzi innego, łamie prawo.

- Kiedy wróci Sheila? - spytał Peter.

- Jak tylko poczuje się lepiej.

- Czy będzie taka sama?

- Co masz na myśli? - spytałam. Peter zmarszczył czoło.

- No, skoro on ją tam skaleczył, to czy ona będzie taka sama?

- Wciąż cię nie rozumiem, Peter.

Rozejrzał się niepewnie, po czym znowu spojrzął na mnie.

- Mogę użyć brzydkich słów? Muszę, żebyś mnie zrozumiała. Skinęłam głową.

- Co innego, kiedy używasz ich wobec innych ludzi. Nie są brzydkie, jeśli coś znaczą.

- Mów.

- No, tam na dole u dziewczyny jest pipa, tak?

- Tak.

- I tam na dole, no, dlatego dziewczyny chodzą do łazienki. To co będzie, jeśli on ją tam skaleczył. Stamtąd wychodzą dzieci. Co się stanie, jeśli on ją tam skaleczył?

Wciąż nie miałam pewności, czy go rozumiem. Postanowiłam więc spróbować wydobyć tę informację od niego samego.

- No właśnie, a ty jak uważasz, co się stanie? Otworzył szerzej oczy.

- A jak ona urośnie i będzie miała dzieci?

- Co wtedy, jak sądzisz?

Łzy napłynęły mu do oczu.

- Może je olać, jak się urodzą. - Opuścił kąciki ust, powstrzymując płacz. - Tak zrobiła moja mama ze mną i dlatego jestem zwariowany.

- Och, Peter, to nieprawda - powiedziałam.

Przysunął się do mnie na czworakach. Siedziałam ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, a o mój prawy bok opierał się William. Peter położył głowę na moich kolanach.

- Właśnie że tak.

- Nie. Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy, ale z pewnością się mylisz.

- Peter, wcale nie jesteś szalony - powiedział William. - Nikt nie jest naprawdę szalony. To tylko takie słowo. Prawda, Torey? Tylko słowo, a nikt nie jest słowem.

Długo jeszcze rozmawialiśmy. Ostatni dzwonek zamilkł, autobusy przyjechały i odjechały, a my wciąż rozmawialiśmy. O molestowaniu seksualnym. O Sheili. O nas.

Potem upchnęłam wszystkich do swojego samochodu i odwiozłam do domów. Jeszcze po skończonej rozmowie, w samochodzie, panował wśród nas nastrój powagi. Padały kolejne pytania. Nikt nie żartował, nie wygłupiał się. Nikt nie uznał, że to, o czym rozmawialiśmy, było zabawne. Potrzeba porozmawiania o tym wzięła górę nad wszystkim innym. Pomimo różnic byliśmy w tym względzie jednomyślni.

Po odwiezieniu dzieci do domów zabrałam kartki z życzeniami oraz kilka ulubionych książek Sheili i pojechałam do szpitala. Umieszczono ją w pokoju tuż obok dyżurki pielęgniarek, które pokazały mi drogę.

Była sama w ogromnym pokoju z oknem na całą ścianę; przypominał klatkę w ogrodzie zoologicznym. Leżała na łóżku z wysokimi bokami z metalowych prętów. Na stojaku obok wisiała kroplówka i pojemnik z krwią. Ramię, do którego wkluto igłę, przywiązano do jednego z prętów. Wydała mi się wtedy taka drobna i mała.

Nie potrafiłam powstrzymać łez. Dlaczego położyli ją w dziecięcym łóżeczku? Sheila miała w sobie wiele godności. Z pewnością fakt ten upokorzył ją. Wiedziałam, że będzie się wstydziła, kiedy ją w nim zobaczę. Dlaczego nie dali jej łóżka, w jakich kładą prawie siedmioletnie dzieci. Dziecięce łóżeczka były dla małych dzieci.

Sheila odwróciła głowę w moją stronę, gdy tylko weszłam do pokoju. Przyglądała mi się długą chwilę w milczeniu.

- Nie płacz, Torey - odezwała się wreszcie cicho. - Nie boli aż tak bardzo. Naprawdę.

Patrzyłam na nią z pokorą, zdumiona jej ogromną odwagą.

- Dlaczego dali ci dziecięce łóżko? - zapytałam, wypełniając pustkę w moim umyśle. Opuściłam ściankę łóżka po mojej stronie i dotknęłam jej wolnej ręki. - Nie powinnaś leżeć w takim łóżeczku.

- Nie obchodzi mnie to - powiedziała. Wiedziałam, że tak nie jest. Przyjaźniłyśmy się na tyle długo, że zdążyłam poznać jej dobrze maskowane poczucie godności. Uśmiechnęła się słabo, jakby to mnie trzeba było pocieszyć, i dotknęła mojej twarzy.

- Nie płacz, Torey. Nic mnie to nie obchodzi.

- Lżej mi, kiedy płaczę, Sheil. Tak się o ciebie niepokoiłam. Nie mogę się powstrzymać, a płacz przynosi mi ulgę.

- Nie boli tak bardzo. - Jej spojrzenie stało się trochę mniej wyraźne. Może to działanie lekarstwa. - Ale czasem się boję. Tylko trochę. Tak jak wczoraj, nie wiedziałam, gdzie jestem. Wtedy trochę się bałam. Ale nie płakałam. A potem przyszła pielęgniarka i rozmawiała ze mną. Ona dobra dla mnie, ale ja jeszcze się trochę bać. Chciałam do taty.

- Rozumiem. Może da się załatwić, żeby ktoś był z tobą, kiedy znowu będziesz się bała.

- Ja chcę tatę.

- Wiem, kochanie. Przyjdzie do ciebie, kiedy będzie mógł.

- Nie. On nie lubi szpitali.

- Zobaczymy.

- Chcę, żebyś ty ze mną została.

- Zostanę tak długo, jak będę mogła. Anton też cię odwiedzi. Wiem, że i Chad chciałby przyjść. Wciąż wypytuje o ciebie. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Nie chcę, żebyś się bała, kochanie. Pomogę ci.

Odwróciła głowę na chwilę i spojrzała na kropłówkę.

- Boli mnie trochę ramię. - Kiedy ponownie skierowała oczy w moją stronę, ujrzałam w nich wyraźnie strach i cierpienie. Przez jej twarz przebiegł grymas. - Potrzyj mnie - zakwiliła. - Ręka tak mnie boli i czuję się strasznie samotna. Chcę, żebyś została i przytuliła mnie, i żebyś nie odchodziła.

- Kotku, pewnie nie pozwolą mi cię przytulić. Mogłabym pozrywać wszystko, co ci podłączyli. Ale jeśli chcesz, to potrzyj cię za rękę.

- Nie - jęknęła. - Chcę, żebyś mnie przytuliła. Wszystko mnie boli.

Odgarnęłam włosy z jej czoła i nachyliłam się nad nią.

- Wiem, kochanie, ale nie można.

Patrzyła mi w oczy długą chwilę, a potem jej oczy ponownie się rozjaśniły, odzyskała panowanie nad sobą. Wzięła głęboki, drżący oddech, tylko tyle. Znowu zobojętniała, zamykając w sobie jeszcze jedną rzecz, której nie potrafiła objąć uczuciem.

- Przyniosłam ci książki. Może będziesz chciała, żebyś ci poczytała. Przystaniesz ciągle o tym myśleć. Skinęła głową powoli.

- Poczytaj mi o lisie, Małym Księżu i jego róży.

Sheila pozostała w szpitalu do końca kwietnia. W tym czasie jej wuj został postawiony przed sądem i skazany za molestowanie seksualne. Wrócił do więzienia. Ojciec Sheili ani razu nie odwiedził jej w szpitalu, tłumacząc się szpitalną fobią. Wszystkie swoje smutki topił w barze u Joe. Ja chodziłam do Sheili codziennie po pracy i zostawałam jeszcze po kolacji. Chad odwiedzał ją popołudniami; często grywali w warcaby jeszcze po moim wyjściu. Regularnie przychodził też Anton, a nawet Whitney kilkakrotnie otrzymała pozwolenie na krótką wizytę, chociaż przepisy na to nie zezwalały. A już zupełnie zdumiałam się, kiedy któregoś sobotniego popołudnia zastałam Sheilę podczas wspólnej zabawy z panem Collinsem. Ku zdziwieniu szpitalnego personelu Sheila szybko stała się ulubienicą całego oddziału, dzięki czemu przez jej pokój przewijały się tłumy odwiedzających, którzy przychodzili spytać ją o zdrowie. Bardzo mnie to ucieszyło, ponieważ nie mogłam siedzieć tam dłużej niż kilka godzin każdego dnia. Chociaż wiedziałam, że przychodziłabym na dłużej, gdyby zaistniała taka potrzeba.

W pewnym sensie pobyt w szpitalu okazał się dla niej czymś dobrym. Będąc tak ładną dziewczynką i mając za sobą tak przykre doświadczenia, Sheila zyskała sobie szczególne względy pielęgniarek. Bardzo się o nią troszczyły, co ogromnie cieszyło Sheilę. Zadowolona, zawsze starała się im pomóc i nigdy nie płakała. Ponadto, regularnie odżywiana, zaczynała nabierać ciała, co w jej wypadku było bardzo wskazane. Dopiero na sam koniec swojego pobytu w szpitalu nie chciała już leżeć w łóżku i zżymała się na tych, którzy ją do tego namawiali. Wydawało się, że ostatnie wydarzenie całkowicie przyćmiło jej problemy emocjonalne. Pomimo tak poważnych przeżyć jej zachowanie w szpitalu było niemal nienaganne. Pielęgniarki nie mogły się nadziwić, jaką idealną pacjentką jest Sheila. Trochę mnie to niepokoiło. Oczywiście ułatwiało życie innym, lecz ja wiedziałam, że zarówno pobyt w szpitalu, podobnie jak powód, dla którego tam się znalazła, były dla niej ogromnym wstrząsem. Obawiałam się, że tak jak w przypadku powstrzymywania się przed płaczem, poddała swoje cierpienie sublimacji, wmawiając sobie, że nic się nie stało. Jeśli tak było, to fakt ten miał większe znaczenie w ocenie powagi jej zaburzeń niż wszystko inne.

Sheila leżała w szpitalu, tymczasem dzieci przyzwyczyły się do lekcji bez niej. Cieszyliśmy się kwietniowym słońcem i budzącym się dookoła życiem. Poza chwilami, kiedy co tydzień dzieci pisały listy do niej, Sheila przestała być głównym tematem rozmów w naszej klasie.

W czasie pobytu Sheili w szpitalu dowiedziałam się, że moja klasa już na pewno



zostanie rozwiązana. Złożyło się na to kilka spraw. Po pierwsze, przeprowadzano pewną reorganizację okręgu i uznano, że dzieci z zaburzeniami, takie jak Freddie czy Susannah, znajdą swoje miejsce bez tworzenia oddzielnej klasy dla nich, jak to było w tamtym roku. Po drugie, pozostałe dzieci poczyniły na tyle duże postępy, by dać sobie radę w mniej restrykcyjnych miejscach. Po trzecie, a był to może najważniejszy czynnik, mówiło się o nowej ustawie Kongresu, na mocy której dzieci upośledzone miały wrócić do szkół powszechnych. W związku z tym likwidowano część klas specjalnych, by uczący w nich wykwalifikowani nauczyciele mogli przejść do zwykłych klas w charakterze konsultantów. Ponieważ mój poziom był najniższy, dlatego władze postanowiły całkowicie go zlikwidować. I wreszcie ostatnia sprawa, która stanowiła naturalną konsekwencję całego procesu i sprowadzała się do pieniędzy, a raczej ich braku. Utrzymanie klas takich jak moja było bardzo kosztowne. Mała liczba uczniów w klasie, wysokie kwalifikacje nauczyciela, wysoka pensja, to wszystko pochłaniało dużo pieniędzy. Nie stać było naszych władz okręgowych na utrzymanie tylu klas specjalnych.

Wiadomości te zasmuciły mnie, ale nie zaskoczyły. Był to smutek, który odczuwałam pod koniec każdego roku, kiedy pragnęłam, żebyśmy mogli zacząć wszystko od początku. A poza tym miałam osobiste plany. Władze oświatowe zaproponowały mi inną posadę, lecz ja już wcześniej złożyłam papiery do szkoły i zostałam przyjęta. Wprawdzie miałam już dyplom z nauczania specjalnego, lecz nie posiadałam pełnych kwalifikacji, które by mnie uprawniały do uczenia dzieci specjalnej troski. Nie martwiłam się tym wcześniej, ponieważ nie wymagano tak restrykcyjnie pełnego wykształcenia. Wiedziałam jednak, że wielu dobrych nauczycieli straciło pracę tylko dlatego, że nie spełniali formalnych wymogów. Nie chciałam, aby nadszedł dzień, w którym musiałabym odejść z posady z powodu braku kwalifikacji. Tamta praca właściwie się kończyła; nie było możliwości, aby wrócić jesienią do tej samej klasy, uznałam więc, że nadeszła stosowna chwila, by wrócić do szkoły.

Kusiła mnie także myśl o podjęciu studiów doktoranckich. W ciągu poprzednich lat zaangażowałam się w prace badawcze i ze zdumieniem odkryłam, jak duże luki istniały na polu naukowym, jeśli chodzi o dziecięce depresje i lęki.

Także podczas poprzednich miesięcy często zagłębiałam głębiej do swojej duszy, by zobaczyć w niej przyszłość. W tym samym czasie Chad rozpoczął kolejną kampanię na rzecz małżeństwa. Ogromny wpływ wywarła na niego rozprawa Sheili; od tamtej pory otwarcie wyznawał, że chce założyć rodzinę. Czułam niepokój. W kwietniu otrzymałam potwierdzenie przyjęcia na uniwersytet, co oznaczało, że w czerwcu, kiedy skończy się rok szkolny, przeniosę się o setki mil od Chada, Sheili i miejsca, w którym przeżyłam kilka najlepszych lat mojego

życia.

Sheila wróciła do szkoły na początku maja. Przybyła pełna werwy i energii, jakie okazywała w szpitalu, jakby przebywała na przedłużonych wakacjach. Patrząc, jak zajmuje swoje dawne miejsce w klasie, niepokoiłam się o nią bardziej niż kiedykolwiek. Tak bolesne doświadczenia musiały na nią wpłynąć. Podejrzywałam, że odegrały większe znaczenie, niż przypuszczałam. Bałam się, czy nie wycofała się w świat fantazji, żeby uciec przed horrorem prawdziwego świata. Jednak minął dzień i kilka następnych, a ja nie zauważyłam żadnych symptdornów. Patrząc z boku, można było powiedzieć, że jest to normalne dziecko, które odwiedziło naszą klasę, żeby wziąć udział w zajęciach.

Dopiero pod koniec tygodnia blask beztroski zaczął przygasać i powróciły stare problemy. Zaczęłam więcej od niej wymagać, a ona zaczęła robić błędy, co wprawiło ją w zły humor na kilka godzin w czwartek. Pozostałe dzieci przyzwyczyły się już do jej obecności i nie zwracały na nią uwagi tak jak wcześniej. Denerwowała się, że nie wszystko idzie po jej myśli. Lecz najważniejsze było to, że znowu zaczęła rozmawiać ze mną. Tego właśnie mi brakowało. Wprawdzie przez cały czas w trakcie lekcji i po szkole nie przestawała mówić, lecz tak naprawdę niczego nie mówiła. Nieustannie paplała o bieżących wydarzeniach. Mówiła tylko o rzeczach bezpiecznych i niechętnie wyrażała swoje uczucia tak jak wcześniej. I tylko co pewien czas wyrывało jej się zdanie, które maciło powierzchnię udawanej beztroski.

Do szkoły wróciła w podkoszulku i starych spodniach. Były poplamione krwią, a teraz na dodatek za krótkie i za ciasne, ponieważ Sheila przybrała na wadze w szpitalu. Ciekawiło mnie, co się stało z biało-czerwoną sukienką, więc zapytałam ją o to w piątek. Siedziałyśmy przy jednym stole, a Sheila pomagała mi wyciąć figurki na tablicę ogłoszeń.

Zastanawiała się przez chwilę, zanim mi odpowiedziała.

- Już jej nie będę nosić.

- Dlaczego?

- Wtedy... - zamilkła i skupiła uwagę na swojej pracy. - Tamtego dnia, kiedy wuj Jerry... No, mówił, że to bardzo ładna sukienka. Mógł mi wkładać rękę pod spód. Robił to już wcześniej, ale wtedy nie chciał przestać. Cały czas wkładał ręce. Więc już jej nie będę nosiła. Żeby nikt nie mógł mnie tam dotykać.

- Och.

- A poza tym cała się poplamiła. Tata wyrzucił ją, kiedy mnie nie było.

Czułam ciężar naszego milczenia. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc skupiłam się na wycinaniu. Wreszcie Sheila spojrzała na mnie.

- Torey?

- Tak?

- Czy ty i Chad robicie to? No, to, co mi robił wuj Jerry.

- Nikt nie powinien robić tego, co robił twój wuj. To było złe. Dorośli kochają się ze sobą, ale nie dzieci. Ponadto nikt nie używa przy tym noża.

- Wiem, jak się kocha. Mój tata przyprowadza czasem panie i to robią. Myśli, że śpię, ale ja nie śpię. Budzę się, bo bardzo wtedy hałasują. Wiem, jak to jest. - Jej spojrzenie straciło blask. - Czy to naprawdę jest miłość?

Wzięłam głęboki oddech.

- Myślę, Sheilo, że jesteś jeszcze za mała, żeby to wszystko zrozumieć. Czasem nazywa się to miłością, ale tak nie jest. To tylko seks. Zwykle ludzie robią to, kiedy naprawdę się kochają. Wtedy to jest dobre i im jest dobrze. Czasem jednak ludzie robią to, ale się nie kochają. To też jest seks, ale już nie miłość. Czasem ktoś zmusza innych do tego i postępuje bardzo źle.

- Nigdy nie będę nikogo kochała, skoro muszę to robić.

- Jesteś jeszcze za mała. Twoje ciało nie jest jeszcze gotowe, więc cię boli. Ale to nie jest mijać, Sheilo. Miłość to coś zupełnie innego. To uczucie. To, co się stało, było złe. Nikt nie powinien postępować w ten sposób wobec dziewczynki. Bolało cię, ponieważ zdarzyło się coś, co nie powinno było się zdarzyć. Jesteś za mała.

- No to dlaczego on mi to zrobił?

Odłożyłam postać, którą wycinałam, i odgarnęłam z czoła włosy.

- Zadajesz mi piekielnie trudne pytania, kochanie.

- Nie rozumiem tego. Lubiłam wujka Jerry'ego. Bawił się ze mną. Dlaczego mnie skrzywdził?

- Nie wiem. Czasem ludzie po prostu tracą panowanie nad sobą. Podobnie było z tobą i ze mną w lutym, kiedy pojechałam na konferencję, pamiętasz? Czasem to się zdarza.

Sheila położyła na stole papier i nożyczki. Przez długą chwilę wpatrywała się w nie i w swoją dłoń. Jej broda zadrżała.

.- Nigdy nie jest tak, jak chcesz, żeby było, prawda? - spytała, nie patrząc na mnie.

Nic jej nie odpowiedziałam; nie wiedziałam, co powiedzieć.

Położyła głowę na stole w geście rezygnacji.

- Nie chcę już być sobą. Po prostu nie chcę.

- Czasem jest to trudne - odparłam, wciąż niepewna, jak się zachować, lecz czułam, że muszę jej odpowiedzieć.

Odwróciła głowę w moją stronę, lecz pozostawiła ją na blacie stołu, między skrawkami papieru. Oczy miała zamysłone.

- Chcę być kimś takim jak Susannah Joy i mieć dużo sukienek. Nie chcę być tutaj. Chcę chodzić do normalnej klasy. Nie chcę już więcej być sobą. Mam tego dość. Ale nie wiem, jak to zrobić.

Patrzyłam na nią. Za każdym razem powtarzam sobie, że widziałam już najgorsze, że nic już mnie nie zrani, i zawsze się mylę.

Postanowiłam, że ostatnim dużym projektem naszej klasy będą występy z okazji Dnia Matki. Jedną z największych tragedii edukacji specjalnej było to, że dzieci z klas specjalnych prawie nigdy nie uczestniczyły w tradycyjnych zajęciach rekreacyjnych, w których brali udział uczniowie z innych klas. Uznawano, że dla dzieci specjalnych codzienne życie stanowiło wystarczający sukces. Nienawidziłam tej postawy. Mało komu chciałoby się żyć tylko dla codziennego życia. Dobrze wiemy, że wielu je deser ze względu na lukier, a nie na samo ciasto. Dlatego też starałam się realizować w naszej klasie niektóre z punktów programu normalnych klas.

W październiku mieliśmy spotkanie dla rodziców, które przebiegło... nie najgorzej. Postanowiłam więc, że w podobny sposób będziemy też świętować w maju. Nie było łatwe opracować program, w którym mogłyby wziąć udział dzieci takie jak Freddie czy Max, lecz z pomocą grupy rodziców zebraliśmy kilka piosenek, jeden czy dwa wiersze oraz mnóstwo wiosennych kwiatów i grzybów, których zawsze pełno w dziecięcych przedstawieniach.

Dzieci bardzo się ekscytowały naszym występem, tylko Peter stwierdził, że powinniśmy wystawić coś bardziej ambitnego. Większość z nich oglądała wcześniej pokazywany co roku film *Czarnoksiężnik z Oz*, sugerowały więc, że to właśnie powinniśmy zagrać. Wyjaśniłam im, że mieliśmy do dyspozycji tylko pięciu wiarygodnych aktorów, a i tak nikt poza Sheilą prawie nie potrafił czytać. Peter nie dawał za wygraną i oświadczył, że nie będzie jakimś tam leśnym kwiatkiem, ale zagra Blaszanego Drwala. Sarah zgodziła się z nim. Wcześniej odgrywali *Czarnoksiężnika z Oz* na placu zabaw i jej także spodobał się ten pomysł. Ostatecznie poddałam się, lecz zastrzegłam, że Peter i Sarah opracują zarys scenariusza przedstawienia, w którym wezmą udział Freddie, Guillermo i pozostali.

Tak więc rozpoczęły się próby. W zasadzie już w kwietniu zaczęliśmy ćwiczyć piosenki, a zmiany zaproponowane przez Petera nastąpiły w maju. Oczywiście nasz Dzień Matki miał nastąpić z pewnym opóźnieniem. Bogu dziękowałam, że jest z nami Sheilą ze swoim giętym umysłem. Potrafiła wszystko zapamiętać, do tego jeszcze nieźle śpiewała. Dlatego znaczną część programu powierzyłam jej i Maxowi, którego choroba wyposażyła w umiejętność powtarzania dużych ilości materiału, tyle tylko, że nie zawsze robił to na życzenie.

Spytałam Sheilę, czy chce, aby jej ojciec przyszedł na przedstawienie. Dzień Matki stanowił jednocześnie jedną z niewielu okazji, aby zobaczyć swoje dziecko w czasie radosnych piasów, z tego powodu zapowiedziało się także wielu ojców. Ponadto zawsze zachęcałam, aby

całe rodziny uczestniczyły w szkolnych imprezach.

Zapytałam Sheilę, wiedząc, że gdyby chciała zaprosić ojca, trzeba by poczynić specjalne przygotowania, aby go ściągnąć do szkoły. Zmarszczyła czoło zamyślona.

- I tak by nie przyszedł.

- Anton by go przyprowadził, gdyby zechciał przyjść. Nie będzie problemu, jeśli nas uprzedzisz.

- Myślę, że i tak by nie przyszedł. Nie lubi specjalnie szkoły.

- Ale mógłby zobaczyć, jak występujesz w przedstawieniu i śpiewasz. Założę się, że byłby z ciebie dumny. - Siedziałam na jednym z tych malutkich krzeseł, żeby pozostać na jej poziomie. - Wiesz, Sheilo, poczyniłaś ogromne postępy od stycznia. Teraz jesteś kimś zupełnie innym. Jesteś o wiele spokojniejsza.

Przytaknęła mi gorliwie.

- Przedtem ciągle coś rozwalalam, a teraz już nie. I nie chciałam rozmawiać, kiedy się wściekałam. Byłam niegrzeczną dziewczyną.

- Bardzo się poprawiłaś i wiesz co? Jestem pewna, że twój tata chciałby zobaczyć, jak dobrze sobie radzisz. Byłby z ciebie dumny, ponieważ nie wie, jaka jesteś ważna w naszej klasie.

Patrzyła na mnie zmrużonymi oczami.

- Może tak.

- Na pewno.

Rano w dniu występów w klasie zjawił się niespodziewanie Chad z ogromnym pudłem. Anton zajęty był układaniem rekwizytów, a Sheilą myła zęby.

- Co tu robisz? - spytałam zdziwiona.

- Przyszedłem do Sheili.

Sheilą natychmiast zeskoczyła z krzesła, na którym stała, i podbiegła do niego.

- Najpierw wypluj całą pastę - ostrzegł ją Chad. Pomknęła z powrotem do zlewu, a kiedy wróciła za kilka sekund, wciąż widać było jasne plamy wokół jej ust. - Słyszałem, że masz dzisiaj przedstawienie.

- Tak! - zawołała, skacząc dookoła niego. - Zagram Dorotę i Torey zaplecie mi warkoczyki. Będę też śpiewała i powiem wiersz, a mój tata przyjdzie tutaj, żeby mnie zobaczyć. - Powiedziała to tak szybko, że musiała wziąć głęboki oddech. - Ty też przyjdiesz?

- Nie, ale przyniosłem ci prezent na szczęście. Sheila otworzyła oczy szeroko.

- Dla mnie?

- Dla ciebie.

Uradowana chwyciła go tak mocno za kolana, że mało się nie przewrócił.

Wiedziałam, co jest w pudle: była to długa suknia w kolorze czerwonym, białym i niebieskim, z kieszonką z przodu obszytą koronką. Piękna i droga suknia, którą Chad przywiózł z ostatniej podróży do Nowego Jorku. Opowiedziałam mu, co się stało z poprzednią, oraz o obawach Sheili w związku z noszeniem sukien. Chad przemyślał to i kupił jej długą suknię. Kiedy przyszedł do mnie, żeby mi ją pokazać, jego oczy iskrzyły się jak u małego chłopca. Wyobrażałam sobie jego ogromną postać pochyloną nad wieszakami z dziewczęcymi sukienkami; widziałam, jak rozkłada szeroko ramiona, usiłując opisać wyjątkową dziewczynkę, dla której chce kupić wyjątkową sukienkę. Chad wierzył głęboko, że znalazł to, o czym marzyła Sheila. Wierzył, że prezent ten pozwoli jej chociaż trochę zapomnieć o wydarzeniach minionego miesiąca i przywróci odrobinę magii wieczoru w dniu rozprawy.

Sheila rozerwała papier i podniosła wieko pudełka. Zawahała się na moment i skupiła wzrok na cieniutkim papierze, który częściowo zasłaniał zawartość pakunku. Potem bardzo, bardzo powoli wyjęła suknię. Spojrzała na Chada, który klęczał na podłodze tuż obok niej.

W następnej chwili upuściła sukienkę i spuściła głowę.

- Ja już nie noszę sukienek - wyszeptała przez ściśnięte gardło.

Chad spojrział na mnie wyraźnie rozczarowany. Podeszłam i przyklękłam obok nich.

- A może włożysz ją ten jeden raz? Potrząsnęła głową. Spojrzałam na Chada.

- Proszę, zostaw nas na chwilę. - Podniosłam się i zaprowadziłam Sheilę w kąt sali, za klatki ze zwierzętami. Wyobrażałam sobie, jaki zamęt panuje w tej chwili w głowie Chada. Wiedziałam też, jak bardzo cierpi Sheila. Lubiła ładne rzeczy, a suknia, którą przywiózł Chad, była naprawdę wspaniała, o wiele ładniejsza od tej, którą podarował jej w marcu. Lecz wspomnienia dziewczynki były jeszcze zbyt świeże.

Zanim weszliśmy za klatki, jej twarz wykrzywił grymas, a w oczach pojawiły się łzy. Przycisnęła dłonie do skroni, by powstrzymać płacz, ale po raz pierwszy od przyjscia do mojej klasy nie udało jej się to. Strużki łez popłynęły po jej policzkach i zaczęła szlochać.

Wreszcie nadeszła ta chwila. Chwila, na którą czekałam długie miesiące, wiedząc, że przyjdzie prędzej czy później. Wreszcie nadeszła.

Siedziałyśmy za klatkami przez kilka minut. Jej płacz tak mnie zaskoczył, że przez długą chwilę tylko patrzyłam na nią. Potem przyciągnęłam ją i przytuliłam mocno do siebie. Ścisnęła moją koszulę tak mocno, że czułam tępy ból. Kiedy zorientowałam się, że nie potrafi zapanować nad sobą, wzięłam ją na ręce i wyszliśmy z kąta. Szukałam miejsca, gdzie nikt by nam nie przeszkadzał.

- Co ja zrobiłem? - zapytał Chad zaniepokojony, z zatroskaną twarzą. - Nie chciałem...

Potrząsnęłam głową.

- Nie przejmuj się. Połóż tam sukienkę. Zaraz wrócę do ciebie, dobrze? - Odwróciłam się do Antona. - Możesz się zająć wszystkim przez chwilę?

Jedynym miejscem, jakie przyszło mi do głowy, był skład na książki. Z Sheilą na rękach, zabrałam ze sobą małe krzesło, otworzyłam pomieszczenie, weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Postawiłam krzeselko obok stosu książek i usiadłam na nim z Sheilą na kolanach.

Szlochała mocno, ale nie tak histerycznie jak przedtem. Nie przestawała płakać. Przytuliłam ją mocno i kołysałam, bujając się na krześle; czułam, jak skóra na moich rękach i piersi wilgotnieje od jej łez, gorącego oddechu i dusznego powietrza. Najpierw w moim umyśle kłębiły się na przemian myśli o zbliżającym się przedstawieniu, o tym, jak Anton daje sobie radę z dziećmi, o sytuacji Sheili. Po jakimś czasie pozbyłam się wszelkich myśli i siedziałam, czując tylko, że drętwieją mi ramiona.

Wreszcie łzy wyschły, a Sheila przypominała drżące, wilgotne zawiniątko. Wyczerpana, rozluźniła wszystkie mięśnie. W pomieszczeniu panowała duchota, a my obie byłyśmy całe w ślinie, łzach i śluzie z nosa, który zawsze towarzyszy łzom. Odgarnęłam wilgotne włosy z jej twarzy, zastanawiając się, co takiego zaszło w jej głowie, że tak zdecydowanie odrzuciła prezent Chada.

- Teraz lepiej? - spytałam cicho.

Nic nie odpowiedziała, tylko oparła się o mnie wygodniej. Jej ciałem wstrząsał dreszcz, który zwykle przychodzi po gwałtownym płaczu.

- Chce mi się wymiotować.

Natychmiast odezwał się mój nauczycielski odruch: wybiegłam szybko z pomieszczenia i popędziłam do damskiej toalety na rogu korytarza. Kiedy wyszła z kabiny, wyglądała na potwornie wyczerpaną, twarz miała opuchniętą i czerwoną, chwiała się. Na jej brodzie widniały jeszcze cieniutkie smugi pasty do zębów. Wzięłam ją na ręce.

- To się czasem zdarza - powiedziałam, gdy wróciliśmy do naszej kryjówki. - Czasem robi się niedobrze, kiedy ktoś bardzo płacze.

Skinęła głową.

- Wiem.

Miałyśmy tylko jedno krzesło, lecz ona usiadła mi na kolanach i przytuliła się do mojej wilgotnej koszuli. Siedziałyśmy przez jakiś czas w milczeniu.

- Słyszę, jak bije twoje serce - odezwała się wreszcie. Dotknęłam jej głowy.

- Myślisz, że powinnyśmy wrócić do klasy? Pewnie zaczęła się już matematyka.



- Nie.

Znowu zapadła cisza. Przez mój umysł przelatywały tysiące myśli, lecz żadna z nich nie znalazła ujścia w słowach.

- Torey?

- Słucham.

- Dlaczego on mi kupił tę sukienkę?

W tej samej chwili pomyślałam, że może Sheila uznała, iż Chad dał jej sukienkę z tego samego powodu, dla którego jej wuj Jerry zapewniał ją, że podoba mu się jej biało-czerwona sukienka. Wyobraziłam sobie, jak potwornie musiała się czuć; miły, kochany, dający bezpieczeństwo Chad obdarowuje ją prezentem, żeby mógł robić to samo, co wuj Jerry. Oczywiście nie miałam pewności, że tak było, ale wiedziałam jedno: nie powinnam jej zapewniać, że Chad zrobił to z „miłości”.

- Ponieważ powiedziałam mu, że tamta jest zniszczona. Uznał, że może chciałabyś włożyć coś ładnego na przedstawienie. - Przeczesałam palcami jej jedwabiste włosy. - Zapomniałam mu tylko powiedzieć, że ty już nie nosisz sukienek. To moja wina.

Nic nie odpowiedziała.

- Wiesz przecież, że Chad nigdy by się nie zachował tak jak twój wuj Jerry. On wie, że nie wolno tak postępować wobec dziewczynek. Nie chciał cię zranić swoim prezentem. Nigdy by cię nie skrzywdził.

- Wiem. Nie chciałam płakać.

- To nic, kochanie. Chad rozumie, że wiele przeszłaś ostatnio. Nikomu nie przeszkadza, że płaczesz. Czasem jest to jedyny sposób, żeby poczuć się lepiej. Wszyscy o tym wiemy. Nikt się nie gniewa na ciebie, kiedy płaczesz.

- Chciałam tę sukienkę - powiedziała cicho. - Bardzo ją chciałam, ale się przestraszyłam. A potem nie mogłam przestać.

- Wszystko w porządku, naprawdę. Chad rozumie małe dziewczynki, tak jak my wszyscy.

- Nie wiem, dlaczego płakałam. Nie wiem, co się stało.

- Nie myśl już o tym.

Czułam coraz większy niepokój na myśl o tym, że zostawiłam na tak długo dzieci, które podekscytowane czekały na przedstawienie.

- Sheil, muszę wracać do klasy. Dzieci zostały z Antonem. Ty możesz wrócić ze mną albo pójść na dół do gabinetu pielęgniarki i odpocząć tam trochę.

- Czy muszę wrócić do domu dlatego, że wymiotowałam?

- Nie, nie jesteś chora. Zsunęła się z moich kolan.

- Mogę tylko trochę odpocząć? Jestem zmęczona.

Wyjaśniłam pielęgniarce, że Sheila poleży trochę, ale nie musi wracać do domu, a ja przyjdę do niej w czasie przerwy, za pół godziny. Sekretarka dała nam koc, którym przykryłam Sheilę na jednej z leżanek.

- Torey? - odezwała się, kiedy ją otulałam kocem.

- Myślisz, że jeszcze mogę dostać tę sukienkę? Mogłabym ją włożyć.

Uśmiechnęłam się.

- Oczywiście. Chad zostawił ją dla ciebie. Kiedy wróciłam do niej w czasie przerwy, Sheila spała. Przespała cały ranek i obudziłam ją dopiero na lunch.

W tamto majowe popołudnie pewnie L. Frank Baum i Judy Garland przewracali się w grobach. Jedynymi wspólnymi cechami, które łączyły nasze przedstawienie ze słynną książką czy filmem, był tytuł i postacie.

Sheila zagrała Dorotę głównie dlatego, że potrafiła szybko myśleć i improwizować dialogi. Tyler i Sarah także chciały otrzymać tę rolę, co doprowadziło do dość ostrych starć i przez chwilę groziło rozpadem duetu producentów Sarah-Peter. Jednak autorytet Petera w sprawach obsady wziął górę i rolę otrzymała Sheila. Zadaniem Tyler było odtworzyć postacie wszystkich złych czarownic. Sarah zamieniła się w Stracha na Wróble. William zagrał Tchórzliwego Lwa, a Guillermo samego Czarnoksiężnika. Ze zdziwieniem dowiedziałam się, że Peter obsadził Susannah w roli dobrej Czarownicy Gladioli; była to jeszcze jedna rola, o którą zabiegali aktorzy. Próbowałam domyślić się, dlaczego właśnie ona, i jedyny powód, jaki przyszedł mi do głowy, był taki, że przy swojej subtelnej urodzie nawet bez kostiumu wyglądała jak wróżka. Oczywiście Peter miał swoje powody, których jednak nie chciał ujawnić. Freddie zagrał Munczkiną, a Max Skrzydlatą Małpę. Naturalnie Peter wcielił się w Blaszanego Drwala.

Jedynie rodzice czy nauczyciele, którzy darzą ogromną miłością nieświadomie zabawne dzieci, potrafiliby właściwie ocenić wersję *Czarnoksiężnika z Oz*, jaką przedstawiła moja klasa. Sheila, świeża i wypoczęta, włożyła suknię od Chada, odrzucając kostium, który przygotowała dla niej Whitney. Pełna energii, podskakiwała żywo między rekwizytami, recytując swoją rolę. Freddie natomiast nawet nie drgnął. Siedział w jednym miejscu, ze śmiesznym kapeluszem Munczkiną na głowie i machał do swojej mamy, która siedziała na widowni. W pewnym momencie Sheila potknęła się o jego grube nogi i usiadła mu na kolanach. Ostatecznie Anton musiał go ściągnąć ze sceny. Postać Tchórzliwego Lwa idealnie pasowała do Williama. Pewnie dlatego, że tak dobrze wiedział, co to strach. Doskonale odegrał

swoją rolę, dygocąc i trzęsąc się przez cały czas. Niespodziewanie dobrze spisała się też Susannah Joy w roli Gladioli. Wpłynęła na scenę, a potem snuła się po niej, sprawiając wrażenie całkowicie oderwanej od rzeczywistości, tak jak zawsze, popiskując cieniutkim głosikiem. Na tle naszej scenerii wyglądało to niezwykle naturalnie.

Jedynym poważniejszym problemem, jaki wynikł w czasie przedstawienia, była gadatliwość Sheili; większość swoich dialogów przerywała długimi komentarzami, w których objaśniała, co się dzieje, na wypadek gdyby ktoś z widowni czegoś nie zrozumiał. Te przydługie wstawki zupełnie dezorientowały jej partnerów, dlatego w czasie jednego z takich monologów Peter wkroczył na scenę i kazał jej się zamknąć.

Pozostałe części programu przebiegły bez zakłóceń. Nikt nie zapomniał słów wierszy ani piosenek, które dzieci zaśpiewały z werwą, choć nie całkiem zgodnie z melodią. Po przedstawieniu częstowaliśmy ciasteczkami i ponczem, a dzieci pokazywały rodzicom swoje prace wykonane w szkole.

Przyszedł także ojciec Sheili. Ubrany w wytarty garnitur, który z trudem mieścił jego brzuch, i cuchnący tą samą taną wodą po goleniu, posadził swoje ogromne cielsko na jednym z malutkich krzesłek. Przez cały czas modliłam się, żeby się pod nim nie załamało. Po raz pierwszy zobaczyłam, jak uśmiecha się do swojej córki, kiedy przybiegła do niego po pierwszej części występów. Był na tyle uprzejmy, że przyszedł trzeźwy, co więcej, wydawał się zadowolony. Nic nie powiedział na temat sukni Sheili, dopóki sama nie wyjaśniłam mu, że dostała ją od Chada. Długo patrzył na córkę, po czym ponownie zwrócił się do mnie, wyciągając portfel z kieszeni marynarki.

- Nie mam dużo pieniędzy - powiedział cicho. Struchlałam na myśl o tym, że będzie próbował zapłacić za prezent, domyślając się pewnie, jaki jest kosztowny. Ale jemu chodziło o coś innego. - Jeśli dam pieniądze, czy pójdzie pani z Sheilą, żeby kupić jej jakieś codzienne ubranie? Wiem, że trzeba ją ubrać, no... a kobieta najlepiej ... - Urwał, odwracając wzrok. - Mnie trudno utrzymać pieniądze, wie pani. Dlatego pomyślałem, że... - Podał mi banknot dziesięciodolarowy.

Skinęłam głową.

- Dobrze. Pójdę z nią do sklepu w przyszłym tygodniu po lekcjach.

Uśmiechnął się do mnie; smutny uśmiech przez zaciśnięte usta. Zaraz potem zniknął. Patrzyłam na banknot. Niezbyt dużo pieniędzy, żeby kupić ubranie, ale przynajmniej próbował. Na swój sposób zadbał, aby trafiły tam, gdzie powinny, zanim zamieni je na butelkę. Mimowolnie poczułam do niego sympatię, współczułam mu bardzo. Nie tylko Sheilą była ofiarą; także jej ojciec potrzebował pomocy, jaką ona otrzymała, i zasługiwał na nią. Kiedyś był

małym chłopcem, któremu nikt nie ulżył w bólu i cierpieniu. Teraz stał się mężczyzną. Gdyby tylko znalazło się więcej ludzi, którzy potrafią kochać bez względu na wszystko, pomyślałam ze smutkiem.

I nagle do końca roku pozostały zaledwie trzy tygodnie. Znalazłam się w wirze spraw, których nie zdążyłam doprowadzić do końca. A było ich dużo. Rozpoczęłam też przygotowania do przeprowadzki, która miała nastąpić niedługo po zakończeniu roku szkolnego. Kolejne wieczory poświęcałam na pakowanie w pudła mnóstwa przedmiotów, jakie nagromadziłam przez lata.

Wtedy nie powiedziałam jeszcze dzieciom, że klasa zostanie rozwiązana. Niektóre z nich wiedziały, że od następnego roku zostaną przeniesione do mniej rygorystycznych miejsc. William miał przejść do zwykłej klasy piątej z nauczaniem dodatkowym. Przez ostatnie trzy miesiące chodził na czytanie i matematykę do jednej z klas czwartych w głównym budynku. Także dla Tyler przewidziano nowy program. Wciąż była to klasa zamknięta, ale w założeniach bardziej zbliżona do zwykłej klasy.

Nie zdecydowaliśmy jeszcze, co zrobić z Sarah. Wprawdzie poczyniła postępy w mojej klasie, ale wciąż wycofywała się w większych grupach. Uważałam, że potrzebuje jeszcze przynajmniej roku w klasie specjalnej, ale była już prawie gotowa. Jeśli chodzi o Petera, obawiałam się, że nigdy nie wyjdzie poza program klasy specjalnej. Na skutek pogarszającego się stanu jego systemu nerwowego zachowanie chłopca nie ulegało poprawie. Był zbyt niepoohamowany i impulsywny w swoich reakcjach, by móc wypuścić go spod kontroli w zwykłej klasie. Rodzina Guillerma postanowiła przeprowadzić się, natomiast dla Maxa, Freddiego i Susannah przewidziano programy specjalne. Freddie miał zostać umieszczony w klasie dla dzieci mocno opóźnionych; nauczycielka wyrażała nadzieję, że nie będzie sprawiał większych kłopotów. Przychodziła kilkakrotnie do naszej klasy, żeby mu się przyjrzeć. Max poczynił duże postępy. Jego mowa bardzo się poprawiła i w coraz mniejszym stopniu stosował eholalię. Oboje z Susannah mieli zostać objęci specjalnym programem dla dzieci autystycznych.

A Sheila? Sheila. Jeszcze nie rozmawiałam z nią o zbliżającym się końcu. Odkładałam to, ponieważ nie wiedziałam, jak zareaguje, kiedy jej o tym powiem. Krótko mówiąc, bałam się. To nie była już przestraszona, skurczona dziewczynka, którą przyciągnięto do naszej klasy w styczniu, czy choćby uczepiona mojego paska dziewczyna z lutego. Nie mówiła już o Jimmiem, nie wspominała o tym, że pozostawiono ją na autostradzie. Mimo wszystko jej równowaga była wciąż bardzo krucha. Według mnie, nie potrzebowała już specjalnej klasy. Obawiałam się nawet, że zostałaby tam zignorowana z powodu swoich umiejętności

werbalnych oraz troszczenia się o siebie. Co więcej, podejrzewałam, że gdyby znalazła się w takiej klasie, powróciłaby do pewnych negatywnych zachowań, żeby zwrócić na siebie uwagę innych. Potrzebowała kogoś, kto by się nią zainteresował. Zamierzałam porozmawiać z Edem, aby umieszczono ją w trzeciej klasie, pomimo że była takamą, co by bardziej zbliżyło ją do innych dzieci, lecz miałam także na uwadze poziom jej wiedzy. Pomimo swoich problemów emocjonalnych była dojrzała, jak na swój wiek. A poza tym jedna z moich przyjaciółek uczyła w trzeciej klasie w jednej ze szkół na drugim końcu miasta. Mogłaby tam jeździć szkolnym autobusem, ponieważ szkoła ta znajdowała się o wiele bliżej obozu emigrantów niż moja, a ponadto utrzymanie jej w normalnej klasie było tańsze niż przetrzymywanie jej w klasie specjalnej. Sandy na pewno dobrze by się nią zaopiekowała. Chciałam mieć pewność, że tak będzie.

By wprowadzić Sheilę w życie zwykłej klasy, postanowiłam zaprowadzić ją na lekcję matematyki do drugiej klasy w naszej szkole. Była to klasa Nancy Ginsberg, bardzo miłej i oddanej nauczycielki. Ona to jedna z pierwszych zaprosiła naszą klasę do wspólnych zajęć. Tak więc podeszłam do niej któregoś popołudnia i zapytałam, czy zechciałaby przyjąć Sheilę na lekcję matematyki. Wyjaśniłam jej, że poziomem wiedzy Sheila wykracza poza drugą klasę, ale chciałam pomóc jej przystosować się do rygorów zwykłej klasy. Najpewniej czuła się w matematyce, więc uznałam, że najlepiej byłoby zacząć od tego przedmiotu. Nancy zgodziła się.

- Wiesz co? - zwróciłam się do Sheili, kiedy odkładałyśmy do szafki zabawki po czasie wolnym.

- Co?

- Odtąd będziesz robiła coś specjalnego. Będziesz chodziła na lekcję do zwykłej klasy. Spojrzała na mnie uważnie.

- Jak to?

- Rozmawiałam z panią Ginsberg, a ona zgodziła się, żebyś przychodziła do niej na matematykę.

- Tak jak Wiliam?

- Właśnie.

Pochyliła się nad klockami, które sprzątała.

- Nie chcę.

- Jeszcze tego dobrze nie przemyślałaś. Spodoba ci się to. Pomyśl tylko, będziesz w zwykłej klasie. Pamiętasz, kiedyś mówiłaś mi, że chcesz pójść do zwykłej klasy. Teraz będziesz w niej.

- Nie chcę.

- Dlaczego?

- Tu być moja klasa. Nie chcę do innej.

- Tylko na matematykę. Zmarszczyła nos.

- Matematykę lubię najbardziej. To niesprawiedliwe, że każesz mi wychodzić na moją ulubioną lekcję.

- Tutaj też będziesz mogła uczyć się matematyki, jeśli zechcesz. A od poniedziałku będziesz miała także matematykę u pani Ginsberg.

- Nie.

Tak więc Sheili wcale nie spodobał się mój pomysł. Na każdy argument natychmiast przedstawiała kontrargument. Boczyła się przez resztę dnia, aż w pewnym momencie oświadczyłam jej, że słyszałam już wszystko, co miałyśmy do powiedzenia. Zapowiedziałam, że będzie chodzić na matematykę i ma dwa dni na przygotowanie się, ja zaś postaram się, aby jej to ułatwić.

Tupiąc nogami ze złości, odeszła w kąt i potrząsnęła mocno klatką Cebulki. Poszłam za nią i przyciągnęłam do stołu, gdzie przedstawiłam jej dwie możliwości: będzie lepiej panować nad sobą albo pójdzie do cichego kąta. Na to Sheila zerwała się na nogi i pomaszzerowała obrażona do cichego kąta. Potrząsając krzesłem, usiadła na nim.

Poszłam do Williama, żeby pomóc mu przy rysunkach, i więcej nie zwracałam na nią uwagi. Sheila pozostała na swoim miejscu przez resztę popołudnia, chociaż oboje z Antonem informowaliśmy ją, że nie musi tam siedzieć, jeśli się uspokoiła. Zignorowała nawet zaproszenie Sarah do pomocy przy przygotowaniu przekąsek.

Ponieważ wyraźnie chciała, abym poczuła się źle, zostawiłam ją po lekcjach z Antonem, po czym zeszłam do pokoju nauczycielskiego, aby przygotować się do zajęć. Uznałam, że najlepiej będzie zostawić ją samą. Kiedy wróciłam tuż przed piątą, Sheila leżała na poduszce, zajęta czytaniem.

- Przestałaś się wściekać? - spytałam.

Skinęła głową nonszalancko, nie podnosząc wzroku znad książki.

- Będziesz żałowała, że mnie zmusiłaś, żebym tam szła.

- A co to ma znaczyć'?

- Jeśli każesz mi tam pójść, będę niegrzeczna. Wtedy ona odeśle mnie z powrotem. Wtedy już nie będziesz mogła mnie zmusić.

- Sheilo - powiedziałam, tracąc cierpliwość - zastanów się nad tym przez chwilę. Przecież nie chcesz tego.

- Właśnie że tak - odparła. Siedziała ze wzrokiem utkwionym w książce.

Zerknęłam na zegar. Niebawem miała pójść do domu. Nie cierpiałam, kiedy zachowywała się w ten sposób. Klęknęłam obok niej.

- O co chodzi, dziecinko? Dlaczego nie chcesz tam pójść? Myślałam, że ci się spodoba lekcja w zwykłej klasie.

Wzruszyła ramionami.

Wyjęłam książkę z jej ręk, zmuszając do tego, żeby spojrzała na mnie.

- Sheil, powiedz, co myślisz naprawdę. Wiesz, że nie mogę cię tam posłać, jeśli zamierzasz rozrabiać. W tym punkcie jesteś górą. Nie chcę sprawiać kłopotu pani Ginsberg. Ty też tego nie chcesz.

- Chcę.

- Sheil...

Wreszcie podniosła głowę i zobaczyłam jej niebieskie oczy.

- Dlaczego nie chcesz mnie już tutaj?

- Nigdy tego nie powiedziałam. Chcę cię. Ale chcę też, żebyś się nauczyła, jak jest w normalnej klasie, żebyś mogła tam wrócić.

- Wiem, jak jest w normalnej klasie. Byłam w takiej, zanim tu przyszłam. Ale ja chcę być w tej zwariowanej klasie. Zegar pokazywał prawie piątą.

- Posłuchaj, Sheil, nie mamy czasu. Będziesz musiała biec, żeby nie spóźnić się na autobus. Porozmawiamy o tym jutro.

Jednak Sheila nie miała ochoty na dalsze dyskusje. Tak więc w poniedziałek rano posłałam ją na czterdzieści pięć minut do klasy pani Ginsberg. Już po piętnastu minutach Anton musiał przyprowadzić ją z powrotem. Podarła wszystkie papiery, porozrzuciła ołówki i podstawiała nogę jakiemuś biednemu drugoklasiście, który, choć był dwa razy większy od niej, niczego się nie spodziewał. Kiedy Anton wciągał ją do klasy, kopała i wrzeszczała, lecz natychmiast ucichła, gdy tylko znaleźli się w środku. Na jej ustach pojawił się uśmiech zadowolenia. Opadłam na krzesło obok Maxa i zakryłam twarz dłońmi, tymczasem Anton odprowadził Sheilę do cichego kąta.

Nie chciałam od razu rozmawiać z nią o jej zachowaniu w klasie pani Ginsberg, ponieważ rozpierała mnie złość i nie ufałam sobie, a także dlatego, że zdałam sobie sprawę, iż nadszedł czas, aby przedyskutować z nią sprawę jej przyszłości. Kiedy się uspokoiłam, pozwoliłam jej opuścić cichy kąt i przyłączyć się do pozostałych dzieci.

Najwyraźniej taki otwarty bunt przeciwko mnie bardzo przestraszył Sheilę. Przez resztę dnia wychodziła z siebie, aby pokazać mi, jaka jest dobra i grzeczna. Zaskoczył ją także fakt, że poza odesłaniem jej do cichego kąta, nie doszło między nami do konfrontacji. W pewnej chwili



zapytała mnie nawet, kiedy się na nią rozniewam. Uśmiechnęłam się tylko, nie chcąc, aby pomyślała, że moją obojętnością potwierdzam chęć pozbycia się jej. Powiedziałam więc, że porozmawiamy na ten temat później, kiedy będziemy miały więcej czasu. Nie uspokoiła jej moja odpowiedź i przez resztę dnia chodziła za mną w bezpiecznej odległości.

Po skończonych lekcjach odprowadzałam dzieci do autobusów. Kiedy wróciłam, Sheila stała pod ścianą przy klatkach i patrzyła na mnie przestraszonym wzrokiem. Wskazałam głową na jeden ze stołów.

- Chodź, tutaj, dziecinko. Chyba czas, żebyśmy porozmawiały. Podeszła wolno i usiadła naprzeciwko mnie. Oczy miała szeroko otwarte, a twarz wyraźnie przestraszona.

- Wściekłaś się na mnie?

- Za to, co zrobiłaś rano? Przedtem tak, ale nie teraz. Chcę tylko wiedzieć, co się z tobą dzieje. Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz tam chodzić. W zeszłym tygodniu nie chciałaś też rozmawiać ze mną o tym. Chcę się po prostu dowiedzieć. Zwykle jeśli czegoś nie robisz, masz ku temu słuszne powody, dlatego przeważnie ci ufam.

Przyglądała mi się uważnie.

- A zatem?

- Tu być moja klasa - odpowiedziała. Użyła bezokolicznika, a prawie już tego nie robiła.

- Owszem i wcale nie próbuję cię z niej wyrzucić. To tylko trzydzieści pięć minut wyjętych ze wszystkich lekcji. Myślę, że już czas, abyś pomyślała o zwykłej klasie na przyszły rok.

- Nie idę do żadnej zwykłej klasy. Tu być moja klasa. Milczałam przez chwilę.

- Sheil, mamy już maj. Za kilka tygodni skończy się rok szkolny. Czas się zastanowić, co będzie w przyszłym roku.

- Tutaj będę w przyszłym roku. Poczułam ogarniający mnie smutek.

- Nie - odpowiedziałam jej cicho. Jej oczy rozbliły.

- Tak! Będę najgorszą dziewczyną na świecie. Będę robiła złe rzeczy i każą ci zostawić mnie tutaj. Nie pozwolą ci posłać mnie gdzie indziej.

- Och, Sheil - jęknęłam. - Nigdzie nie pójde. Znowu będę zła.

- Kotku, to nie tak. Nie chcę cię stąd wyrzucać. Boże, Sheilo, posłuchaj mnie, dobrze? - Zakryła uszy dłońmi.

Kiedy spojrzała na mnie, dostrzegłam w jej oczach gniew i ból, a także dobrze mi znany błysk zwiastujący zemstę.

- Tej klasy nie będzie już w przyszłym roku - powiedziałam cicho, ale z pewnością usłyszała mnie poprzez ręce.

Wyraz jej twarzy zmienił się w jednej chwili, jakby spłynęła po niej fala. Opuściła dłonie. Gniew pozostawił po sobie tylko bladość.

- Jak to? A gdzie będzie?

- W ogóle jej nie będzie. Władze uznały, że już nie jest potrzebna. Wszystkie dzieci mogą pójść do innych klas.

- Nie jest potrzebna? - zawołała. - Oczywiście, że jest! Ja jej potrzebuję! Ciągłe jestem zwariowana. Potrzebuję klasy ze zwariowanymi dziećmi. Tak samo jak Peter, Max i Susie. Ciągłe jesteśmy zwariowanymi dziećmi.

- Nie, Sheil, nie jesteś zwariowana. Nie jestem pewna, czy w ogóle byłaś kiedykolwiek. Ale teraz na pewno nie jesteś zwariowana. Musisz przestać myśleć w ten sposób.

- No to będę. Zrobię dużo złych rzeczy. Nigdzie nie pójde. - Jej twarz zastygła w bezruchu.

- Wyjeżdżam w czerwcu. Po zakończeniu roku szkolnego przenoszę się. Ciężko mi o tym mówić, ponieważ tak bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Ale wreszcie nadszedł czas. Kocham cię tak samo jak przedtem i nie zostawiam cię dlatego, że czegoś nie zrobiłaś czy też coś zrobiłaś. Po prostu taką podjęłam decyzję. Jedną z takich, jakie podejmują dorośli.

Nie odrywała ode mnie wzroku. Łokcie oparła o brzeg stołu, złożyła razem dłonie i oparła na nich brodę. Jej oczy w kolorze wodnej głębi błędziły po mojej twarzy, lecz mnie nie widziały.

- Wszystko się kończy, Sheil. Ja jestem nauczycielką, więc mój koniec nadchodzi w czerwcu. Przeżyłyśmy wspólnie wspaniałe chwile, których nie zamieniłabym za nic w świecie. Tak bardzo się zmieniłaś. Podobnie jak i ja. Obie dorastałyśmy i wreszcie nadszedł czas, aby się przekonać, na ile to się przydało. Myślę, że jesteśmy gotowe. Ty też jesteś gotowa, żeby spróbować samodzielności. Jesteś JAIŻ wystarczająco silna.

Łzy szybko napłynęły jej do oczu i popłynęły strużkami po jej okrągłych policzkach na brodę. Lecz ona siedziała nieruchomo, z twarzą opartą na dłoniach. Czułam, że zaczyna mi brakować słów. Często zapomniałam, że ona ma dopiero sześć lat. Dopiero w lipcu miała skończyć siedem. Zapomniałam o tym, ponieważ jej oczy były takie dorosłe.

Powoli położyła dłonie na stole i opuściła głowę. Siedziała tak przez chwilę, a łzy wciąż płynęły po jej policzkach. Potem wstała, odwróciła się ode mnie, poszła w przeciwną stronę klasy i usiadła na podłodze między poduszkami. Ponownie zakryła twarz dłońmi. Wciąż milczała.

Ja także się nie odzywałam, czując niemal emanujący z niej ból, ponieważ był to też mój ból. Czy tym razem za bardzo się zaangażowałam, zastanawiałam się. Czy, pomimo jej

postępów, nie nauczyłam jej za bardzo polegać na mnie? Czy nie lepiej byłoby zostawić ją taką, jaką ją poznałam w styczniu, i po prostu nauczać raczej, niż hartować w codziennych zmaganiach i próbach kochania innych? Wśród kolegów zawsze uchodziłam za niezależną jednostkę. Wyznawałam niezbyt popularną na polu edukacji dewizę: „lepiej kochać i stracić”. Na wszystkich kursach powtarzano, żeby się nie angażować. Zawsze potem bolało, a im bardziej kochałam dziecko, tym bardziej bolało. Lecz przedtem, zawsze kiedy musieliśmy się rozstać albo kiedy uczciwie musiałam przyznać, że nie potrafię zrobić dla niego nic więcej, potrafiłam odejść. Potrafiłam je zostawić, ponieważ zawsze zabierałam ze sobą bezcenne wspomnienia wspólnie przeżytych chwil; wierzyłam, że nie można dać innej osobie nic więcej poza dobrymi wspomnieniami. Nawet gdybym pracowała z Sheilą przez następne kilka lat, nic nie zapewniłoby jej szczęścia. Tylko ona mogła to uczynić. Ja mogłam dać jej swój czas i miłość. Ale nawet i wtedy nasze rozstanie byłoby równie bolesne, a z moich wysiłków pozostałyby tylko wspomnienia.

Patrząc na nią, obawiałam się, że zabrakło mi czasu, aby dostatecznie zaleczyć jej rany, że może nie jest jeszcze wystarczająco silna, aby znieść trudy mojej edukacji. Ja byłam gotowa, ale Sheilą, której nie dałam innej szansy, może nie. Serce mnie bolało na myśl, że tym razem dostałam niewłaściwe dziecko, które zraniłam, zamiast mu pomóc. Będąc teoretykiem, można działać niekonwencjonalnie, lecz w praktyce bezpieczniej jest pozostać konformistą.

Podniosłam się powoli i podeszłam do niej; wciąż siedziała w milczeniu, pochlipując.

- Odejdź - odezwała się przez ręce.

- Dlaczego? Dlatego że płaczesz? Opuściła dłonie i spojrzała na mnie.

- Nie. Ponieważ nie wiem, co robić.

Usiadłam i przysunęłam sobie poduszkę. Po raz pierwszy nie miałam ochoty przytulić jej, aby ukoić jej ból. Czułam niemal fizycznie godność, którą spowijała niczym płaszcz. Byłyśmy sobie równe. Nie byłam już tą mądrzejszą, bystrzejszą, silniejszą. W naszym poczuciu człowieczeństwa stałyśmy się sobie równe.

- Dlaczego nie zostajesz i nie chcesz pracować, żebym była lepsza? - zapytała niespodziewanie.

- Ponieważ to nie ja sprawiam, że jesteś lepsza, ale ty sama. Ja jestem tutaj tylko po to, żeby uprzytomnić ci, iż jest ktoś, kogo obchodzi to, czy jesteś dobra czy nie. Kogo obchodzi, co się z tobą dzieje. I zawsze będę o tobie myślała, bez względu na to, gdzie się znajdę.

- Jesteś jak moja mama - odparła. Powiedziała to spokojnym głosem, w którym nie wyczułam tonu oskarżenia, jakby już zrozumiała, o co tu chodzi.

- Nie, nie jestem, Sheilo. - Przyglądałam jej się uważnie. - A może masz rację. Może

twojej mamie tak samo trudno przyszło zostawić cię, jak i mnie. Może i ona cierpiała równie mocno.

- Ona nigdy mnie nie kochała. Bardziej kochała mojego brata. Zostawiła mnie na drodze jak psa. Jakbym nie była jej.

- Nie wiem, jak było. Nie potrafię nic powiedzieć na temat twojej mamy ani tego, jak postąpiła z tobą. I, wierz mi, Sheilo, ty też nie wiesz. Znasz tylko swoje uczucia. Ale twoja mama i ja różnimy się. Nie jestem twoją mamą. Nie jestem, bez względu na to, jak bardzo pragniesz, aby tak było.

Kolejne łzy popłynęły po jej policzkach. Przesuwała dłońią po pasku swoich spodni.

- Wiem.

- Wiedziałam, że zdajesz sobie z tego sprawę. Ale wiedziałam też, że marzyłaś. Podobnie jak ja czasami. Jednak to zawsze były tylko marzenia. Jestem twoja nauczycielką, a kiedy skończy się rok szkolny, pozostanę twoją przyjaciółką. Będę nią tak długo, jak zechcesz, zawsze.

Podniosła głowę.

- Nie rozumiem, dlaczego dobre rzeczy zawsze się kończą?

- Wszystko ma swój koniec.

- Nie wszystko. Złe rzeczy nie. One nigdy nie odchodzą.

- Odchodzą. Odchodzą, jeśli im pozwolisz. Może nie tak szybko, jak byśmy sobie tego życzyli, ale także się kończą. Natomiast nigdy nie kończą się nasze uczucia. Nawet kiedy jesteśmy już dorośli i mieszkamy gdzie indziej. Zawsze będziesz pamiętać dobre chwile, które wspólnie przeżyliśmy. Możesz mnie pamiętać, nawet jeśli będzie się działo coś złego, co wydaje się nie mieć końca. A ja będę pamiętała ciebie.

Nieoczekiwanie na jej ustach pojawił się uśmiech, słaby, raczej smutny.

- Tak będzie dlatego, że się oswoiliśmy. Pamiętasz tamtą książkę? Pamiętasz, jak mały chłopiec rozgniewał się, bo tyle się natrudził, żeby oswoić lisa, a lis później się rozplakał, bo musiał odejść? - Uśmiechnęła się, powracając w myślach do tamtych chwil. Łzy na jej policzkach wyschły. - A lis mu powiedział, żeby się nie martwił, ponieważ on zawsze będzie pamiętał pszeniczne pola. Pamiętasz?

Przytaknęłam jej.

- My też oswoiliśmy się, prawda?

- Oczywiście.

- Czasem ludzie płaczą, kiedy się oswajają, tak? W tamtej książce ciągle płakali, a ja nie wiedziałam dokładnie dlaczego. Myślałam, że płacze się tylko wtedy, gdy ktoś cię zbije.

Znowu jej przytaknęłam.

- Tak, trzeba się liczyć z tym, że będziesz płakała, jeśli pozwalasz się komuś oswoić. To chyba jest częścią osvajania. Sheila zacisnęła usta i otarła policzki.

- Ale to i tak wciąż boli, prawda?

- Tak, mimo wszystko to boli.

Następnego ranka Sheila wróciła do klasy pani Ginsberg i wytrzymała całe trzydzieści pięć minut bez większych kłopotów. Nasze problemy nie zniknęły. Sheila rozumiała, że zbliża się koniec roku szkolnego i że się rozstaniemy, lecz wciąż nie potrafiła się z tym pogodzić. Podejrzywałam, że nie upora się z tym przez dwa ostatnie tygodnie. Dryfowała między złością wobec mnie za to, że ją zostawiam, a strachem przed tym, że zamierzam to zrobić. Nie potrafiła zrozumieć, że to, co wydarzyło się między nami, było czymś innym od tego, co wydarzyło się między nią a jej matką. Co pewien czas powracałyśmy do tego tematu, zagłębiając się w szczegóły jeszcze bardziej niż w okresie jej obsesyjnych rozmów o matce. Uczepiła się *Małego Księcia* i wykorzystała go jako literacki dowód na to, że ludzie się rozstają, że jest to bolesne, że płaczą, lecz wciąż się kochają. Prawie nie rozstawiała się z książką i potrafiła cytować całe jej fragmenty. Ponieważ był to tekst drukowany, traktowała go z większą ufnością niż moje słowa.

Z pewnością nauczyła się płakać. W ciągu następnych dni często widywałam ją zapłakaną lub na granicy łez. Jej oczy przypominały ciekące kurki; łzy płynęły po jej policzkach, nawet kiedy się śmiała w czasie zabawy. Kiedy ją pytałam, często nie potrafiła powiedzieć, dlaczego płacze. Nie przejmowałam się tym zbytnio. Minęło tak dużo czasu od chwili, kiedy ostatnio płakała, że uznałam, iż musi się do tego przyzwyczaić, poznać lepiej ten rodzaj emocji, a jeśli pomagało jej to przygotować się do przyszłych wydarzeń, to tym lepiej. Z czasem płakała coraz rzadziej.

Spod warstwy smutku przebijała jednak radość i odwaga. Było to dla niej najtrudniejsze zadanie. Wszystko, co wcześniej wydarzyło się w jej życiu, nie zależało od niej; mogła jedynie zgodzić się na coś, a potem próbować przetrwać. Jednak wiedziała, że to nadchodzi, dlatego dzielnie zmagą się z samą sobą. A ja wiedziałam, że sobie poradzi, kiedy patrzyłam, jak walczy ze łzami z przyciśniętym do piersi wymiętoszonym egzemplarzem *Małego Księcia* i słuchałam jej nie kończących się pytań o przyszłość. Była silna, prawdopodobnie silniejsza ode mnie. Praca z dziećmi z zaburzeniami emocjonalnymi przekonała mnie o ich wytrzymałości. One wcale nie były takie kruche, jak wielu uważało. Świadczył o tym choćby sam fakt, że przetrwały. A kiedy da im się narzędzia, których u siebie w ogóle nie zauważamy, kiedy otrzymają miłość, pomoc, zaufanie i poczują smak własnej wartości, idą dalej poza granice przetrwania, idą po zwycięstwo. W przypadku Sheili nie miałam wątpliwości, że się nie podda.

Podczas ogólnego zamieszania, jakie niósł ze sobą koniec roku szkolnego, nadeszły moje urodziny. A urodziny w naszej klasie były wielkim wydarzeniem dlatego, że większość

dzieci nie obchodziła ich nigdzie indziej, a także dlatego, że po prostu lubię przyjęcia. Nie widziałam powodu, dla którego dzieci nie miałyby świętować urodzin Antona, Whitney czy moich. W końcu my też się urodziliśmy, a ja nie miałam zamiaru udawać, że nic mnie to nie obchodzi. Tak więc w dzień moich urodzin przyniosłam ogromny żółty tort w kształcie słonia i lody czekoladowe.

Jednakże dzień nie minął najlepiej. Nic strasznego się nie stało, zwykłe wpadki, jakie przydarzają się dzieciom. Peter wdał się w bójkę w autobusie i przyszedł do szkoły w ponurym nastroju i z rozkwaszonym nosem. W czasie przerwy Sarah wściekła się na Sheilę, która z kolei wściekła się na Tyler, a ta rozplakała się. Wtedy Sheila posypała piaskiem Sarah, która także się popłakała. Z tego powodu przez cały dzień ktoś wchodził i wychodził z cichego kąta. Ale tak naprawdę straciłam cierpliwość dopiero po południu. Kiedy Whitney zeszła do pokoju nauczycielskiego po lody, jedna z klas piątych przez pomyłkę próbowała je sobie przywłaszczyć. Podczas naszych przygotowań Peter i William ciskali się po całej klasie, udając, że żonglują kilkoma klockami. Prosiłam ich, żeby się uspokoili, lecz nie posłuchali mnie. Jedno z dzieci uwiesiło się mojego rękawa, więc przez chwilę skupiłam na nim swoją uwagę. I wtedy usłyszałam głośny huk. William rzucił klocek do Petera, ten cofnął się, próbując go złapać i wpadł na Sheilę, która siedziała na podłodze. Przewrócili się oboje. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Sheila podniosła już klocek, by rzucić nim w Petera. On zaś podniósł krzesło i cisnął nim w jej stronę. Krzesło uderzyło w stół, potem w Maxa i wreszcie w tort. Mój żółty słon rozpląszczył się na dywanie.

- No nie, tego już za wiele! - zawołałam. - Wszyscy na krzesła i głowy w dół.

- Ale ja nic nie zrobiłem - zaprotestował Guillermo. - To nie moja wina.

- Wszyscy.

Dzieci znalazły sobie krzesła i usiadły na nich, nawet Max i Freddie. Wszystkie poza Sheila.

- Nie moja wina, że głupi Peter potknął się o mnie - powiedziała. Siedziała na podłodze w miejscu, gdzie Peter ją przewrócił.

- Siadaj na krzesło i głowa w dół, tak jak wszyscy. Mam was dość. Przez cały dzień wciąż tylko się kłóćcie. Macie, na co zasłużyliście. Głowy w dół.

Sheila nie ruszyła się ze swojego miejsca.

- Sheilo, wstań.

Westchnęła głęboko i przysunęła sobie krzesło. Potem postawiła je przy Tyler, usiadła na nim i spuściła głowę.

Spojrzałam na nich. Co za zbieranina. Whitney i Anton podnosili tort z dywanu. Kiedy

podeszłam do nich, Anton przewrócił oczami. Uśmiechnęłam się znużona, ale tak naprawdę miałam ochotę się rozplakać. Bez szczególnego powodu; może dlatego, że chciałam, aby tamten dzień był wyjątkowy, a okazał się taki sam jak wszystkie inne.

Kiedy ponownie odwróciłam się do dzieci, zauważyłam, że Peter zerka nad ramieniem. Pogroziłam mu palcem i zgromiłam ponurym spojrzeniem. Natychmiast zakrył twarz. Popatrzyłam na wskazówkę sekundnika zegara na ścianie.

- W porządku, możecie wstać, jeśli potraficie się zachować jak ludzkie istoty. Zostało jeszcze dziesięć minut. Pomóżcie zbierać tort, a potem zajmijcie się czymś. Tylko żadnych kłótni.

Sheila wciąż siedziała na swoim krześle ze spuszczoną głową.

- Sheilo, możesz wstać.

Nie ruszyła się. Usiadłam obok niej.

- Już się nie gniewam na ciebie. Możesz iść się pobawić.

- Uhu - mruknęła. - To mój prezent dla ciebie. Będę grzeczna.

Po lekcjach Whitney odprowadziła Sheilę do autobusu, a Anton i ja zeszliśmy do pokoju nauczycielskiego. Usiadłam wygodnie w jednym z foteli, opierając głowę na oparciu, a nogi na stole, i zakryłam oczy ramieniem.

- Co za piekielny dzień - powiedziałam. Anton nic mi nie odpowiedział, więc wyprostowałam się i otworzyłam oczy. Nie było go nigdzie. Nawet nie zauważyłam, kiedy wyszedł. Znowu wyciągnęłam się wygodnie i prawie zasnąłam.

- Torey?

Otworzyłam oczy. Anton stał nad moim fotelem.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział i podał mi grubą kopertę.

- Daj spokój, nie trzeba było. Tutaj nie dajemy prezentów. Uśmiechnął się.

- Otwórz.

W kopercie znalazłam zwariowaną kartę urodzinową z zieloną zmiją. Ze środka karty wypadła złożona kartka.

- Co to jest? - spytałam.

- Mój prezent dla ciebie. Rozłożyłam papier. Była to kopia listu.

*Szanowny Panie Antonio Ramirez.*

*władze College'u okręgu Cherokee mają przyjemność poinformować Pana, że otrzymał Pan stypendium Daltona E. Fellowsa.*

*Gratulujemy. Mamy nadzieję, że rozpocznie Pan naukę w murach naszego college'u jesienią.*



Spojrzałam na niego. Widziałam, że bardzo się stara, lecz nie potrafił utrzymać swojego uśmiechu, który szybko rozszerzył się od ucha do ucha. Chciałam mu pogratulować. Powiedzieć mu, jak bardzo mnie ucieszył ten kawałek papieru. Ale nic nie powiedziałam. Patrzyliśmy tylko na siebie i uśmiechaliśmy się.

Po mojej rozmowie telefonicznej z Edem w sprawie przyszłości Sheili zwołano zebranie. Wciąż upierałam się, aby umieścić ją u mojej przyjaciółki, Sandy McGuire, w Szkole Podstawowej im. Jeffersona. Sandy była młodą, wrażliwą nauczycielką, która, jak wierzyłam, nie zgubi Sheili w tłumie. Rozmawiałam z nią kilkakrotnie o Sheili, od czasu kiedy po raz pierwszy wspomniałam jej o swojej prośbie.

Początkowo Ed nie odniósł się zbyt entuzjastycznie do mojej propozycji. Nie popierał umieszczania dzieci w klasach starszych niż powinny się znaleźć. Ponadto Sheila była małym dzieckiem, jak na swój wiek. Większość z ośmio i dziewięciolatków przewyższała ją o pół głowy. Zaczęliśmy drążyć temat bardziej wnikliwie. Była mniejsza od większości drugoklasistów, ale poziomem wiedzy przewyższała ich przynajmniej o dwie klasy. W jej przypadku nie było mowy o idealnym rozwiązaniu. Bardziej niż jej wzrost czy poziom inteligencji obchodził mnie fakt, aby umieścić ją pod opieką nauczycielki, która pomoże jej w emocjonalnym rozwoju. Nie miałam wątpliwości, że z akademickiego punktu widzenia nigdy nie będzie normalna, więc nie widziałam powodu do stwarzania nowych kłopotów. Obawiałam się, że niepokromiony umysł Sheili nie znajdzie dla siebie granic w drugiej klasie i Sheila napyta sobie biedy tylko przez to, że będzie chciała się czymś zająć. Ostatecznie jednak uznano, że można dać jej szansę w klasie Sandy. Ustalono też, że będzie chodzić codziennie na dwie godziny do pedagoga szkolnego, który miał czuwać nad jej rozwojem emocjonalnym, a także pomóc w dodatkowych zajęciach, by sprostać jej zaawansowanej wiedzy.

Na trzy tygodnie przed zakończeniem szkoły powiadomiłam Sheilę, że w przyszłym roku pójdzie do szkoły Jeffersona. Wyjaśniłam jej, że dobrze znam jej przyszłą nauczycielkę i że przyjaźnię się z nią od dawna. Zapytałam Sheilę, czy chciałaby któregoś dnia po lekcjach odwiedzić Sandy w jej klasie. Pierwszy raz zaproponowałam jej to w tym samym dniu, w którym wyjaśniłam, co postanowiono o jej przyszłości. Sheila nie potrafiła poradzić sobie z tym wszystkim i oświadczyła, że nie chce tam iść ani teraz, ani w następnym roku. Jednak pod koniec dnia, po tym jak pozostałe dzieci dowiedziały się o jej nowym miejscu i bardzo się tym podnieciły, ponieważ Sheila miała przeskoczyć jedną klasę, stwierdziła, że ostatecznie może pójść i zobaczyć tę Sandy.

W środę, po południu, zaraz po ostatnim dzwonku wskoczyłyśmy do mojego małego samochodu i pojechałyśmy na drugi koniec miasta, do Szkoły Podstawowej im. Jeffersona.

Ponieważ Sandy kończyła pracę dopiero o wpół do czwartej i miałyśmy całe pół godziny, zaprosiłam Sheilę na rożki lodowe. Wybrała podwójną porcję o smaku lukrecjowym. Zapomniałam wziąć ze sobą serwetki.

Kiedy zajechałyśmy pod szkołę, Sheila wyglądała, jakby zmieniła kolor skóry. Resztki lodów widniały na jej policzkach, brodzie, włosach i z przodu koszuli. Patrzyłam na nią zdumiona, ponieważ jeszcze piętnaście minut temu była czysta. Nie mając przy sobie nawet chusteczek higienicznych, wytarłam ją ręką, jak mogłam najlepiej. Potem Sheila chwyciła mnie mocno za rękę i weszłyśmy do szkoły.

Sandy roześmiała się na widok Sheili. Nie mogłam jej za to winić. Sheila, umazana i przestraszona, sprawiała wrażenie zagubionego czterolatka. Przywarła mocno do mojej nogi.

- O rany, chyba jadłaś coś dobrego - odezwała się Sandy z uśmiechem na ustach. - Co to było?

Sheila wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Lody - wyszeptała. Zastanawiałam się, co w tej chwili myśli Sandy. Kiedy namawiałam ją, żeby przyjęła Sheilę, jako główny argument podawałam niezwykle utalentowanie i zdolności werbalne Sheili. Tymczasem jej zachowanie wydawało się zaprzeczać wszystkiemu, co wcześniej o niej mówiłam.

Nie doceniłam Sandy. Kiedy usiadłyśmy przy stole, zaczęła wypytywać Sheilę o jej lodowe upodobania. Potem oprowadziła nas po klasie. Była to typowa sala. Szkoła Jeffersona znajdowała się w starym, ogromnym budynku z cegły, w którym wydzielono obszerne pomieszczenia. W klasie Sandy swobodnie zmieściło się dwadzieścia siedem ławek oraz różne „stanowiska do uczenia się”, które umieszczono na jej obrzeżach. Jak zwykle w klasie Sandy panował bałagan. Stosy zeszytów złożonych na krawędzi stołu zaprzeczały prawu ciężenia, a między rzędami ławek leżały na podłodze skrawki kolorowego papieru. Nigdy nie należałam do zbyt porządných osób, lecz bałagan Sandy przewyższał nawet mój chaos. Domyśliłam się, że dzieci były pewnie w trakcie wykonywania co najmniej kilku projektów. Z tyłu pokoju znajdowała się wypełniona książkami biblioteczka oraz klatka z myszosczkami.

Sheila powoli budziła się do życia, a szczególnie zainteresowały ją książki. Niebawem sama wyruszyła na zwiedzanie klasy. Sandy posłała mi znaczący uśmiech, obserwując Sheilę w milczeniu. Da sobie radę.

Wspiąwszy się na palce, by zobaczyć okładki książek, zdjęła jedną z nich i zaczęła kartkować.

- Torey, te są inne od twoich - powiedziała.

- Tutaj takich będziesz używać.

Jeszcze przez chwilę oglądała książkę, po czym zwróciła się do Sandy: - Nie lubię za bardzo zeszytów z ćwiczeniami. Sandy wyduła usta i skinęła głową poważnie.

- Inne dzieci mówią to samo. Odrabianie ćwiczeń z nich nie jest specjalnie zabawne, prawda? Sheila spojrzała na nią uważnie.

- Ale je robię. Torey mi każe. Kiedyś nie chciałam, ale teraz odrabiam. Te nie wyglądają tak źle. Chyba bym potrafiła zrobić. - Zatrzymała się nad jedną stroną. - Tutaj jakiś dzieciak zrobił błąd. Patrz, zaznaczone na czerwono. - Pokazała mi kartkę.

- Czasem ludzie robią błędy - powiedziała Sandy. Pomyślałam, że muszę uprzedzić Sandy o tym, jak bardzo Sheila jest uczulona na poprawianie jej błędów. Z pewnością będzie to jedno z przyszłorocznych zadań: obniżenie wrażliwości Sheili na błędy.

- A co im robisz? - spytała Sheila.

- Kiedy popełnią błąd? - odparła Sandy. - Och, po prostu proszę, żeby rozwiązali to jeszcze raz, a jeśli czegoś nie rozumieją, tłumaczę im. Każdemu zdarza się pomyłka, to nic wielkiego.

- Bijesz dzieci?

Sandy pokręciła głową, uśmiechając się.

- Nie. Nie biję.

Sheila skinęła głową w moją stronę.

- Torey, ona też nie bije.

Zostałyśmy jeszcze u Sandy czterdzieści pięć minut, a Sheila nabierała śmiałości z każdym pytaniem Sandy. Wreszcie oznajmiłam, że musimy wracać, aby zdążyć na autobus. Kiedy wyszłyśmy już na korytarz, Sandy spytała jakby od niechcienia, czy Sheila nie chciałaby przyjść do niej w ciągu dnia, kiedy uczniowie są w klasie. Podziękowałam jej i poszłyśmy do samochodu.

Sheila milczała prawie przez całą drogę do naszej szkoły. Kiedy wjeżdżałam już na parking, odwróciła się w moją stronę.

- Nie jest taka zła.

- Cieszę się, że ci się spodobała.

Wysiadłyśmy z samochodu. Kiedy szłyśmy do szkoły, Sheila wzięła mnie za rękę.

- Torey, myślisz że mogłabym czasem pójść do klasy panny McGuire?

- A chciałabyś?

- Mogłabym.

Skinęłam głową. Zerwałam kwiat z derenia, którego gałęzie zwieszały się nad wejściem do szkoły, i wpięłam go we włosy Sheili.

- Myślę, że to się da załatwić.

W poniedziałek, w ostatnim tygodniu szkoły, Anton zawiózł Sheilę do klasy Sandy. Zdecydowała, że zostanie tam przez cały dzień, chociaż namawiałam ją, aby poszła tylko przed południem. Ona jednak chciała zjeść lunch w barze, zapłacić swoimi pieniędzmi i samodzielnie wybrać potrawy, tak jak inne dzieci. W naszej szkole moja klasa jadła ostatnia, a dzieci zawsze dostawały jedzenie przygotowane już na tacach. Sheila chciała zobaczyć, jak to jest być zwykłym dzieckiem. Poczułam, jak szybko bije mi serce, kiedy odchodziła z Antonem. Na tamten dzień wybrała czerwono-niebiesko-białą sukienkę, a nie dżinsy i podkoszulek, które kupiłam jej za pieniądze ojca. Poprosiła abym zebrała jej włosy w kucyk, który kazała sobie związać kawałkiem wstążki z pudełka ze ścinkami. Wydawała się taka malutka i krucha u boku Antona. Tamtego popołudnia Sheila wróciła rozpromieniona. Wszystko poszło gładko, oświadczyła z dumnym uśmiechem na ustach, opowiadając o tym, jak przeszła przez całą salę z tacą z jedzeniem i niczego nie wylała, i jak dziewczyna o imieniu Maria, która miała najdłuższe, najpiękniejsze i najciemniejsze włosy z całej klasy, zarezerwowała dla niej miejsce koło siebie. Były też i gorze momenty. Zgubiła się, wracając z damskiej toalety. Z tonu jej głosu wywnioskowałam, że musiała się wtedy przestraszyć, lecz ostatecznie znalazła drogę. I nie przyznała się nikomu, że się zgubiła, dodała z dumą. W czasie przerwy przekonała się, że jej długa suknia, chociaż taka ładna, przeszkadza w zabawie. Przydepnęła ją sobie, biegnąc, i otarła kolano. Podniosła sukienkę, żeby pokazać mi ranę. Nie widać było specjalnie zadrapań, ale kolano bolało, jak mnie poinformowała. I nie płakała. Sandy widziała, co się stało, i przysłała ją pocieszyć. Wyznała mi też że Sandy bardzo ładnie pachnie, kiedy przytula kogoś do siebie, i jeszcze dmucha na kolano, żeby nie bolało. Jednym słowem wyprawa zakończyła się pewnym sukcesem. Sheila przyznała, że może iść do takiej klasy. Wyraziła też nadzieję, że Maria nie zda do następnej klasy, wtedy spotkają się i zaprzyjaźnią. Zapewniłam ją, że może przyjaźnić się z Marią i nie musi jej życzyć aż tak źle. Po raz pierwszy Sheila mówiła o innej szkole bez strachu; w ogóle nie wspomniała o tym że opuści naszą szkołę. Wręcz przeciwnie, przez cały czas powtarzała: „Panna McGuire mówi, że w przyszłym roku będę mogła...” albo „Panna McGuire pozwoli mi...kiedy przyjdę do jej klasy”. Był to wesoły moment, ale czułam też trochę smutek, ponieważ zdałam sobie sprawę, że Sheila już mnie nie potrzebuje.

Ostatniego dnia roku szkolnego zorganizowaliśmy piknik. Skontaktowałam się z rodzicami dzieci i niektórzy z nich przyszli do parku, który znajdował się niedaleko szkoły, aby nam pomóc. Z baru przynieśliśmy pakowane kanapki oraz lody z owocami i śmietaną, rodzice zaś dodali ciasteczka i inne słodczyce. Teren parku był bardzo rozległy i obejmował mały ogród zoologiczny, a także staw, po którym pływały kaczki. Rosło w nim też mnóstwo kwiatów.

Dzieci, pilnowane przez rodziców, rozbiegły się na wszystkie strony.

Ojciec Sheili nie przyszedł; właściwie nie spodziewaliśmy się tego. Sheila natomiast zjawiła się rano w biało-pomarańczowej plażowej sukience z trójkątną górą związaną z tyłu szyi. Wydawała się zawstydzona tym, że ma na sobie tak skąpą sukienkę, i przez pierwsze pół godziny nieustannie próbowała zakryć jakąś część swojego ciała. Anton zachwycał się jej strojem i straszył ją, że go skradnie, gdy tylko nadarzy się okazja. Sheila zachichotała na myśl o Anionie ubranym w jej sukienkę i zatańczyła wesoło dla nas na środku klasy, kiedy czekaliśmy na pozostałe dzieci. Ojciec kupił jej tę sukienkę w sklepie z tanią odzieżą poprzedniego dnia; była to pierwsza rzecz, jaką podarował Sheili, Sheila tryskała radością i ani przez chwilę nie potrafiła ustać w miejscu. W drodze do parku kręciła piruety, a jej jasne włosy wirowały, kiedy się obracała.

W parku wciąż podskakiwała wesoło. Anton, Whitney i ja przyglądaliśmy się jej, gdy usiedliśmy na brzegu stawu po lunchu. Oddaliła się od nas jakieś trzydzieści, może czterdzieści stóp w dół alei, która ciągnęła się wokół parku. Kołysała się zgrabnie w rytm jakiejś muzyki, którą słyszała tylko ona. Spacerowicze na ścieżce schodzili jej z drogi, uśmiechając się. Skok, obrót, kilka rytmicznych skłonów. Czułam się bardzo dziwnie, patrząc, jak tańczy sama, a jej włosy połyskują w słońcu. Niepomna na obcych, na inne dzieci, Whitney, Antona czy mnie, poddała się tajemniczemu wewnętrznemu pragnieniu, które kazało jej tańczyć. Pozostali także ulegli urokowi tamtej niezwyklej chwili. Anton przyglądał jej się w milczeniu. Whitney przechyliła nieco głowę, jakby chciała usłyszeć muzykę, w rytm której tańczyła Sheila.

Anton odwrócił się do mnie.

- Wygląda jak duszek, prawda? Aż strach mrugnąć, żeby nie zniknęła.

Przytaknęłam mu.

- Jest wolna - powiedziała cicho Whitney. Rzeczywiście tak było.

A potem dzień skończył się tak szybko. Spakowaliśmy się i wróciliśmy do klasy, żeby rozdać świadectwa i pożegnać się. Długi pokój wyłożony boazerią wydawał się teraz niemal pusty. Zdjęto obrazki i historyjki ze ścian. Zwierzęta przeniosły się do mojego mieszkania. Z szafek zniknęły tabliczki z imionami dzieci.

Wreszcie Sheila posmutniała, czując nieuchronność tego, co miało nastąpić. Kiedy rozdaliśmy świadectwa, a ostatni dzwonek wciąż jeszcze nie dzwonił, wycofała się do kąta, który ział teraz pustką bez poduszek i klatek. Przykucnęła na podłodze. Pozostałe dzieci szczebiotały podniecone letnimi wakacjami oraz nowymi miejscami, do których miały pójść. Anton zachęcił je do zaśpiewania kolejnej piosenki, a ja poszłam do Sheili.

Po jej opalonych policzkach płynęły łzy. Z braku chusteczki wycierała je włosami.

Kiedy spjrzałam w jej oczy, dostrzegłam w nich smutek i ból.

- Nie chcę odchodzić - powiedziała drżącym głosem. - Nie chcę, żeby to się skończyło. Chcę tu wrócić, Torey.

- Wiem, kochanie. - Przytuliłam ją do siebie. - Wiem, co czujesz, ale tak już jest. Jeszcze chwila, zaczną się letnie wakacje, a potem znajdziesz się w trzeciej klasie, w zwykłej klasie.

- Nie chcę tam iść, Torey. I nie chcę, żebyś ty odchodziła. Poprawiłam jej grzywkę.

- Pamiętasz, obiecałam, że będę pisać do ciebie. Dzięki temu będziemy w kontakcie. Jakbyśmy się wcale nie rozstawały. Zobaczysz.

- Wcale nie. Chcę tu zostać. - Jej drobne ciało drżało mocno, a ja czułam, jak bardzo stara się zapanować nad sobą. - Będę zła. Nie chcę być dobra w klasie panny McGuire. Wtedy będziesz musiała wrócić.

- Hej, nie mam zamiaru tego słuchać. Tak mówi dawna Sheila.

- Będę niegrzeczna. Nie zmusisz mnie, żebym była dobra.

- Nie, Sheilo, nie zmuszę cię. Decyzja należy do ciebie. Ale dobrze wiesz, że to niczego nie zmieni. Nie cofniesz się o rok ani nie przywrócisz tej klasy. Mnie też nie zatrzymasz. Sama pójdę do szkoły, tak jak ci mówiłam. Od ciebie tylko zależy, co zrobisz ze sobą. Lecz bez względu na wszystko ten rok już nie wróci.

Utkwiła wzrok w podłodze i wydeła dolną wargę.

Uśmiechnęłam się.

- Pamiętasz, oswoiłaś mnie. Teraz jesteś odpowiedzialna za mnie. A to znaczy, że nigdy nie zapomnimy o tym, iż się kochamy, że pewnie teraz popłaczemy troszeczkę. Ale niebawem w naszej pamięci pozostanie tylko wspomnienie wspólnie spędzonych szczęśliwych chwil.

Potrząsnęła głową.

- Ja już nigdy nie będę szczęśliwa.

W tej chwili zadzwonił dzwonek i klasa eksplodowała krzykami. Wstałam i poszłam do pozostałych dzieci. Sheila powlokła się za mną. Nastąpiły pożegnania. Tyler i William mieli łzy w oczach. Peter pokrzykiwał radośnie. Kiedy już się wyściskaliśmy i wycalowaliśmy, wszyscy wybiegli w ciepło czerwcowego dnia.

Sheila, jak zawsze, miała odjechać z uczniami szkoły średniej. W ostatni dzień roku szkolnego autobus odjeżdżał wcześniej niż zwykle. Pomyślałam, że nie zostanie jej zbyt wiele czasu na zebranie swoich rzeczy i pożegnanie się z nami.

Trudno jej było rozstać się z Antonem. Początkowo zakryła twarz dłońmi i nie chciała nawet spojrzeć na niego. On zaś wciąż zachęcał ją do uśmiechu, szepcząc krótkie zdania po hiszpańsku, których ja nie rozumiałam, a które rozumiała Sheila. Przypomniat jej, że przecież

będą się spotykać w obozie emigrantów. Obiecał, że zabierze ją do swoich synów, żeby mogli się razem bawić. Wreszcie musiałam postawić ultimatum. Obiecałam, że odprowadzę ją do autobusu, ale musimy wyjść natychmiast. Wtedy dopiero odwróciła się do Antona i objęła go mocno za szyję. Potem pomachała Whitney i wzięła mnie za rękę. Kiedy stanęliśmy na progu, zawróciła i pobiegła z powrotem do Antona. Pocałowała go w policzek i wróciła do mnie. Zbierała swoje rzeczy ze łzami w oczach: kilka arkuszy i zniszczony egzemplarz *Małego Księcia*, namacalny dowód niedawnej przeszłości. Zeszliśmy po schodach i ruszyliśmy w kierunku szkoły średniej.

Nie odzywała się przez całą drogę. Ja także milczałam. Nie potrzebowałyśmy już słów. Mogłyby tylko zepsuć to, co udało nam się osiągnąć. Autobus czekał na podjeździe szkoły, lecz uczniowie jeszcze nie wsiadli. Kierowca pomachał nam, a Sheila pobiegła zostawić na siedzeniu swoje rzeczy. Po chwili wróciła do mnie.

Podniosła wzrok, osłaniając oczy dłonią przed słońcem. Także na nią spojrzałam. Chwila wieczności wypełniona słonecznym blaskiem.

- Do widzenia - powiedziała cichutko.

Przykłękłam i objęłam ją. Czułam głośnie bicie mojego serca i ucisk w gardle. Potem wstałam, a ona pobiegła do autobusu. Biegła aż do samych stopni, a kiedy weszła na nie, zatrzymała się. W środku byli już starsi uczniowie, więc musiała zaczekać, aż usiądą. Obejrzała się przez ramię i pomknęła z powrotem do mnie.

- Ja tylko tak sobie mówiłam - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Tak tylko mówiłam, że będę niegrzeczna. Będę grzeczna. - Spojrzała na mnie z powagą. - Dla ciebie.

Pokręciłam głową.

- Nie, nie dla mnie. Bądź dobra dla siebie.

Na jej ustach pojawił się słaby uśmiech, dziwny uśmiech. A potem pomknęła po stopniach i zniknęła we wnętrzu autobusu. Chwilę później ujrzałam jej twarz przyklejoną do szyby na końcu. Kierowca zamknął drzwi i zawarczał silnik.

- Do widzenia - wyczytałam z ruchu jej warg. Nie potrafiłam powiedzieć, czy płacze. Autobus wyjeżdżał z podjazdu. Zaczęła machać małą dłonią, najpierw gwałtownie, potem spokojniej. Uniosłam rękę i uśmiechnęłam się, kiedy autobus wyjechał na ulicę i zniknął mi z oczu.

- Do widzenia - powiedziałam przez ściśnięte gardło. Odwróciłam się.

## **Epilog**

Rok temu w skrzynce pocztowej znalazłam poplamioną wodą kartkę z notesu, zapisaną niebieskim mazakiem. Nie było przy niej żadnego listu.

*Dla Torey z wyrazami głębokiej „miłości”*

*Przychodzili inni*

*Próbowali mnie rozśmieszyć*

*Wymyślali różne zabawy*

*Jedne dla przyjemności inne na poważnie*

*A potem odchodzili*

*Pozostawiając mnie pośród ruin zajęć*

*I nie wiedzieli które były dla zabawy a*

*Które na poważnie*

*Pozostawiając mnie pośród echa śmiechu*

*Który nie był mój.*

*A potem przyszłaś ty*

*Taka zabawna*

*Nie całkiem ludzka*

*I sprawiłaś że zapłakałam*

*I wydawało się że cię to nie obchodzi*

*Powiedziałaś tylko że gra skończona*

*I czekałaś*

*Aż moje łzy zamieniły się w*

*Radość.*